TMi

TARNOWSKI MAGAZYN ILUSTROWANY

CZERWIEC 1978 CENA 5 ZŁ

Fot. JERZY SADECKI

Nasz reporter wybrał się na budowę. Raz widział ją z okien dyrektorskiej „wołgi", potem — przez szyby szoferki „jelcza". Co zauważył, opisał w reportażu

„WOŁGĄ I JELCZEM PO BUDOWACH" — str. 6—7

Ojciec był bossem w światku waluciarzy. Pieniądze ukrywawane po domu w różnych schowkach liczył tylko raz w roku — by sprawdzić, ile zarobił. Syn podpatrywał pilnie ojca... Co z tego wynikło czytaj w reportażu

„LORD" — str. 16

Tarnowskie złoża kruszyw są jednymi z najbogatszych w Polsce południowej. Ale żwirowe bogactwo może być także nieszczęściem. Szczegóły w artykule

„ZŁOTO, KTÓRE NIE BŁYSZCZY" — str. 8—9

Sławny naukowiec chroni się w małej mieścinie. Dlaczego? — odpowiedź w opowiadaniu

„KRZYWE ZWIERCIADŁA" — str. 18—19

Kurtyna w górę!

W Argentynie rozpoczęły się...

„DNI FUTBOLOWEGO SZALEŃSTWA" — str. 22—24

ZBIGNIEW SIATKOWSKI

O prawie do szturmowania niebios

Jaka to trudna rzecz: być młodym.

Trudna? Ależ to każdy potrafi, nie może nie potrafić. Przecież to najpowszechniejsze z ludzkich doświadczeń. Każdy z nas był młody lub akurat teraz jest młody. Być młodym — to tak jak oddychać, albo jak wydzielać sok trzustkowy. Zdarza się to ludziom z czysto przyrodniczego musu. Właściwie fizjologia, a nie kwestia świadomości, nie wybór.

Zaraz. Namyślmy się. Rzeczywiście tak? Bezsensowne jest więc powiedzenie: „chcieć być młodym"? Toż znamy takich, którzy chcą być młodymi, choć im już dawno metryka podpowiadałaby co innego. Niejednemu to się udaje.

I oto pierwsze zawikłanie. W tym, cośmy przed chwilą powiedzieli, racja miesza się z nieracją. Bo na pewno swego rodzaju fizjologia, słusznie, ale i na pewno też wybór.

Można wybrać młodość, kiedy nie jest się już pewnym, że nam ona z samej organicznej natury przynależy. Dokonstruować ją sobie do tej, która wypadła na pierwsze dziesięciolecia po urodzeniu. Słowem. Młodość przedłużyć — to może być sprawą wyboru, istotnie. Lecz jak można wybrać dla siebie młodość, jeśli się młodym po prostu jest, bo przeżywa się ten rok, ten swój siedemnasty, dziewiętnasty rok, no niech dwudziesty czwarty? I po co aż wybierać coś, co się i tak ma?

By to, co się ma — naprawdę, do zachłyśnięcia, do najgłębszego rdzenia wykorzystać. Ile serce wytrzyma.

Kiedy się ma dziewiętnaście lat —
dziewiętnaście lat — i nic pozatem
to się jest z wichurą za-pan-brat,
a ząb-za-ząb z siwiejącym światem...

Słuchamy teraz poety, Lucjana Szenwalda. Ten fragmencik z jego *Roweru* — piękny i widać, jak bardzo pełen dumy romantycznej — był cytowany niemal jak przysłowie przez rówieśników oraz młodych wielbicieli Szenwalda w pokoleniu tuż przedwojennym. I nie dziw: trudno by prościej napisać o samym sednie sprawy. Jeszcze chwilkę posłuchajmy.

Kiedy się ma dziewiętnaście lat
i pozatem nic — to łeb uwiera
na karku, jak wśrubowana w gnat
rozżarzona gruszka Bessemera...

CIĄG DALSZY NA STR. 3

PRÓBA GENERALNA czyli rozmowa z Prezydentem m. Tarnowa JERZYM SZMYDEM

— Jakie cele stawiają sobie władze miasta, Panie Prezydencie, organizując Dni Tarnowa?

— Przede wszystkim pragniemy tą drogą uaktywnić działalność kulturalną, sportową, rekreacyjną wszystkich środwisk naszego miasta — chcemy też zaprezentować społeczeństwu nasz dotychczasowy dorobek w tej sferze, wreszcie Dni wydają się dobrą okazją do konfrontacji, porównań z innymi regionami kraju. Zgodzi się pan bowiem ze mną, że dobrze jest wiedzieć, gdzie jesteśmy, jakie jest nasze miejsce?

— A w sferze duchowej, jakie założenia sobie stawiacie?

— Kształtowanie nowej świadomości obywatelskiej, umiejętnie łączącej patriotyzm narodowy z przywiązaniem do regionu, miasta rodzinnego, ośrodka.

— Po raz który organizowane są Dni Tarnowa?

— Już po raz piąty. W przyszłym roku obchodzić będziemy jubileusz 650-lecia założenia miasta. Tegoroczne Dni są więc dla nas jak gdyby próbą generalną.

— Tegoroczne Dni są także połączone ze Świętem „Gazety Południowej" w Tarnowie. O jakie elementy wzbogacają się Dni, dzięki temu „małżeństwu", jeśli wolno to tak sformułować?

— „Gazeta" obok szeregu inicjatyw artystycznych wzbogacających program Dni, z jednej strony niesie na sobie ciężar propagandy wszystkich przedsięwzięć a z drugiej stanowi jakby symbol naszej więzi z Krakowem. A Kraków to nie tylko najbliższa sąsiedztwem potężna aglomeracja przemysłowa, ale nade wszystko centrum kulturalne kraju, w którym szlify intelektualne uzyskała większość naszej inteligencji zarówno technicznej, jak humanistycznej. „Gazeta" to jakby jeden z tych pasów transmisyjnych gwarantujących wzajemnie bliski związek.

— Kiedy przeglądam bogaty skądinąd program Dni Tarnowa, to dostrzegam w nim pewien charakterystyczny brak. Otóż nie ma w programie ani jednej inicjatywy o charakterze rzeczywiście ogólnopolskim, takim powiedzmy, jak „Złote grono" w Zielonej Górze, Spotkania Teatralne w Kaliszu, filmowe w Pi czy telewizyjne w Olsztynie. Otóż marzy się, by w kiejś dziedzinie życia kulturalnego Tarnów obj ambicje przewodzenia w skali kraju...

— Trędowiczowi marzą się spotkania literackie.

— Są w Rybniku.

— Ja wiem, może TeMI przyjdzie tu nam z pomocą i wystąpi z jakąś inicjatywą. Mamy niezłe szkolnictwo średnie z bogatą tradycją, mamy znakomite, niemal bezkonkurencyjne środowisko modelarskie przy Pałacu Młodzieży, na niezłym poziomie jest produkcja szkła artystycznego i kryształów.

— Przyjmuję tę ofertę. A osobiście, co w programie Dni, Panie Prezydencie, ceni Pan sobie najwyżej?

— Wystawy. Chciałbym, żeby tarnowianie nieco więcej interesowali się swoimi twórcami. Tarnów jest zupełnie przyzwoitym ośrodkiem muzycznym (uruchamiamy właśnie szkołę muzyczną II°) i plastycznym. Rewelacyjne rzeczy robią młodzi ludzie w Li Plastycznym, w którym uruchomiliśmy pomatu studium konserwatorskie. Chcę by w Tarnowie p wstał oddział PKZ-ów, by absolwenci u nas pozostali i zwłaszcza, by ten trend do społecznej roboty (właśnie prowadzą renowację Sali Lustrzanej — społecznie) stał się cechą trwałą.

— Kończąc naszą rozmowę chciałbym jeszcze poruszyć jeden wątek, idzie mi mianowicie o domniemany efekt. Czy przypadkiem Dni robione poważnym nakładem sił, środków i społecznej aktywności nie pozostaną czymś, co się niekiedy określa efektem pirotechnicznym?

— Fajerwerkiem — tak? Otóż myślę, że Dni tworzą specjalny świąteczny nastrój wśród mieszkańców, że oczekują oni na imieniny swego miasta tak, jak czeka się na imieniny kogoś bliskiego, że wręcz cieszą się na nie. A sądzę, że ów nastrój zainteresowania gwarantuje, że Dni Tarnowa nie miną bez trwałych śladów w świadomości, może nawet więcej, myślę, że będą czynnikiem rozbudzającym trwały apetyt kulturalny.

Rozmawiał: STEFAN CIEPŁY

PROGRAM DNI TARNOWA I ŚWIĘTA „GAZETY POŁUDNIOWEJ"

2 czerwca (piątek)

18.00 — Uroczysta inauguracja „Dni Tarnowa" (Ratusz)
— przemarsz młodzieżowej żakinady w towarzystwie orkiestr dętych do Rynku

19.00 — Otwarcie „Dni Tarnowa" w Rynku.
— Widowisko okazjonalne przygotowane przez uczniów Państwowej Szkoły Muzycznej i aktorów Teatru im. L. Solskiego (Rynek)

21.15 — Galowy występ Zespołu Pieśni i Tańca „Świerczkowiacy" oraz Zespołu Folklorystycznego „Stavbar" z Ziliny w Amfiteatrze Letnim.

WYSTAWY

11.00 — Otwarcie wystawy szkła artystycznego (Galeria ART)

11.30 — Otwarcie wystawy książek i wydawnictw o Tarnowie (sala TPZT)

12.00 — Otwarcie wystawy „Technika w tarnowskim przemyśle elektromaszynowym" (I L.O.)

17.00 — Otwarcie wystawy filatelistycznej (sala kameralna WOK)

SPORT

14.00 — Finał Wojewódzkiego Turnieju Piłki Ręcznej dzieci (boisko Pałacu Młodzieży)

17.00 — Międzynarodowy Turniej Piłki Ręcznej juniorek i juniorów (Boiska Pałacu Młodzieży do 4 włącznie)
— Turniej sportowo-artystyczny: Portrety ludzi Tarnowa (Hala Sportowa Tarnowskich „Azotów")

3 czerwca (sobota)

9.00 — Spotkania dziennikarzy z czytelnikami w zakładach pracy

15.00 — „Estrada Metalowców" — koncert grup wokalno-muzycznych „Sektor A" i „Morsy"

15.30 — Wręczenie medali „Gazety Południowej" bohaterom publikacji „Za mądrość i dobrą robotę" (Ratusz)

16.00 — Przegląd dorobku szkół artystycznych (Dom Kultury Zakładów Azotowych)

16.00 — Międzynarodowy bieg uliczny o Puchar Prezydenta Tarnowa i Redaktora Naczelnego „Gazety Południowej"

17.00 — Koncert galowy orkiestry pod dyrekcją Stefana Rachonia (Hala widowiskowa — ul. Gumniska)
— Występ Zespołu Pieśni i Tańca „Stavbar" (DK Niedomice)

18.00 — Występ zespołu tańca nowoczesnego „Rajan" (DK „Azotów")
— Program literacki (Klub „Zachęta")

20.00 — Koncert orkiestry pod dyrekcją Stefana Rachonia (Hala widowiskowa — ul. Gumniska)
— „Pod Ratuszem, pod gwiazdami" — wielki bal plenerowy w Rynku. Grają: „Jazz-Balet", „Bit-Grupa" z Ziliny.

21.00 — Jam-session (Klub „Zachęta")
— Plenerowy maraton filmowy (pl. Rybny)

WYSTAWY

10.00 — Wystawa kwiatów (hall Teatru im. L. Solskiego)

12.00 — Wystawa malarstwa Polski Południowej oraz Andrzeja Berecika (Słowacja), BWA

17.30 — Wystawa „Tarnów w fotografii" oraz prac fotografików z Ziliny („Klub Zachęta")

SPORT

10.00 — Mistrzostwa lekkoatletyczne szkół województwa tarnowskiego (Stadion „Unii" i „Tarnovii")

12.00 — Międzynarodowy turniej indywidualny tenisa stołowego (Hala sportowa SKS „Tarnovia")

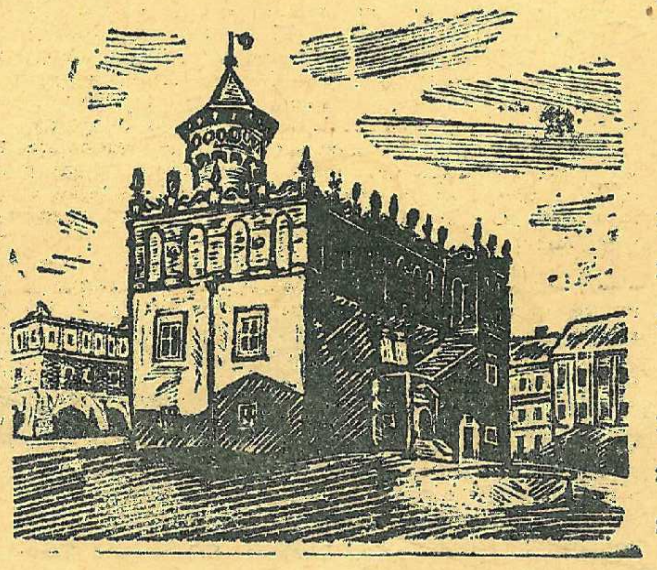

4 czerwca (niedziela)

10.00 — Międzynarodowy mecz piłki nożnej juniorów Tarnów-Żilina (Stadion SKS „Tarnovia")
— Międzynarodowy turniej tenisa stołowego (Hala SKS „Tarnovia")
— „Rewia młodości" — koncert zespołów dziecięcych i młodzieżowych (DK — „Tamel" i Pałac Młodzieży)
— Międzynarodowy Turniej Szachowy (Park Kultury Góra Marcina — także o godz. 16.00)

11.30 — Mecz piłki nożnej dziennikarze—aktorzy (stadion SKS „Tarnovia")

16.00 — Autobus artystyczny „Gazety Południowej" (Brzesko FOB)

17.00 — Występ Zespołu Pieśni i Tańca „Stavbar" (Góra Marcina)
— Koncert orkiestry pod dyrekcją Stefana Rachonia (Dębica — i po raz drugi o 19.00)

18.00 — Autobus artystyczny „Gazety Południowej" (Amfiteatr letni)

20.00 — Autobus artystyczny „Gazety Południow (Bochnia)

21.00 — Widowisko plenerowe „Janosik czyli na szkle malowane" w wykonaniu aktorów Teatr im. L. Solskiego (Amfiteatr letni).

Broń słabych

Pamięć wybiera i nie przechowuje wszystkiego. Zapamięta porwanie Hansa Martina Schleyera, dramatyczne tygodnie „wojny nerwów" między terrorystami a rządem Republiki Federalnej, tragiczne rozwiązanie. Zapamięta akcję komandosów w Mogadiszu. Nie zapomni „wyroku" Czerwonych Brygad na Aldo Moro.

Prasa przynosi codziennie wiadomości o wojnie wytoczonej światu przez terrorystów. Strzelanina na Orly, bomba w Londynie, próba porwania samolotu — oto wiadomości z dwu

tylko majowych dni, wiadomości, których nikt nie zapamięta, nie każda nawet gazeta zamieści. Takie to częste, takie codzienne. Żadna sensacja. Po prostu przyzwyczailiśmy się do przemocy i terroru.

Byłby błędem wrzucanie wszystkich terrorystów do jednego worka. Niektórych ruchów mieni się wieloma [illegible]: partyzantką miejską w Ameryce Południowej, niektórymi odłamami palestyńskiego, katolicką IRA walczącą w Irlandii, secesjonistami na Korsyce i w Bretanii, grupą Baader-Meinhof, Czerwonymi Brygadami... Długi rejestr, ale daleko jeszcze niekompletny.

Terroryzm to broń słabszych. Sięgają po nią zawsze tam, gdzie nie stało cierpliwości, by przekonać argumentacjami do swoich racji, gdzie brakło argumentacji. Kto [illegible] manifest jakiejś małej grupy, to uwierzy w jej recepty na [illegible] sprawiedliwego świata? [illegible] stawała się bomba, deklaracją — seria z automatu, [illegible] — porwanie. Czytelnik lubi [illegible] będzie je więc miał — w [illegible]lityki. By zaś stale absorbować [illegible] uwagę, trzeba czynów odbijających się coraz większym rozgłosem, trzeba trzymać w napięciu przez jak najdłuższy okres czasu.

Horst Mahler, odbywający karę 12 lat więzienia za udział w akcjach terrorystycznych, tak tłumaczy pobudki swej poprzedniej działalności (której dziś się już wyrzeka): „W terroryzmie widzieć trzeba odpowiedź na przytłaczający świat, który nas otacza, który jest nam wrogi, nad którym już nie panujemy i nie jesteśmy w stanie go kontrolować. Świat ten niszczy ludzi, niektórzy z nich zaś próbują się bronić. Gdy się nie wie, jak i dokąd przyjdzie nam maszerować, ani też z kim, prowadzi to nieraz do desperackich posunięć i dość beznadziejnych koncepcji".

Jeśli terror wzbudza oburzenie, to dlatego, że zadaje ciosy na oślep niewinnym. Grupa Baader-Meinhof uważała, że walczy w imię ludu z ustrojem RFN. Ale bomba podstawiona pod drukarnią Springera (był on po trosze symbolem tego, co nienawidzono w RFN) zabiła i raniła wyłącznie robotników i drobnych urzędników — a więc tych, których RAF (Frakcja Czerwonej Armii) uważała za swych sojuszników!

Niektóre cele społeczne terrorystów można by zrozumieć, nawet — zaaprobować. Ale pewne metody, a do nich należy gwałt i przemoc, z góry dyskredytują ideę, której mają służyć. Najzacniejszych haseł nie można wypisywać krwią niewinnych. Dlatego metod terrorystów nikt nie usprawiedliwia i każdy się od nich odcina.

Po pewnym czasie rozumieją to i sami terroryści. Coraz rzadsze są akcje fedainów spod znaku skłóconego z Arafatem „Frontu Odmowy". Zanika partyzantka miejska w Ameryce Południowej. Wszędzie tam, gdzie terroryzm był tylko jednym z przejawów szerokiego ruchu społecznego, został zepchnięty na daleki margines i pozbawiony korzeni. To samo — przypuszczam — nastąpi w RFN i we Włoszech, gdzie RAF i Czerwone Brygady wyrosły z ruchów studenckich 1968 r., ale ostatnimi akcjami odrzuciły potencjalnych zwolenników łagodniejszych form terroru.

Droga moszczona detonacjami i trupami niewinnych ofiar prowadzi do nikąd.

MARIAN SZULC

Oddajemy do Waszych rąk, drodzy Czytelnicy, wydanie Tarnowskiego Magazynu Ilustrowanego „TeMI" z prośbą o łaskawą — acz nie pozbawioną krytycznych akcentów — ocenę, z równoczesną nadzieją, że zechcecie owo pismo uznać za s w o j e.

Chcielibyśmy na tych łamach ukazać współczesny portret regionu, który obyć się naturalnie bez pejzażu historycznego nie może; portret rzeczywisty, pozbawiony upiększeń choć niewolny od romantyki naszych czasów. Zadanie to nieproste, bo granica między regionalizmem a prowincjonalizmem jest niezwykle cienka, a wyważenie proporcji trudne.

Pragniemy więc ten portret dopełnić skomplikowanym obrazem współczesnego świata; chcemy zarysować także i tło, którym jest dla nas Polska; Tarnowskie jest zaledwie jej wycinkiem; zamierzamy wreszcie wkraczać systematycznie na obszary tematyki rodzinnej, obyczajowej, kulturowej; poruszać dylematy wyboru moralnego i kariery; prezentować zjawiska tyczące młodzieży, nauki i kultury, zdrowia, mody, telewizji, sportu. Jak widzicie z niczego nie chcemy rezygnować.

Nasze pismo powstaje z inspiracji Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Tarnowie i jest w tym swego rodzaju prawidłowość. Partia jest bowiem główną siłą inspirującą narodu. Nie kryjemy tego rodowodu, możemy powiedzieć więcej, jest nam bliski, tak jak socjalizm bliski jest sercom i umysłom milionów Polaków.

Może ktoś zapytać, cóż znaczy tytuł naszego pisma? Skąd zwłaszcza wzięło się owo „e", nadające dźwięczność pierwszym literom zaczerpniętym z głównego tytułu?

Odpowiadamy: szło właśnie o dźwięczność, o prostotę słowa zgodnego z duchem języka polskiego, o łatwość kontaktu w kioskach „Ruchu" i prywatnych rozmowach. A że niektórym zapewne to tłumaczenie nie przemówi do wyobraźni, więc w razie potrzeby przyjmijcie, że jest to Wasz Tarnowski (elokwentny, efektowny, egzotyczny, ezoteryczny, estetyczny, ewolucyjny, ekscytujący...) Magazyn Ilustrowany. To „e" jest do Waszego swobodnego wypełnienia treścią, a życie bez żartu byłoby przecież nieznośne.

REDAKCJA

Co piszą inni...

● W roku 1977 Polska „wypiła" 300 milionów litrów czystego alkoholu. Trzymamy prymat w piciu „samobójczym", tzn. konsumpcji alkoholu mocnego. Jeśli w 1960 na głowę wypadało u nas 3,8 l czystego alkoholu, to w 1970 już 5,1 a w 1977 aż 8,6 l. Jak dowodzą wycinkowe badania socjologiczne przeprowadzone w Warszawie, szczególnie zagrożona jest młodzież, choć oczywiście nie dzieci decydują o tych wskaźnikach. *„Wypija je (te litry) tak zwany przeciętny mężczyzna. Jest to osobnik płci męskiej w wieku 18—64 lata. Z rachunku wynika, że mamy ich w Polsce 12 milionów. Wypijają 25 litrów czystego alkoholu każdy, to jest 62 i pół litra wódki, a to z kolei czyni 125 półlitrówek".* — powiedział Ewie Berberyusz na łamach „Kultury" (maj) prof. Andrzej Święcicki, członek Zespołu Ekspertów d/s Walki z Alkoholizmem. We wnioskach m. in. propozycja wyprowadzenia alkoholu ze sprzedaży detalicznej w godzinach pracy pierwszej zmiany, wniosek o radykalne podwyższenie cen alkoholu, zwłaszcza win niskogatunkowych konsumowanych masowo przez młodzież oraz postulat „rynkowy": *„Jeśli szybko nie zsynchronizuje się możliwości zarobkowania z możliwością właściwego wydatkowania tych zarobków, sytuacja wymknie się całkowicie spod kontroli".*

● *„Współcześnie obowiązuje 19 konwencji ONZ dotyczących praw człowieka"* — pisze prof. Łopatka w ostatnim numerze „Ideologii i Polityki". Żadna z nich nie została ratyfikowana dotychczas przez wszystkich członków ONZ. Najwięcej, bo 90 ratyfikacji uzyskała konwencja dotycząca zniesienia niewolnictwa, handlu niewolnikami oraz instytucji i praktyk analogicznych do niewolnictwa. Polska ratyfikowała (podobnie jak Związek Radziecki) 17 konwencji, Węgry 13, Bułgaria 11, Francja 11 (ale z pominięciem konwencji dotyczącej zniesienia apartheidu i nieprzedawniania zbrodni przeciw ludzkości), Wielka Brytania 14 (ale także z pominięciem tych dwu konwencji), RFN 14 (z pominięciem konwencji o nieprzedawnianiu zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości), zaś Stany Zjednoczone zaledwie 5 konwencji i to wcale nie najważniejszych. *„Powyższe dane* — pisze prof. Łopatka — *pozwalają zrozumieć, dlaczego u niektórych ludzi rodzi się wesołość, gdy słyszą wypowiedzi [illegible] niektóre z wymienionych państw, jako czołowych bojowników o prawa człowieka".*

● Na łamach „Polityki" ciąg dalszy dialogu z katolikami. Tym razem głos zabiera Jan Bijak: Punktem wyjścia do tego dialogu jest fakt, iż *„kompromis ideologiczny jest wprawdzie wykluczony, natomiast kompromis praktyczny możliwy jest, a nawet bywa konieczny tam, gdzie współpraca ma prowadzić do uznanego przez obie strony dobra".* Punktów spornych jest jednak sporo. Katolicy pragnęliby państwa neutralnego wobec problemów wiary, szermują argumentami ilościowymi, choć badania nie potwierdzają faktu, iż metrykalna przynależność do kościoła równa się rzeczywistej. Marksiści natomiast nie chcą przyjąć licytacji pochodów i procesji, szturmówek i chorągwi, transparentów i feretronów. Nie jesteśmy też państwem wojującego ateizmu choć kościół często tak właśnie stawia sprawę. Problemy są delikatne i skomplikowane, a dyskusję warto śledzić, gdyż dotyczy w sferze nadbudowy kwestii dla narodu [illegible]istotniejszych.

CIS.

O prawie do szturmowania niebios

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Taka w istocie jest młodość. Buchająca żarem niby [illegible]vertor hutniczy. Porywcza i odważna, skłonna do [illegible] i wybiegająca pragnieniem, namiętnością na[illegible]. Wciąż naprzód. Prawie aż bolesna w sile tej [illegible]iętności, wypromieniowywanej na cały świat. [illegible]czącej. Tworzącej. To przychodzi człowiekowi [illegible] samo do głowy i serca; i to może on w sobie świadomie r[illegible]wijać, wzmagać, wydoskonalać. Uprawia wtedy sztukę [illegible]łodości: uprawia swoją młodość tak, jak uprawia się sztukę.

A warto.

Jeden z najmądrzejszych polskich pisarzy, Jan Parandowski, swą książkę o młodym człowieku oraz o młodości nazwał *Niebo w płomieniach*. Chodzi tam o galicyjskiego gimnazjalistę sprzed pierwszej światowej i o jego wadzenia się z Bogiem, a może raczej tylko z katechetą. Gdzie Rzym, gdzie Krym; przedpotopowa dziś dla nas już Galicja, chłopcy w latach prawie maturalnych nie noszą złotych pasków na kołnierzu, nad ich szkołami nie pyszni się prestiż księdza prefekta, wyodległało nam w oczach niemal wszystko, co tak bliskie było i pojętne dla siedemnastoletniego Teofila Grodzickiego. A jednak ta formuła z powieściowej okładki żyje. Jest trafna i słuszna. Na równi odnosi się do każdego pokolenia. Wspaniałą wizualnością inspiruje naszą wyobraźnię. Ilekroć myślę o tym, jaka jest najważniejsza cecha młodości, określam ją sobie Parandowskiego językiem: niebo w płomieniach.

Niebo więc. Parandowski napisał książkę o młodzieńczym zwątpieniu co do niezawodności religijnych prawd i stąd tytułowe „niebo" rozumie się w tej książce jako niebo Boga, które stanęło w płomieniach pytań sceptycznych o istnienie i doskonałość owego Boga oraz o zasadność ludzkich na jego temat pojęć. Ale nie tylko tak da się rozumieć „niebo". Niebo może być czymś znacznie więcej niż siedzibą Boga. Sam — ani kto zgadłby — Karol Marks będzie nam zaraz w tej sprawie świadkiem. Ponieważ i Marks pisał czasami o niebie; niebie jako celu ataku. A już na pewno stał się sławny ten jego list do wypróbowanego przyjaciela, Ludwiga Kugelmanna, w którym Marks z żarliwą solidarnością mówi o bojownikach Komuny Paryskiej (czas był właśnie tamten — kwiecień 1871):

„Czy można porównać z tymi szturmującymi niebiosa paryżanami beznadziejnych niewolników niemiecko-pruskiego świętego cesarstwa rzymskiego, które urządza anachroniczne maskarady, cuchnie koszarami, kościołem, junkierską parafiańszczyzną, nade wszystko zaś filisterstwem."

Komunardzi krwawiący się w walce szlachetnej i ambitnej, chociaż wtedy bez nadziei na zwycięstwo, są tu przeciwstawieni żołnierzom reakcyjnej służby. Moglibyśmy na rzecz spojrzeć w kategoriach historycznych: młodość świata przeciwstawiona wczorajszości. Po jednej stronie mieszczuchy oraz żołdacy, w niewoli urodzeni i z niewolą pogodzeni, po drugiej — do samych wręcz niebios przypuszczający szturm rewolucyjni następcy Prometeusza. Z ducha nonkonformiści. Szturmować niebiosa jest to chcieć zdobyć niezdobyte; chcieć — i to od natychmiast — więcej niż kiedykolwiek chciano, niż jeszcze do wczoraj wolno było zamarzyć ledwie. Honorna sprawa, nie ma co. Ogniem prometejskim podżegać planetę ludzi i samemu też nim płonąć — oto prawdziwy szturm do nieba. Wiedział o tym nasz Największy; przecież opisał stopniowe wyrastanie triumfującej młodości, które szczyt

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

osiąga w zwycięskiej wyprawie ku niebu po owoce zwycięstwa.

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Ten młody zdusi Centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury.

Dla takich to przyczyn młodość warto w sobie wykreować i warto ją ze szlachetnym rozmysłem uprawiać jak sztukę. Ale też i dlatego jest ta sztuka ogromnie trudna.

Być młodym to dziwić się światu. Rozsmakowywać się z nim, opanowywać go chłonnym i niecierpliwym poznaniem. Mocować się z nim jak z własnym ciałem: nie znanym na razie, niespodziewanym, zaskakującym. Buntować się przeciw niemu; nie może wszak być jaki jest, jakim go zastaliśmy. Nie śmie, nie ma prawa. Ruszymy z posad bryłę świata.

Młodość jest niezgodą na świat zastany. Wszelka młodość, zawsze.

A zatem też młodość tych, którzy dzisiaj są młodzi u nas.

I tutaj wynurza się problem do przemyślenia. W skali historycznej nowy.

Przez całe stulecia młodzi, którzy przeciwko światu buntowali się mocą swej młodości, ową prawie że fizjologiczną — mówiliśmy — mocą, bunt ten podnosili przeciw światu z gruntu niesprawiedliwemu. Zły, okrutny świat i natchnieni światoburcy-rewolucjoniści. Oto był wzorzec całkowicie powszechny. Nasi pradziadowie mawiali na przykład: „Kto za młodu nie był socjalistą, ten na starość będzie świnią". (Zapomnieliśmy niemal o takim przysłowiu, nawet w *Nowej księdze przysłów* go brak, i na wielką dla nas szkodę zapomnieliśmy; mniej jasno bez niego świat widać). Garnący się pod czerwone robociarskie sztandary nasi pradziadowie tak śpiewali na nutę *Warszawianki* Wacława Święcickiego, tej samej *Warszawianki* buntowniczej, którą Waryński postanowił wydrukować w pierwszym od razu numerze swojego — i Polaków — nowego czasopisma, „Proletariatu":

Dziś, gdy roboczy lud ginie z głodu,
Zbrodnią w rozkoszy tonąć jak w błocie,
I hańba temu, kto z nas za młodu
Lęka się stanąć dziś na szafocie!

Nikt za ideę nie ginie marnie.
Z czasem zwycięży Chrystus Judasza!
Niech święty ogień młodość ogarnie,
Choć wielu padnie — lecz przyszłość nasza!

I znowu święty ogień. Prometeuszowy. Tej cesze młodości, która każe iść naprzód bez strachu i przebojem, która czyni młodość najautentyczniejszym i najbardziej naturalnym sojusznikiem postępu, nieraz owi nasi pradziadkowie nadawali barwę socjalistycznej czerwieni. To było z ich strony spontaniczne i aksjomatyczne. Socjalizm wydawał im się nie tylko młodością rodu ludzkiego przez wzgląd na swój ideowy charakter. Socjalizm po prostu był ich młodością własną, najosobistszą. Był — bo był.

Porozmawiajmy więc trochę o polskich socjalistach.

Ze swego stuletniego, jak się miało okazać, życia Bolesław Limanowski poświęcił Polsce i socjalizmowi lat 75, bo już w roku 1860 przystał do „czerwonych"; od młodu po kres. Waryński, płomiennie walczący przed krakowskim sądem, miał lat 24. W warszawskim procesie Wielkiego Proletariatu skazano na szubienicę Ossowskiego, który miał lat 22, Pietrusińskiego, lat 21, i Kunickiego, który zdążył być jednym z przywódców partii, a lat w ogóle — do szafotu — przeżył 25. Członek KC Proletariatu Rechniewski, gdy go za to skazywano na czternastoletnią katorgę, miał lat 23. Kiedy Róża Luksemburg zakładała wraz z innymi partię swojego życia: Socjaldemokrację Królestwa Polskiego, miała lat 22. Drobner był w partii w wieku lat 15, i nie w płonącej głowie mu było ograniczać się do płacenia składek, skoro mając 19 lat należał do centralnych władz partyjnych. Nieśmiertelnej pamięci Okrzeja, ciskający bombę w carskiego oberpolicmajstra, miał lat 19. Baron, gdy go tracono na stokach Cytadeli za heroiczną walkę pepesowską, miał lat 20; Montwiłł-Mirecki, kiedy tam umierał — lat 29, z czego 8 lat ofiarował partii. Na tychże stokach później ginący, pod kulami nie obcego już, ale polskiego plutonu egzekucyjnego, komunista Kniewski miał lat 23; razem z nim rozstrzelany Rutkowski był jeszcze o rok młodszy. Bohaterski i przywódczy w bojach roku 1905 Walery Sławek miał wtedy 26 lat; w tym samym czasie Feliks Dzierżyński, nie mniej przywódczy i heroiczny — lat 28 oraz jedenastoletni staż sojcalisty. Dubois wstąpił do PPS jako siedemnastolatek i od razu płynął na głębokie wody. Aleksander Zawadzki, wchodząc w kapepowską konspirację, liczył lat 22. Alfred Lampe miał 27 lat, gdy został członkiem KC KPP.

Tak jest. W tamtych pokoleniach i wierzono i życiem oraz śmiercią dowodzono, iż hańba temu, który za młodu lęka się stanąć choć na szafocie; stanąć — jak to napisał Żeromski, a po nim powtórzył Broniewski — z gołymi szyjami pod zorzą. Warto było ważyć cały swój los, siebie całego dla socjalizmu. Płomienie nieba, szturmowanie nieba — to był ryzykancki i nieustępliwy protest przeciw dotychczasowemu światu, protest socjalistyczny.

Czy dziś młodość wciąż jest niebem w płomieniach, nadal jest żywiołowym protestem przeciwko temu, co się zastało?

Rzecz najzrozumialsza. Nie może być inaczej i nie bywa.

Czy dziś młodzieńczy protest przeciw zastanemu światu ma charakter socjalistyczny?

Oczywiście tak. Wszędzie. Zapytajcie chłopców, którzy wyrośli i zmężnieli w dżunglach wietnamskiej wojny o wolność. Zapytajcie młodych weteranów walk w Angoli. Etiopów. Portugalskich żołnierzy nadziei antyfaszystowskiej. Kubańczyków, co na dalekim lądzie kontynuują rewolucyjną żarliwość swych ojców. Dziewczęta i chłopców z Chile, którzy w najmroczniejszym podziemiu walczą o przywrócenie swobody krajowi. Komunistyczną młodzież RFN-u i jej sojuszników z Juso.

Dobrze, to wszystko są sprawy jasne. Ale w naszej stronie współczesnego świata, w Rzeczypospolitej Ludowej, w socjalistycznym polskim państwie, czy najnaturalniejszy (i najwartościowszy bez wątpienia) bunt przeciw wczorajszemu, przeciw zastanemu ma sens i charakter socjalistyczny? Ktoś młody, kto burzliwie i gniewnie dziwi się światu, do którego wkracza: jest niedoskonały, przeto nie może w takiej niedoskonałości trwać — w co uderza u nas ten ktoś młody? W istotę naszego układu rzeczywistości czy w jego zwapnienia? W socjalizm czy w mankamenty socjalizmu? Co dziś jest opleśniałą korą a co wiecznie zielonym drzewem życia?

Tyleśmy potrafili zrobić w Polsce powojennej. O naszych fabrykach, stoczniach, drogach, świeżo wzniesionych budynkach szkolnych, o naszej potężnej migracji na piastowski Zachód i drugiej równie potężnej: ze wsi do nowych robotniczych miast, o naszej dyplomacji i naszej Konstytucji pokolenia następne wypowiedzą się z już teraz niewątpliwym uznaniem. A na trafne i do tego powszechne rozstrzygnięcie postawionych chwilę temu pytań — są to pytania w najgłębszej swej istocie wychowawcze — do dziś nas nie bardzo jakoś stać. Co jest czym, kiedy płonie szturmowane przez młodość niebo? Kiepsko z tym sobie radzimy.

Istnieje taka twórcza tradycja, całkiem zrozumiała psychologicznie: po każdym akcie kreatorskim, po każdym dniu stworzenia, patrzyć na to, czego się dokonało, i ze szczerą autoakceptacją stwierdzać, iż dobre jest. Autoakceptacja stanowi niezbędny warunek twórczości; kto jej nie odczuwa, będzie bezradny i nieskuteczny jak ów opisujący amazonkę Grand z Camusowskiej *Dżumy*. Jeśli nie jesteś pewien, że idziesz we właściwym kierunku, nie zajdziesz daleko. Muszą jednak istnieć rozumne granice autoakceptacji, zwykły ludzki krytycyzm to podpowiada, i poza tymi granicami ona przeradza się w zarozumiałość. Przykro powiedzieć, ale właśnie tak.

O prawie do szturmowania niebios

W *Dziełach* Lenina mam pewien tekst szczególnie mi ulubiony. Jest to przemówienie, zwięzłe i gęste, które Lenin wygłosił z okazji urodzin Lenina: w Moskwie, podczas uroczystego posiedzenia, na pięćdziesięciolecie. W tamtych trzech stroniczkach Lenin jest cały jaki był. Skromny i zawstydzony sobą, gorący i ofensywny, delikatny, lecz do bólu wprost prawdomówny. Wcale go nie zachwyciło, że urządzono mu jubileusz. Tę kwestię skwitował paroma zdaniami, po czym zaczął mówić rzeczy najważniejsze do swojej partii, jako że było to partyjne forum. I coś wtedy powiedział, co brzmi mocno i zastanawiająco aż po dzisiejszy pełen sukcesów czas.

„Słowa te nasuwają mi myśl, że nasza partia może teraz znaleźć się w bardzo niebezpiecznej sytuacji, a mianowicie w sytuacji człowieka, który stał się zarozumiały. Jest to sytuacja nader głupia, hańbiąca, śmieszna. Wiadomo, że niepowodzenia i upadek partii politycznych bardzo często poprzedzał taki stan rzeczy, gdy istniały warunki po temu, by partie te mogły wpaść w zarozumiałość."

Lenin powiedział to pod adresem partii, gdyż był jej przywódcą. Dobrze jest sobie uświadomić: mówił to w dwa i pół roku po „Aurorze" i Smolnym, mówił więc do partii, która najokrutniej wykrwawiła się w walce o to, by nikomu nie oddać władzy, której powiodło się tę władzę utrzymać (a nie tylko my teraz, oni już także rozumieli, że jest to fakt dziejowy na miarę stuleci), ale której do pełnego sukcesu jakże było daleko. Poranieni, zwycięscy, widomie wciąż dopiero u startu — gdzież tutaj szansa zarozumiałości? A jednak Lenin przestrzegał słusznie i w dodatku ostrzeżenie tego typu może odnosić się równie dobrze do partii politycznych, co i do innych zbiorowości. Na przykład do pokolenia.

Sądzę, iż pokolenie, do którego należę, nie najmłodsze już dzisiaj pokolenie Polski Ludowej, to od Nowej Huty i Portu Północnego, od zwycięskiego referendum i od pierwszych żarówek we wsiach, od ofiarowywania krwi na rzecz cudzojęzycznych braci i od stu milionów drzewek na Tysiąclecie, pokolenie tak świetne i pracowite, iż chlubą jest móc się zaliczać do niego — zdołało trochę przesadzić w autoakceptacji. Nie zarzucam tu nikomu z nas złej woli, ani nawet przeoczenia. To całkiem odmienna sprawa.

Nie tylko o naszych osiągnięciach, ale też o naszych jaskrawościach i przesadach zadecydowały warunki dziejowe. Weszliśmy w historię, w ojczyznę o takiej porze, która wymagała pionierstwa — z wszystkim, co w pionierstwie dobre i co szorstkie. Nasz ówczesny pożar serc był potrzebny dla boju, polemiki, dla walki przeciw. Inaczej nie mogło być: strzelano do takich jak my, ciskano w nas kamieniami, oszczerstwami, szeptankowym politycznym dowcipem, pielgrzymkami do płaczących — jakoby nad losem kraju — cudownych obrazów. Nie zostawaliśmy dłużni, jeśli tylko się dało. Wojowaliśmy o naszą słuszność na prawo i lewo, z czasem już wyłącznie na prawo: nauczyliśmy się w imię większej skuteczności przeciw wrogowi przymykać oko na błędy naszych towarzyszy walki. Walka wcale nie była naszą pasją jedynie, niebem zetempowskich płomieni. Była najprzyziemniejszą, drastyczną koniecznością.

Polemizować trzeba było z księdzem Piwowarczykiem i z księdzem Kaczyńskim, i z mikołajczykowską „Gazetą Ludową", i z zawziętymi chwalcami Trzeciego Maja, którzy czynili swoje przeciwko Pierwszemu Majowi, i z prawicowym korpusem instruktorskim ZHP (to była trudna polemika: w imię naszego rozumienia patriotyzmu musieliśmy zwalczać ich także patriotyczne racje), i z piosenką bezmyślnych „Jedna bomba atomowa..." na melodię „W dzień deszczowy i ponury", i z naciskiem monotradycji Monte Cassino (to też była polemika trudna, gdyż jak tu stawać wbrew powszechnemu — naszemu własnemu również — uczuciu, kłócić się z krwią po bohatersku przelaną). I z opasłym kułakiem, który nie chciał zrozumieć, czemu miałby się dać nam namówić na samounicestwienie, i z handlowcem-prywaciarzem, i z bażantem vel dżolerem, bo po co nosi burżuazyjne krawaty, i z narzekającymi na beznadziejność kolejek po kartkowy przydział mięsa („w sześć lat po wojnie kartki, moja pani"). I z hałaśliwą muzyczką „Głosu Ameryki" i z pięknym trzeciomajowym polonezem nienawidzącej nas „Wolnej Europy".

I ze spustoszeniem kraju. Tak, to nie figura retoryczna: gruzy Warszawy, ruiny Gdańska i Wrocławia wymagały murarskiej polemiki. Puste fabryczne hale, zdewastowane linie kolejowe, nie do ostatniej miedzy zaorane pola Zachodniego Pomorza, szkoły do których strasznie było dojechać nauczycielce — to był też przeciwnik. W takiej polemice zwyciężyć stawało się sprawą godną młodzieńczych zapalczywości. Zwyciężyliśmy, na ogół. Nie bez strat własnych i nie bez śmiesznych przesad. One stanowiły koszt nieunikniony. Bolesny nieraz. Dlatego żywię pewność, że z tysiącznych „ludzi z marmuru" podżartowywać sobie ma prawo moralne tylko ten, kto był i jest po ich stronie, kto ich kocha, jest jednym z nich. Jak to pisał Słowacki? „Wielcyśmy byli i śmieszniśmy byli. Bośmy się duchem bożym tak popili...". W tym samym czasie autor *Ody do młodości*, o ćwierć stulecia już starszy, krzyczał epoce w twarz: „Duch boży jest dzisiaj w bluzach robotników paryskich". Myśmy nasze niebo w płomieniach przeżywali na taki sposób, że owego ducha — ducha dziejów — zawarliśmy w zielonych drelichowych bluzach „Służby Polsce".

Po to, by skutecznie pracować i by wręcz żyć, nasze pokolenie napiętych ambicji i nieodwołalnych konieczności musiało stale upewniać się, iż kroczy po właściwej drodze. Potrzeba nam było przekonania, że mamy rację. Oraz że jej nie mają tamci: z którymi walczyliśmy. To zrozumiałe.

Otóż nawyk posiadania niezbitej racji wszedł nam w pokoleniową krew. Za bardzo, jak się okazuje. I nazbyt często nasi następcy, dzisiejsze niebo w płomieniach, nasze własne dzieci, słyszą od nas, że jest tylko jedna racja racjonalna: nasza. I tak formułować ją należy, jak myśmy — płomienni i heroiczni — za naszej młodości ją sformułowali. Wykonać. Odmaszerować.

Ojciec Wirgiliusz uczył dzieci swoje
(A miał ich wszystkich sto czterdzieści troje):
Hejże dzieci, hejże ha, hejże ha, hejże ha,
Róbcie wszystko tak jak ja: TAK JAK JA!

Teofil Grodzicki odmówiłby udziału w tej dz[illegible] zabawie. Przecież ma już siedemnaście lat, [illegible] sam przez się. Tak wyrasta się na człowieka [illegible]

W tej sprawie jestem po stronie Teofilów[illegible] ckich.

Bywają oczywiście epoki (a jeszcze częście[illegible] le w skądinąd rozumnych epokach, takie n[illegible] miaru dziejów zaledwie okamgnienia małe, [illegible] talne), kiedy żąda się od młodzieży, by okaz[illegible] uładzona według nieswoich, przedustawnyc[illegible] i wytycznych. By chwaliła, co ma być chwalone [illegible] wszystko — by chwaliła, że w ogóle dopusz[illegible] do zaszczytu chwalenia. By młode głosy nagin[illegible] melodyj ze starej kantyczki. By młode głowy [illegible] sobie napełniać myślami z demobilu. By ma[illegible] i ślubowała, dążyła ku, zbierała surowce wi[illegible] biła trawniki, sadziła kwiatki i wręczała [illegible] i udawała, iż ani się domyśla, że jej udział [illegible] nym życiu mógłby na czymś większym [illegible] polegać. By raźno, do wyznaczanego tak[illegible] wała, jak dobrze a szczęśliwie czuje si[illegible] ku, mundurku lub waciaku dziedziczonym [illegible] By dziękowała, dziękowała, dziękowała: [illegible] wietrze u nas składa się z tlenu i azotu; [illegible] środzie — w specjalnej o młodych trosce [illegible] czwartek; za to (jak drwił w roku 1936 [illegible] utor Z[illegible] *z wypisów szkolnych*, Gałczyński), że wojewodzie zawdzięczamy świeży śnieg, staroście i innym urzędnikom rzeźwy mróz i śliczne sople u okien, zaś ministrowi — a, temu to już wszystko. By młodzi od pieluch prawie, od elementarza i skakanki poczynając, byli trzeźwi, wyważeni, układni. Drugoplanowi w usłużnej gotowości afirmowania (na razie). Tacy starzy—maleńc[illegible] I nie podskakiwać. Spokojnie, według hierarchii, [illegible] dynkiem. Pokorne cielę dwie matki ssie. Porząd[illegible] ma być, zaś co to jest porządek — o tym decyduje[illegible] my, namaszczeni starszeństwem. I jeszcze macie z [illegible] szego polecenia wkuć na pamięć *Odę do młodoś*[illegible] Żeby był szacunek dla tradycji jak należy.

Znowu Szenwald, ale tym razem nie od same[illegible] siebie myślący wierszem. Jest w poemacie *S[illegible]na prz[illegible] strumieniu* taka postać złowroga, Czarny Czł[illegible]iek — a właściwie nie wiadomo: człowiek? szatan? [illegible] piór? złe? I to on właśnie młodego uczy, jak jest na świecie:

Pamiętaj, smarkaczu, jest jeden warunek,
którego nie spełnisz, to biada!
Czternaście masz lat. Jesteś — co? Jesteś gówniarz,
a siejesz dokoła niepokój.
Gaś bunt, póki czas, do języka gwicht uwiąż,
i kneblem, i ciszą pysk okuj!
Stul uszy i włosów nadmierny blask przyćmij,
tu, czołem chodnika pył zamieć!
Pokornie do ręki, jak wierny pies, przyjdź mi,
i poproś, i naucz się skamleć!

Z tym wszystkim socjalizm nie ma nic wspólnego ani to z socjalizmem. I także żaden z nas nie może młodym oczom chociaż przez chwilę przypominać Czarnego Człowieka, jeśli nie mamy, wygrawszy tyle bitew, przegrać walki najważniejszej: o polskie jutro.

To ogromnie trudna rzecz: być młodym. Płonąć i wśród tego pożaru własnego serca ciągle szturmować niebo. Naszym młodym — dzieciom naszym i [illegible] niom — należy się nasza męska solidarność [illegible] w t[illegible] ich trudzie.

ZBIGNIE[illegible] SIATKOWSKI

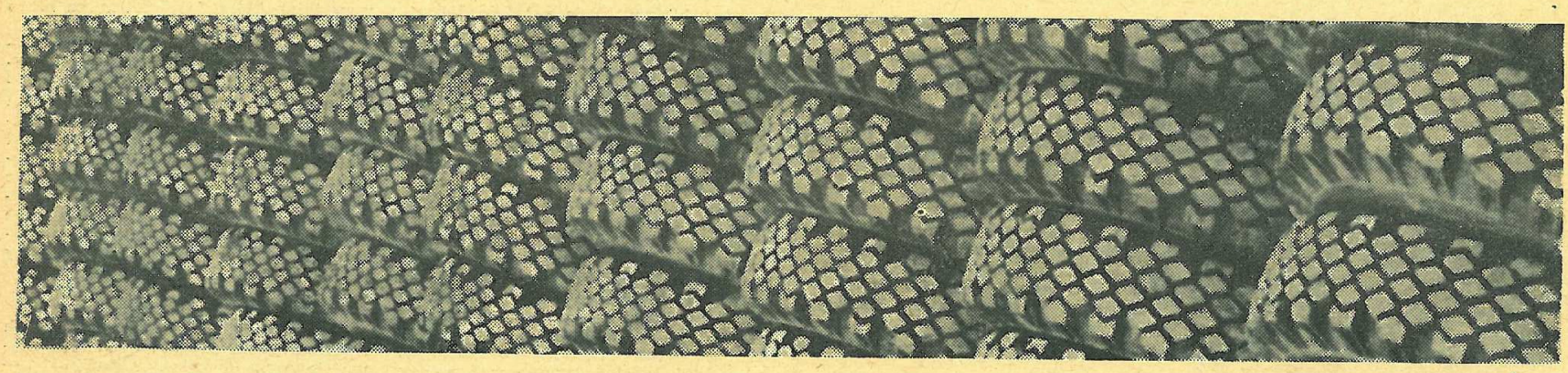

„STOMILOWY" KROK

JANUSZ RATAJCZAK

Chuderlawy las sosnowy zamieniono w coś na kształt parku. Betonowe nawierzchnie alejek. Okrągłe placyki. Ławki wciśnięte w poszycie malin. To już nie jest ten las sosnowy ze „Sztafety" Melchiora Wańkowicza, co krył niegdyś początki fabryki opon powstającej w ramach COP — Centralnego Okręgu Przemysłowego, który miał międzywojennej Rzeczypospolitej dać technikę obronną. Nie zdążył. Przetasowała wojna dębickie piaski. I zanim wejdę między sośniaki błękitna tablica wskazuje drogę do miejsc pamięci narodowej walki i ofiar. „Warcom autokary bo przywozom ludzi po pańsku" — przygodny przewodnik, dociągający emerytury w tej fabryce wskazuje ręką na wyłaniający się z lasu plac przed bramą fabryczną. Z dołu, szosą wzdłuż Wisłoki i od góry, gdzieś ze strony Rzeszowa, Strzyżowa, Pilzna nadjeżdżają kolorowe autobusy i wysypują ze swego wnętrza tłumek, który gromadzi się przed pawilonem sklepowym. Leniwie wchodzi w bramę. Ociąga się nieco w ostrym dziś słońcu. Przyjeżdża druga zmiana. Zbliża się czternasta.

A masyw fabryki wcale się nie kryje dziś w sośniakach. Wielohektarowymi plastrami nowoczesnych hal i szkieletami nowo wznoszonych oddziałów rozciągnął się ku brzegowi rzeki. Zaś na parkingu przed wejściem setka samochodów z rejestracjami wszystkich zakątków Polski. Mekka motoryzacji. Stolica opon dla samochodów osobowych.

KILKA TYSIĘCY PRACOWNIKÓW FABRYKI OPON SAMOCHODOWYCH „STOMIL" W DĘBICY DOJEŻDŻA TU DO PRACY Z DOMÓW ROZRZUCONYCH W PROMIENIU 50 KILOMETRÓW. TRZY CZWARTE ZAŁOGI DZISIAJ CZYNNEJ W PRODUKCJI TO LUDZIE W PIERWSZYM POKOLENIU WYKONUJĄCY ROBOTNICZY FACH.

Zanim więc wejdziemy w bramę, żeby poddać się skomplikowanej ceremonii zaopatrzenia w przepustkę, warto na chwilę zatrzymać się na rozsłonecznionym parkingu, pośród tłumku przybywających robotników. I patrzeć na dwa samochodowe sygnały—obrazki. Ten autokarowy; który wskazuje, że specyficzna pracuje tu załoga. Załoga wchodząca — jakby określił socjolog — w urbanizację współczesną poprzez zapodrudnienie w wielkiej fabryce z dala od środowiska zamieszkania, od rodzimego podłoża. Rozdzielona od zapłoci małopolskiej wioski kilkudziesięciominutową podróżą w nowoczesnym autobusie fabrycznym. I ten fiatowo-ładowsko-syrenkowy ponadregionalny; stłoczony na parkingu i znaczący się zawiłościami kolejki przed działem zbytu, który wskazuje, że polski rynek motoryzacji jest wciąż jeszcze rynkiem producenta. Że „stomilowskie" ogumienie to nadal rarytas rynkowy. Że fabryka przed nami rozłożona energicznie ścigać się musi z przybierającą falą popytu na ogumienie wozów osobowych.

MILION OPON DLA „MALUCHA" W TYCHACH, PÓŁ MILICNA DLA „ŻERANIA" EKSPORT, RYNEK SIEĆ „POLMOZBYTU" — PRODUKCJA DĘBICY MUSI W NAJBLIŻSZEJ PRZYSZŁOŚCI WYPRZEDZIĆ TEMPO WZROSTU ZAPOTRZEBOWANIA.

A na razie przedsiębiorczy zaopatrzeniowcy i zapobiegliwi amatorzy tak dobierają trasy swoich peregrynacji po Polsce, żeby zatrzymać się w Dębicy. Żeby tutaj, u wytwórcy bezpośrednio „wykołatać" kilkanaście, kilka, parę oryginalnych opon najnowszego modelu.

Z dyrektorem naczelnym mgr. inż. Józefem STROŻYKIEM dziś rozmowy nie będzie. Fabryka zdobyła po raz trzeci sztandar przechodni Ministra Chemii i Związku Zawodowego Chemików oraz po raz pierwszy Sztandar Prezesa Rady Ministrów i CRZZ za wyniki we współzawodnictwie. Jest wizyta na wysokim, ministerialnym szczeblu i lustracja zakładu. Więc gratulacje do reportażu czas załączyć. A w tajniki sprawy, która nas tutaj sprowadziła wejść trzeba przez ogniwo dla sprawy najistotniejsze:

Dział Szkolenia Załogi

przez wiele lat — a dzisiaj jeszcze również w wielu zakładach przemysłowych uważany bywał za przysłowiowe piąte koło u wozu. No taki — niby — potrzebny, ale nic w gruncie rzeczy konkretnego, poza statystyką uczestników różnych kursów BHP i szkoleń nie przynoszący produkcji. Ba, bywa, że w dyskretnej rozmowie z reporterem menażerzy przemysłu zdradzają swoją niechęć dla tej „nieprodukcyjnej" ich zdaniem komórki. W dębickim „Stomilu" przeciwnie.

ZWIĘKSZAMY PRODUKCJĘ OPON ROCZNIE PRZECIĘTNIE O 25—30 PROCENT ŻEBY PRZEDZIAŁ MIĘDZY POPYTEM I PODAŻĄ ZLIKWIDOWAĆ.

Z-ca dyrektora d/s produkcji inż. Marian PELCZAR nie tai troski, jakiej wymaga utrzymanie tego tempa wzrostu. Rzecz jest nie tylko w tym, i inwestycje, niezbędne przy forsownej rozbudowie fabryki to konieczność zaciągania kredytów bankowych, koszta odsetek i spłaty kredytów. Rzecz jest również w jakości. Jak osiągnąć to, żeby wzrost produkcji nie zmniejszał jakości produkowanego ogumienia? Co czynić, żeby doskonalić jakość dębickich opon? Na stole pojawiają się atesty. Opinie importerów dębickich wyrobów. Wysokiej klasy. Atesty równorzędne dla takich renomowanych w świecie wytwórców jak Dunlop, Michelin, Uniroyal... Właśnie UNIROYAL jest firmą, która dostarczyła Dębicy licencję dla produkcji opon radialnych. Licencję, której wprowadzenie było swoistą rewolucją w tej fabryce. Otwarło nowy jakościowo etap pracy nie tylko z racji wysokiego, światowego standardu wyrobów, lecz przede wszystkim w dziedzinie jakości produkcji, redukcji braków i w metodach osiągania tej jakości.

I tu zaczyna się najważniejsza dla nas sprawa. Sprawa przygotowania załogi. Jakości kadr uruchamiających nowy rodzaj wyrobów. I tu właśnie Dział Szkolenia Załogi zdobył sobie konkretnie, niezaprzeczalnie, rozstrzygającą pozycję w nowoczesnym działaniu wytwórczym.

Łańcuszek nauki

Zanim do Dębicy poczęły przybywać zagraniczne maszyny do budowanego nowego wydziału opon radialnych, miesiącami trwały skrupulatne przygotowania kadrowe. Prowadzono staranną, uważną selekcję przyszłych pracowników. Wybrano grupę „drożdży" kadrowych spośród wyróżniających się wynikami produkcji i zdyscyplinowaniem, młodych — lecz już doświadczonych — robotników. Sześć osób wyjechało do Francji, gdzie w fabryce „Uniroyal" w Clairoix przeszli praktykę—naukę. Przez wiele tygodni indywidualnie instruowani pracowali na wyłączonych z bezpośredniej produkcji stanowiskach szkoleniowo-wytwórczych. Aż posiedli w stopniu dobrym umiejętność władania nie znanymi sobie maszynami i nabrali nawyków wytwórczych pozwalających im wykonywać wysoką, zaskakująco dla nawyków „starej fabryki" wysoką, normę. Dopiero wtedy przyszedł czas na właściwe szkolenie załogi w Dębicy.

Gdy grupa „francuska" przybyła z powrotem nad Wisłokę dział kadr miał już przygotowane listy kandydatów na członków załogi nowego oddziału. Nie wszyscy odpowiadali stawianym wymogom. Bo rozstrzygająca operacja wytwórcza — czyli konfekcjonowanie opony z kilku warstw wcześniej przygotowanych — jest operacją ręczno-maszynową. Tu udział człowieka, jego inteligencji, wprawy rąk, poczucia rytmu jest bardzo wysoki. Rozstrzyga po prostu o jakości. A w hali produkcyjnej czekało już kilkanaście stanowisk szkoleniowych, wyłączonych z produkcji. I teraz każdy z przeszkolonych we Francji stał się instruktorem. Kierownik szkolenia mozolnie i precyzyjnie prowadził dokumentację. Każdy dzień roboczy i każda godzina miały swój odpowiednik w dwu rodzajach kart kontrolnych.

Mgr inż. Krystyn SZMATKA wprowadza mnie o ową skomplikowaną, lecz precyzyjną dokumentację. Plastycznie widać, jak na wykresach sporządzanych systematycznie podnosi się krzywa wyrobów w ciągu zmiany. Jak maleje liczba braków. Jak redukuje się zmęczenie pracownika zbędnymi ruchami i czynnościami. W przeciągu przeciętnie miesiąca (w niektórych wypadkach wymagało to 6 tygodni) ponad sto osób osiąga stan pełnego opanowania fizycznego nowej technologii i przystosowania psychicznego do precyzyjnej, wysokim rygorem technologicznym obwarowanej roboty. I dopiero wówczas rozpoczyna się uruchamianie produkcji nowego wydziału. Rusza normalna produkcja. Jeszcze rejestrowana czujnie. Jeszcze korygowana. Aż nadchodzi moment, kiedy wyniki kontroli pozwalają na wprowadzenie akordu.

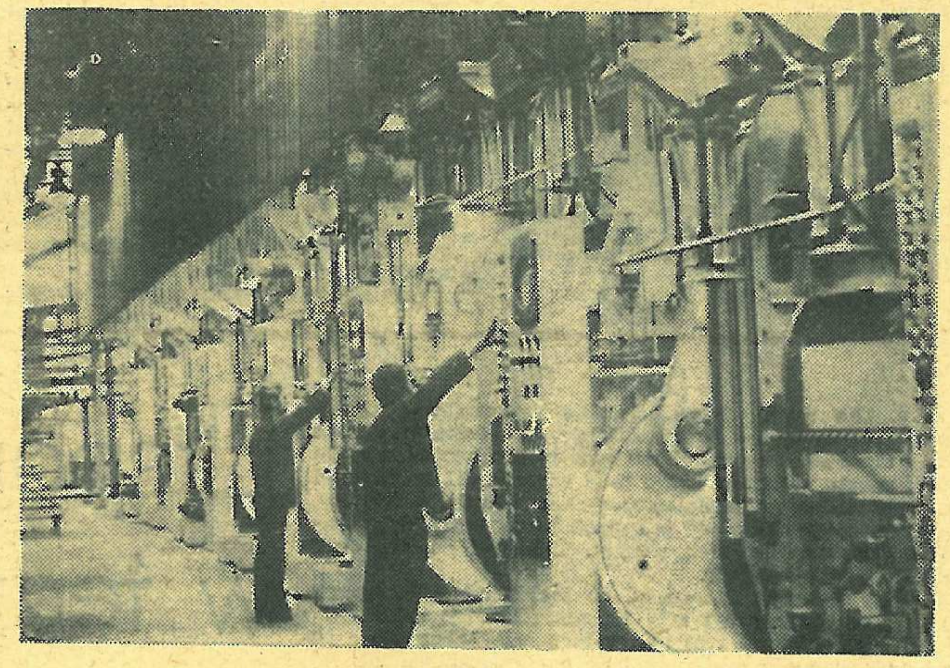

Fot. Jerzy Sadecki

PONAD STU WYSZKOLONYCH TAK ROBOTNIKÓW — A JEST MIĘDZY NIMI WIELE KOBIET — W REWELACYJNIE KRÓTKIM CZASIE MIESIĄCA URUCHAMIA PRODUKCJĘ UZYSKUJĄC PRZECIĘTNE PRZEKROCZENIE NORMY „UNIROYAL" O 5—10%!

Tego jeszcze w praktyce polskiego przemysłu nie było. Proszę zauważyć. Nie mówimy tutaj o lśniących smarami agregatach. Mowa jest o ludziach. O ich przystosowaniu i przygotowaniu do pracy produkcyjnej. Owe rewelacyjne osiągnięcia technologiczne „Stomil" w Dębicy realizuje poprzez szkolenie zawodowe i staranną selekcję pracowników. Czy można się dziwić tedy, że zarobki owych wybranych, wyśmienicie pracujących, zdyscyplinowanych pracowników są 10—15% wyższe od przeciętnej?

Podejrzliwość reportera każe szukać w tym, ludzką ręką a nie kosztownym

DOKOŃCZENIE NA STR. 9

WOŁGĄ I JELCZEM

W styczniu, lutym i marcu Kombinat Budownictwa Ogólnego w Tarnowie miał oddać 12 tys. m kw. powierzchni mieszkaniowej; oddał zaledwie szóstą część tej ilości. Było to raptem 3,2 proc. rocznego planu.

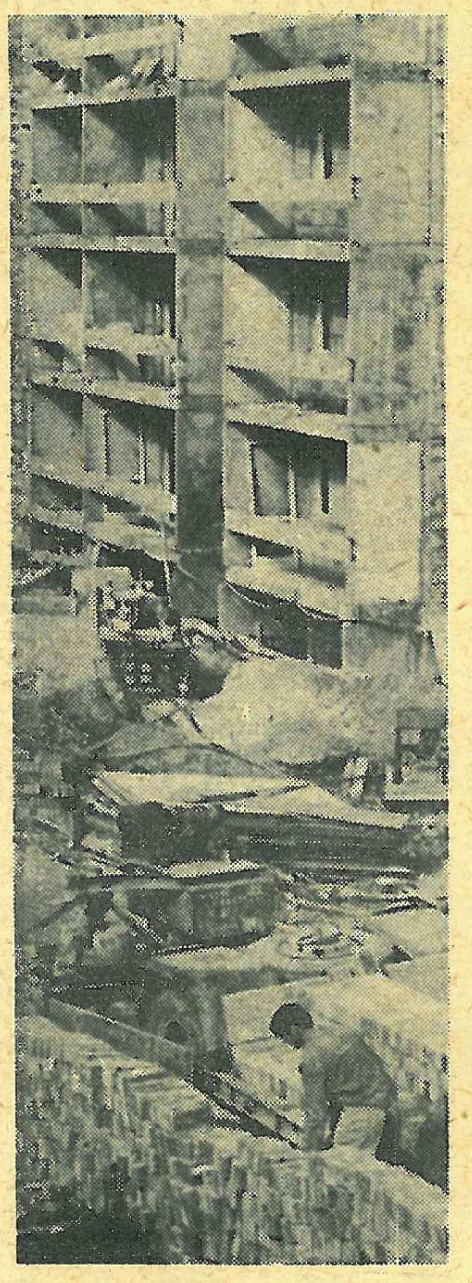

Fot. Jerzy Sadecki

Od miesiąca dyrektor firmy Stanisław Gosztyła większość urzędowego czasu traci na tłumaczenie się i uspakajanie przedstawicieli władz różnego szczebla. Zapewnia, obiecuje, wyjaśnia: *„Dobrze, że większość urzędów funkcjonuje do godziny 15-tej, najpóźniej do 16-tej, gdyż dopiero potem można spokojnie popracować"* — mówi.

Gosztyła mógłby tłumaczyć się tym, że zajmuje swoje stanowisko zaledwie od czterech miesięcy. Mógłby dodać, że poprzednicy pozostawili mu w spadku 47 różnych opóźnionych inwestycji od kotłowni i bloków mieszkalnych w Tarnowie począwszy na szkole podstawowej w Łapanowie skończywszy. Opowiada jak anegdotę, że idąc kiedyś ze znajomym obok jakiejś budowy dowiedział się, że „paprzą to już szósty rok i zrobili zaledwie fundamenty". Został jednak uspokojony, że nie jego firma to buduje. Na wszelki wypadek pożegnał się ze znajomym, wrócił, i przyjrzawszy się dokładnie tablicy wyczytał, że wykonawcą „Galwy" jest „jego" Kombinat. Nazajutrz było tu już kilkudziesięciu robotników.

Dyrektorska „wołga" wiezie nas na teren największej budowy Tarnowa — ku Osiedlu Jasna, ale samochodowa eskapada kończy się przed czasem. „Wołga" niestety nie jest zdolna dojechać do wizytowanego bloku i musimy pokonać ostatnie sto metrów pieszo. Za dzień lub dwa wprowadzać się będą do tego bloku (nr 4) nowi mieszkańcy. Dziś błoto po kostki. Za przykładem dyrektora podwijam nogawki spodni do kolan. Praktycznie nie ma tu żadnego dojazdu, ledwie można przejść. Współczuję przyszłym lokatorom, którzy będą musieli w jakiś sposób dowieźć meble. Zresztą z drogami i dojściem podobnie jest na całym osiedlu. Wszędzie woda, zwały ziemi, lepka glina. Mimo, że w niektórych budynkach ludzie mieszkają od roku, nie widać śladów choćby prób zagospodarowania osiedla.

Gdy się jednak potrafi wejść do wewnątrz, blok wygląda zupełnie dobrze. Standard mieszkań jest wysoki, pomieszczenia starannie wykończone. Mistrz budowlany (z wyglądu licealista) Waldemar Cygan chodzi dumny jak paw, bo komisja odbioru znalazła na jego dwóch klatkach zaledwie 10 usterek. Widziałem mieszkania w krakowskim osiedlu Prokocim Nowy, gdzie protokół odbioru zawierał 18—20 usterek w jednym tylko mieszkaniu. Cygan robi się purpurowy na twarzy, kiedy dyrektor obiecuje premię. *„Ten blok* — mówi dyrektor — *mieliśmy oddać w pierwszym kwartale. Spóźniliśmy się więc ponad miesiąc, ale praktycznie już jutro ludzie mogą się wprowadzić."*

„Wołga" jedzie dalej. Jan Szajnowski wita nas przy wspomnianej już wcześniej „Galwie". Na nasz widok podrywają się grupki pracowników, jedna chwila i już tętni praca na schodach, przy instalacjach, w halach. Dostaje się Szajnowskiemu za przydługą przerwę śniadaniową, choć ogólnie rzecz biorąc, powodów do narzekań nie ma. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy zrobiono tu więcej niż w okresie minionych 5 lat. Zakład powinien stać już pół roku. Kierownik budowy obiecuje skończyć obiekt z końcem maja.

Waldemar Wełnowski, kierownik budowy kotłowni, stara się uspokoić szefa. *„W sobotę najpóźniej może przejąć robotę „Instal"* — mówi. *Kończę tynki, rozbierzemy rusztowania i mogą montować kotły"* — I tu pełna mobilizacja. Budowa miała być ukończona przed rokiem. Jeżeli „Instal" nie dopisze, nie ma co kontynuować budowy osiedla Jasna. Mieszkania nie otrzymają ciepła.

Zwiedziłem trzy place budów. Wszędzie wspaniałe tempo, przyzwoity porządek, ludzie nie narzekają na brak materiałów. Skąd więc te kłopoty z planem? Dlaczego tarnowskie budownictwo kuleje? Przecież ci ludzie dokonują cudów wznosząc w ciągu miesiąca kotłownię, której cykl normatywny wynosi 24 miesiące, czy nadrabiają w kwartał 5-letnie opóźnienia na innej budowie. Jeżeli tak wszędzie idzie — myślę, to albo te wszystkie normatywy są lipne, albo Kombinat wybuduje do końca roku zamiast 1350 mieszkań dwa razy tyle, a Gosztyła pokaże figę tym wszystkim, którzy dziś patrzą na niego protekcjonalnie i z góry.

Doświadczenie jednak uczy, że zależnie od przyjętej perspektywy i stanowiska „oglądacza", nieco inaczej wygląda rzeczywistość, i choć wstyd mi mojej przewrotności, ale wykalkulowałem, że więcej zobaczę z szoferki „jelcza" niż zza okna eleganckiej dyrektorskiej „wołgi". Zgłosiłem się więc do „Transbudu" z prawem jazdy kategorii I i poprosiłem o przyjęcie mnie do pracy. Chciałem się wpierw na próbę przejechać z innym kierowcą, aby poznać robotę. Uwierzyli, pozwolili...

* * *

4 maja, godz. 6.15. Odziany w drelich i gumowe buty siadam obok Kazimierza Gawrona do kabiny „jelcza 317" — 10 tonowej dłużycy. Mamy następujące zadania: ze Świerczkowa zabieramy płyty K-2-184 i zawozimy je na budowę os. XXX-lecia w Bochni, stamtąd jedziemy do zakładu produkcji Elektromontażu i bierzemy do Tarnowa zbrojenie, potem „do oporu" przewozimy stal zbrojeniową z Hurtowni nr 1 Rzeszowskiej Centrali Materiałów Budowlanych do Fabryki Domów.

W Świerczkowie jesteśmy punktualnie o godz. 7-ej. Oprócz pracowników biura na terenie Rzeszowskiego Przedsiębiorstwa Produkcji Elementów Budowlanych nie widać ludzi. Podjeżdżamy pod pomost załadowczy i czekamy. Po pół godzinie zjawiają się pierwsi pracownicy. Przeczytali zlecenie, ale twierdzą, że płyt, po które przyjechaliśmy nie ma. Hakowy odnalazł wreszcie kilka mokrych jeszcze płyt, dźwig ładuje je na „jelcza". Płyty zostały wykonane na drugiej zmianie poprzedniego dnia. Są aż zielone ze świeżości. — Jedź jak z jajkiem — mówi hakowy. Jak się rozsypią będzie bieda.

Na budowie w Bochni wita nas młody człowiek stekiem tak straszliwych przekleństw, że cała moja edukacja nabyta przy redakcyjnym warsztacie, pod okiem czujnego nauczyciela akademickiego Olgierda J. okazuje się zaledwie elementarzem. Czuję się nieswojo, ale kierowca uspokaja mnie informacją, że to młody kierownik budowy okazuje w ten sposób swoje...

Eksport w teczce

Nie miały dotąd szczęścia tarnowskie „Azoty" do eksportu. I to nie dlatego, by oferta handlowa tarnowskich chemików była nieatrakcyjna ale, po prostu, potrzeby kraju były większe niż możliwości produkcyjne. Rolnictwo wołało i woła o nawozy, gorzowski „Stilon" o kaproloktam, jasielski „Gamrat" o polichlorek winylu. Tak jest od lat, choć produkcja rośnie.

Jak wyjść z impasu, co zrobić by wilk (rynek wewnętrzny) był syty i owca (eksport) cała?

Łamali nad tym głowy tarnowscy chemicy, a że głowy mają widać nieliche, fachowcami są jak się patrzy, wymyślili... eksport myśli.

Najtańszy dla eksportera, bo nie zużywający surowców, energii, nie wymagający transportu — na dobrą sprawę przedmiot eksportu mieści się w bagażniku małego fiata.

Tylko co sprzedać i komu?

Jak wygrać konkurencję

na rynkach światowych z renomowanymi firmami od lat dzierżącymi prymat, dysponującymi ogromnym zapleczem badawczym i doświadczeniem?

Poligonem tarnowskich chemików stały się instalacje „Tarnowa II". Budowane w latach 1964—1970 na licencjach zagranicznych obiekty, takie jak instalacja półspalania metanu, suspensyjnego polichlorku winylu, akrylonitrylu i inne pozwoliły kilkuset-osobowej kadrze inżynieryjnej na bezpośredni kontakt, na otarcie się o chemię na świecie. Okazało się, że

nie taki diabeł straszny jak go malują

i młoda kadra techniczna „Azotów", wsparta doświadczeniem i wiedzą kilku starszych inżynierów z ówczesnym dyrektoren technicznym Zbigniewem Szczypińskim na czele poczęła radzić sobie nieźle.

Początek, jak to zwykle bywa, nie był efektowny i dziennikarze z rzadka zaglądali do pracowni technologicznych i projektowych, gdzie utworzone specjalne inżynierskie zespoły technologiczne pracowały nad rozwiązaniem najistotniejszych dla rozwoju przedsiębiorstwa problemów technicznych.

P i e r w s z y w y g r a n y etap to opracowanie wspólnie z Instytutem Chemii Przemysłowej z Warszawy

procesu otrzymywania cykloheksanolu z benzenu

uruchomienie instalacji o zdolności 25 tys. ton na rok w tarnowskich „Azotach", eksport wewnętrzny czyli sprzedaż dokumentacji podobnej instalacji, tyle że o zdolności 50 tys. ton, do puławskich „Azotów", a następnie... ale o tym za chwilę.

E t a p e m d r u g i m określić można eksport *know how* na modernizację instalacji metanu Zakładów Chemicznych w Duslo Sole w Czechosłowacji. Był to największy w historii polskiego handlu zagranicznego eksport rzeczywiście polskiej myśli technicznej — za kwotę 5 mln złotych dewizowych.

Zadziwiające było tempo w opanowaniu tej technologii przez chemików z Tarnowa. Jeszcze mamy w pamięci trudności z uruchomieniem instalacji przez Włochów z Monte Catini, firmy od której tarnowianie kupili licencję i twardą decyzję rezygnacji z ich pomocy, a już stali się sami specami w tej dziedzinie.

Angielski termin „know — how" brzmi w dosłownym tłumaczeniu *„wiem jak"* — i oznacza przewagę sprzedającego nad innymi w znajomości danej technologii. Przewagę tę tarnowianie uzyskali.

Towar to przedni, najprzedniejszy

W tym przypadku umowa obejmowała, prócz dokumentacji również dostawy nietypowego wyposażenia jak palniki, zawory, płyty (wszystko rodem z Tarnowa), przeszkolenie personelu czechosłowackiego również w tarnowskich „Azotach" itp. Wszystko opłacono w twardych dewizach. Korzyści niewymierne. Nie licząc zarobionych złotych dewizowych, przede wszystkim transakcja ta zwróciła uwagę na światowym rynku eksporterów na tarnowskich chemików. Oni zaś uwierzyli we własne siły.

Fakt ten zaczyna procentować. Uwagę czechosłowackich fachowców zwróciła wspomniana wyżej technologia otrzymywania cykloheksanolu z benzenu. Nie tyle ze względu na swą oryginalność, podobną technologię stosuje wiele firm zagranicznych, ale tarnowska jest najbezpieczniejsza, daje najmniej ścieków, wskaźniki surowcowe zaś nie gorsze, a niekiedy nawet lepsze, niż w renomowanych wytwórniach chemicznych na świecie. To powoduje, że

tarnowianie wygrywają przetarg

z firmami z RFN i Japonii i w lutym 1977 roku finalizują umowę znowu największą w historii sprzedaży polskiej myśli technicznej, w wyniku której dostarczą dokumentację na budowę kompletnej wytwórni cenonu z benzezu o zdolności 80 tys. ton na rok dla Zakładów Chemicznych „Chemko-Strażke"w Czechosłowacji. I to jest następny w y g r a n y e t a p.

* * *

Tarnowskie „Azoty" stały się liderem eksportu polskiej myśli technicznej. Rezultatami pracy tarnowskich chemików interesuje się wiele zagranicznych firm. W przygotowaniu są następne kontrakty. Miarą popularności i znaczenia eksportu tarnowskiej myśli technicznej jest fakt, że niektóre zachodnie centrale handlowe proponują współpracę we wspólnej sprzedaży tarnowskich technologii na rynkach światowych.

60 zespołów inżynierskich zajmuje się w tarnowskich „Azotach" postępem technicznym. Organizowana jest specjalna komórka do eksportu myśli technicznej.

Pracują szybko i skutecznie. Dwanaście następnych technologii zgłoszonych przez tarnowskich chemików do centrali handlu zagranicznego oczekuje na nabywców. Jeszcze wprawdzie ci ostatni nie ustawiają się w kolejce, jeszcze trzeba o nich zabiegać, ale może i do tego dojdzie?

EUGENIUSZ GŁOMB

ukontentowanie. Nasz przyjazd ożywił siedzącą grupę kilkunastu robotników. Hakowy cieszy się, że są płyty, bo właśnie na takie czeka. Piętrzą się co prawda sterty różnych innych płyt, ale potrzebnych akurat nie ma. — Czy przywieziecie więcej? — Dzisiaj nie — mówi Gawron. — Cholera — odpowiada hakowy. Przed kilku dniami przywieźli tu płyty zupełnie nieprzydatne na tę budowę. Odesłałem je tym samym samochodem z powrotem do Tarnowa. Mimo jednak pilnej potrzeby mija pół godziny nim dźwig zaczyna ściągać materiał. Wyładunek trwał 5 minut. Jedziemy do „Elektromontażu".

— Na razie odpukać — mówi Gawron — układa się wszystko jak po maśle. Byle tak dalej.

— W „Elektromontażu" dziwią się, że nie mamy dźwigu. Zbrojenie waży tonę, więc ludzie rękami nie załadują. Każą nam w końcu czekać, może dźwig nadejdzie.

na rozładunek czekają trzy wagony, ale nie ma dźwigu. Od 9 rano tarnowski Kombinat Budownictwa obiecuje przysłać „kraza". W międzyczasie odjechał już pusto ciężki samochód Kombinatu, od 8-mej rano czeka na ładunek 16-tonowy „jelcz" „Transbudu". Kierownik dzwoni jeszcze raz. Obiecują, że dźwig przyślą za 15 minut. Mija godzina, druga, dźwigu nie ma. W końcu kierownik decyduje, że załaduje na nasz pojazd blachę. Będziemy ją wieźli do odległego o kilkaset metrów magazynu Kombinatu. — Za kilka dni — mówi Gawron — trzeba będzie ją znów przewozić gdzieś na budowę.

Blachę ma podnosić dźwig 3-tonowy przysłany rano przez Kombinat. Wiązka kilkunastu arkuszy waży ok. 3 ton, dźwig napina się, liny trzeszczą, ale ciężaru nie można ruszyć z miejsca. Operator blokuje wszystkie luzy, strzelają co chwilę bezpieczniki, do pomocy

taki bezład stał się apatyczny, przestał szarpać sobie nerwy. Cóż by, np. dało gdybym w Elektromontażu w Bochni, skąd odjechaliśmy z kwitkiem, apelował do serc i sumień. Ludzie gołymi rękami towaru nie załadują. Jak gdzieś na górze czegoś nie dograją to potem źle idzie.

* * *

Niemal w każdym zakładzie, który odwiedzam słyszę narzekania na brak taboru. Niewiele pojazdów posiada komunikacja miejska, transport handlowy, budownictwo. Jakże więc można w takiej sytuacji tak lekceważąco poczynać sobie z posiadanymi pojazdami? Tak skandaliczny brak organizacji pracy to chyba nie tylko niedociągnięcia, które należy rozważać w kategoriach przewinień służbowych. Są to poważne zaniedbania, których efektem jest poważne marnotrawstwo środków, czasu pracy ludzi, i taboru.

PO BUDOWACH

Siedzimy w szoferce, Gawron częstuje mnie świetnymi kanapkami, jego żona nie pracuje, więc troszczy się o zaopatrzenie. Przy śniadaniu wspomina o zdarzeniu, jakie miał 22 kwietnia. Zabrał stąd na jedną z budów „Elektromontażu" zbrojenie. Przyjechał na miejsce o 12.20 i zgłosił się do kierownika budowy. Kierownik dobrze na oko podpity odmówił przyjęcia materiału. Wykrzykując, że nie będzie po pijanemu załatwiał, wyrzucił kierowcę z biura, nie pozwolił zatelefonować do dyrektora „Elektromontażu". Gawron z ładunkiem odjechał do swojej bazy. Zadzwonił do dyrekcji, dyrektor prosił aby jeszcze raz pojechał i ładunek zrzucił. Była to jednak sobota i ładowacze pojechali do domu. Musiał więc specjalnie przyjechać w niedzielę i opróżnić pojazd. Całą sprawę opisał w notatce służbowej, którą pozostawił u kierownika transportu „Elektromontażu". Sprawa jednak do dziś utknęła w biurku.

Czekanie na dźwig przedłuża się. Mija godzina. Decydujemy się — fabryka domów czeka bowiem na stal z hurtowni — jechać do Tarnowa bez ładunku. W Rzeszowskiej Hurtowni jesteśmy o 11.45. Gawron idzie do kierownika. Z budynku dochodzi głośna dyskusja więc idę posłuchać.

W Hurtowni jest mnóstwo towaru,

staje kilku ludzi, kierownik bazy, kilku kierowców, ale blacha ani rusz nie idzie. Decydujemy się rozdzielić wiązkę. Dźwig unosi zaledwie 4 arkusze, potem jeszcze 6, kilka arkuszy podnosimy na wózku. Wyruszamy z Hurtowni o 13.10. Drugi „jelcz" stoi dalej i czeka na ładunek.

Przyjeżdżamy do magazynu Kombinatu. Jest 13.15. O 14-tej podjeżdża do nas dźwig. Jest operator, hakowy, ale potrzeba jeszcze pomocnika hakowego. Znajdują wreszcie starszego człowieka, który siedzi na portierni, szukają dla niego drelichu, rękawic, gumowych butów. Kurtka i rękawice są, butów nie ma. Starszy człowiek wspina się na samochód, przyczepia hak do uchwytu. Ładunek znika z samochodu o godz. 14.20. Kończy się dniówka.

Szybko sporządzamy bilans dnia. Przewieźliśmy około 10 ton materiału, pracujący na akord Gawron zarobił przez cały dzień 90 zł 80 gr. Ile zarobił „Transbud" nie wydaje się istotne, i tak Kombinat płaci mu na pewno za godziny. Ile natomiast my „zarobiliśmy", pozostawiam do wyliczenia ekonomistom.

Kierowca Gawron nie wydał się być zdziwiony. — Dzień jak dzień, ani lepszy, ani gorszy od innych — podsumował. — Człowiek widząc co dzień

Na zupełną groteskę zakrawa sytuacja jaka ma miejsce w Hurtowni Rzeszowskiej Centrali Materiałów Budowlanych. Na dobrą sprawę skład ten pozbawiony jest zupełnie sprzętu załadowczego i przyjeżdżający tu kierowca musi się liczyć z loterią: będzie dźwig, czy go nie będzie, załadują towar czy też odjedzie się próżno.

Razi brak łączności między placami budowy, a centralą kombinatu. Goszcząc u dyrektora Stanisława Gosztyły oglądałem stację krótkofalówek i punkt odbioru meldunków. Dlaczego więc budowa w Bochni oczekuje bezskutecznie na potrzebne elementy? Przecież sygnał o braku materiałów powinien natychmiast dojść do centrali.

I kilka uwag o samym transporcie. Nadal doskwiera brak części zamiennych. W dniu, w którym byłem w Transbudzie aż jedna czwarta pojazdów stała unieruchomiona z powodu braku części. Zdarza się — jak mówili kierowcy — że z powodu braku bzdurnego paska klinowego samochód stoi dwa, trzy dni.

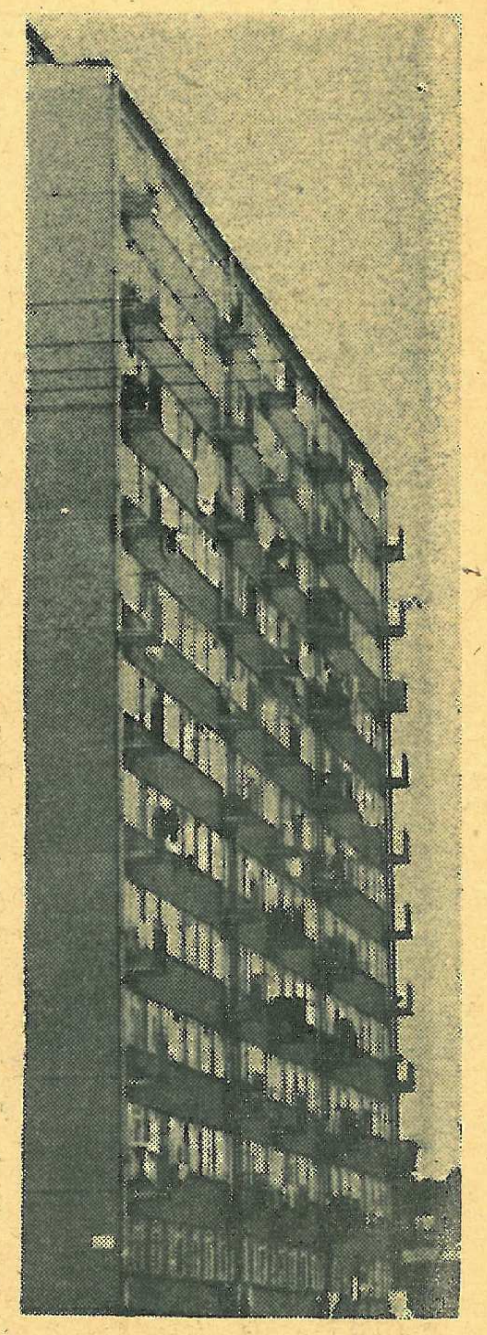

Fot. Jerzy Sadecki

Jakie wnioski? Zadbać o lepszą organizację pracy, skończyć z improwizacją, bałaganem, beztroską. Wszyscy to znamy. Weźmy się wreszcie do roboty.

ZBIGNIEW SATAŁA

Nim staniesz do egzaminu

Ledwie (pomyślnie) zakończyły się matury, a tu znów przed nami „nerwówa": egzaminy na wyższe uczelnie. Rodzice i nauczyciele każą przysiąść fałdów, i słusznie — bez wiedzy nie ma czego szukać na studiach. Ale wszystkim ustawiającym się w kolejce po indeks (a także wszystkim, których czeka jakikolwiek egzamin) przydatne może być tych kilka przykazań opracowanych przez psychologów.

Wierz w siebie

„Jestem inteligentny, mam dobrą pamięć i sporo wiadomości. A przynajmniej jedno z tego." — takie lub podobne zdania należy sobie często powtarzać. Za wszelką zaś cenę nie należy poddawać się panice objawiającej się często wypowiadanymi w tym okresie ocenami: *„Głupi jestem, nic nie umiem, nie zdam"*. Wiara we własne siły i umiejętności na pewno pomoże w nauce.

Sprawdź, kiedy ci się najlepiej pracuje

Jeśli nagrywamy muzykę na taśmie nie najlepszej jakości, przy hałasie i zakłóceniach to nie dziwi nas niski poziom nagrania. Nasz mózg aczkolwiek działa na innych zasadach niż magnetofon, reaguje także na warunki, w jakich pracuje. Możemy sami mu tę pracę ułatwiać lub utrudniać.

Jedni pracują najlepiej rano, inni wieczorem czy w nocy. Warto zorientować się, do której grupy przynależymy, i — teraz kiedy nie ma już zajęć w szkole i można swobodnie dysponować czasem — ustalić najoptymalniejsze godziny nauki. I to stałe, konsekwentnie przestrzegane.

Różna także jest u ludzi zdolność koncentracji przy nauce. Jeśli komuś potrzebny jest absolutny spokój, przeszkadza mu towarzystwo innych osób to trudno, trzeba spróbować wyegzekwować od domowników takie warunki. Jeśli się nie da, przenieść się do biblioteki czy czytelni. I pamiętać o zgromadzeniu pod ręką wszelkich potrzebnych książek, zeszytów, tablic itp. by nie odrywać się od pracy dla szukania materiałów.

Mózg też się męczy — daj mu odpocząć

Co nie znaczy, iż należy siedzieć kołkiem kilka godzin. Przerwy są bardzo wskazane. I nie tylko przerwy. Nauka w tym okresie jest najważniejsza ale nie może być jedynym zajęciem. Nasz mózg tego nie wytrzyma. Możliwości uczenia się i zapamiętywania są ograniczone. Po przekroczeniu pewnej ilości wchłanianych informacji, sprawność umysłowa spada, nie tylko gorzej zapamiętujemy, ale i łatwiej zapominamy. Kucie po dwadzieścia godzin dziennie może się okazać po prostu nieopłacalne. Toteż stwierdzenie: *„Nie mam czasu na spacer, bo muszę się uczyć"* — jest bzdurne.

Podobnie ma się sprawa ze snem. Nie wolno go zarywać kosztem nauki, bo daje ona wówczas gorsze rezultaty. W czasie snu nasz system nerwowy nie tylko regeneruje swoje siły, ale i pracuje nadal, porządkując wyuczone wiadomości. Nie możemy mu tej możliwości odbierać.

Wpierw trzeba wiedzieć, ile się wie

Do egzaminu p o w t a r z a m y materiał, a nie uczymy się go od nowa. Oczywiście stopień jego opanowania jest różny. Trzeba więc rozpocząć od zorientowania się, co i w jakim stopniu się umie, jakie luki ma nasza wiedza. Najlepiej zrobić to w dwójkę lub w kilka osób. Wymyślamy kilkadziesiąt pytań z danego przedmiotu (im trudniejsze, bardziej skomplikowane i oryginalniejsze tym lepiej) po czym odpowiadamy na nie nie zaglądając do książek czy zeszytów. Po takim odpytaniu wypisujemy sobie tematy, z którymi mieliśmy kłopoty. Trzeba im będzie poświęcić więcej czasu.

Planuj pracę i plany wykonuj

Teraz można przystąpić do planowania pracy. Cały materiał warto podzielić na kilka części łączących się ze sobą w logiczną całość i na jedną lub dwie takie partie przeznaczyć jakiś okres czasu. Jeśli egzaminy będą z więcej niż 2 przedmiotów, najlepiej uczyć się tygodniami na zmianę po dwa. Przy czym dobierać je na zasadzie kontrastu, np. biologia i język obcy.

Na początku tygodnia dobrze jest zrobić sobie dokładny plan powtórki, dzieląc daną część materiału na mniejsze rozdziały. Zaczynamy jednak od przypomnienia całości danej partii, czytając ją. Potem powtarzamy głośno poszczególne rozdziały robiąc jednocześnie konspekt. Takie skrótowe notatki robione na osobnych kartkach bardzo się jeszcze przydadzą. Po trzech dniach wrócić należy do przypomnianego materiału, ale rozpoczynając od głośnego powtórzenia materiału, a dopiero potem przeczytać notatki.

Nie kuj, czego nie rozumiesz

Obowiązywać musi przy tym żelazna zasada — nie kuję na pamięć materiału, którego nie rozumiem. Nie opłaca się to, mechaniczne zapamiętywanie tekstu nie rozumianego przychodzi wolniej i gorzej, szybciej się go zapomina. Ponadto pytania na egzaminach wstępnych często są tak sformułowane, że nie sposób odpowiedzieć jeśli się tylko „wykuło", a nie zrozumiało materiału.

Przed samym egzaminem odpocznij

Planując naukę odliczyć trzeba z czasu, którym dysponujemy 7-8 dni. Z tego tydzień przeznaczymy na przejrzenie wszystkich konspektów i notatek, zaś 1-2 ostatnie dni przed egzaminem na nieróbstwo. Różnica pomiędzy mózgiem a magnetofonem polega m. in. na tym, iż nagranie magnetofonowe można od razu odtworzyć i będzie ono takie samo również po dwudziestym przegraniu. Nasza pamięć jest natomiast zmienna, przyjęte informacje muszą się w niej najpierw „uleżeć", toteż wyuczony materiał pamiętamy lepiej po 2-3 dniach, niż bezpośrednio po nauce. Dodatkowa nauka w tym czasie psuje tylko efekt zapamiętywania.

Głodny i niewyspany gorzej myślisz

Na egzaminie trzeba być wyspanym, nie może być mowy o zarwaniu nocy dla nauki. Wieczorem jedynie przejrzeć (ale nie powtarzać) szybko notatki i to nie dłużej niż godzinę. Obowiązkowo zjeść śniadanie — człowiek głodny gorzej myśli. A gdy został jeszcze czas, wybrać się na spacer. To lepsze niż sterczenie godzinę pod drzwiami i denerwowanie się rozmowami o tym, co kto umie, a czego nie. Można zabrać ze sobą notatki, ale nie należy ich gorączkowo wertować przed wejściem na salę. W stanie przedegzaminacyjnej tremy możemy bowiem za prędko dojść do wniosku, że nic nie umiemy i pogłębić zdenerwowanie. Zabieramy więc konspekty tylko po to, by świadomość, że są i można do nich zajrzeć, dodała nam pewności.

Odpowiedź zacznij od najłatwiejszego pytania

A na samym już egzaminie konieczna jest koncentracja. Nie pomaga w tym wiercenie się, rozglądanie, rozpaczliwe wyglądanie pomocy. To rozprasza uwagę i przeszkadza w myśleniu. A jeśli odpowiedzieć trzeba na kilka pytań, zacząć warto od najłatwiejszego, najlepiej znanego. Dobra odpowiedź poprawia samopoczucie.

EWA BARAN

ŻWIR KTÓRE NIE BŁYSZCZY

Spychacz na żwirowej pryzmie, na tle nieba i zielonych wzgórz okalających dolinę. W pobliżu samotnego komina starej cegielni strzegocickiej ziemia zryta oponami wywrotek. Ziemia, w którą wgryzają się pogłębiarki aby dotrzeć do „budowlanego złota". Tak nazwano kruszywo zalegające dolinę Wisłoki.

Żwirowe bogactwo stało się nieszczęściem tej doliny. Domy rosną, potrzeba więc dużo kruszywa, bo z niego beton i prefabrykaty. Ponad 120 mln ton kruszyw dobywa się w kraju co roku w zorganizowanej przemysłowej eksploatacji. Przemysł to drugi po górnictwie węglowym jeśli chodzi o masę wytwarzanych produktów oraz zaangażowanie transportu. Jak każdy przemysł niesie z sobą dobrodziejstwa i szkody. Gdzieś buduje, gdzie indziej niszczy. Musi budować, ale czy niszczenie jest koniecznością?

Tarnowskie złoża kruszyw są jednymi z najbogatszych w Polsce południowej. Według sporządzonego bilansu kopalin znajduje się tutaj 7 proc. krajowych zasobów. Rozpoznano złoża zawierające 359,5 mln ton żwirów i piasków ale wydobyć można tylko niecałe 130 mln. Pozostałe złoża leżą na terenach, których nikt nie zezwoli niszczyć, bo zbyt cenna to ziemia dla rolnictwa. Kruszywo jest wysokiej jakości. Znaczenie tarnowskiego okręgu podnosi jeszcze fakt bliskiego sąsiedztwa z pozbawionym kruszyw województwem kieleckim i rejonem Krakowa — wielkim odbiorcą tego surowca.

W 1977 r. w Instytucie Geologii i Surowców Mineralnych AGH sporządzono **„Atlas geologiczno-surowcowy tarnowskiego okręgu eksploatacji kruszyw naturalnych"**. Powyższe dane pochodzą z tego właśnie atlasu. Napisano w nim również, że tarnowskie zasoby muszą pozostać głównym źródłem kruszyw naturalnych dla województwa a podstawowym problemem eksploatacji jest *„całkowite wykorzystanie złóż aż do spongu* (dolnej granicy złoża — przyp. J. P.) *co z racji posiadanego obecnie sprzętu budzi pewien niepokój"*.

W latach 1964—65 krakowski „Hydroprojekt" opracował studium Wisłoki. Projektowano budowę zapory wodnej w Kamienicy Dolnej proponując, aby wcześniej wydobyć pokłady kruszywa znajdujące się w tarasie zalewowym, które udokumentowano przy okazji prac studialnych. Z budowy zapory zrezygnowano z uwagi na wartość gruntów rolnych, jakie miały ulec zatopieniu. Rozpoznane złoża kopalin stały się przedmiotem eksploatacji. Legalnej i nielegalnej. Wisłoka stała się wielką kopalnią kruszywa.

Dobywać żwir nielegalnie to znaczy wejść na teren bez zezwolenia wodno-prawnego czyli eksploatować złoża „na dziko". Przepisy „Prawa wodnego" określają, kiedy pozwolenia wydać nie należy. Po pierwsze: gdy sposób korzystania z wody jest sprzeczny z kierunkiem rozwoju gospodarki narodowej, ochrony środowiska lub gdy poziom wody uległby obniżeniu. W pozwoleniu wodno-prawnym zobowiązuje się zakład do wykonywania i utrzymywania urządzeń zapobiegających szkodom.

*

Wnioskami o pozwolenie na dalszą eksploatację kruszyw zaczęto zasypywać tarnowski Urząd Wojewódzki od chwili jego powstania. Tymczasem już w 1976 r. stwierdzono; na skutek dobywania żwiru z dna rzeki jej koryto obniżyło się o półtora metra powodując erozję dopływów i obniżenie poziomu wód podziemnych uzależnionych od poziomu lustra wody w Wisłoce. Odmówiono wtedy wydania pozwoleń wodno-prawnych na wydobycie ok. 300 tys. m. sześć. kruszywa. Rzeszowskie Przedsiębiorstwo Produkcji Kruszyw i Usług Geologicznych „Kruszgeo", które na skalę przemysłową zajmuje się eksploatacją żwirów m. in. w dolinie Wisłoki, wniosek o zezwolenie na dobywanie kruszywa w rejonie cegielni w Strzegocicach złożyło w Urzędzie Wojewódzkim w październiku 1975 r. Kilka następnych miesięcy czekano na odpowiedź. W marcu 1976 r. przyszło pismo, że wniosek będzie rozpatrzony w drugim półroczu, zaś w kwietniu główny specjalista z Wojewódzkiej Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich zastrzegł, że *„Przedsiębiorstwo nie ma prawa eksploatować kruszywa do czasu uzyskania pozwolenia wodno-prawnego"*. Tamci jednak zaczęli kopać bez pozwolenia i tak zostało do dziś. Nie możemy zwlekać, bo na kruszywo czeka przemysł budowlany — tłumaczyli.

Wniosek „Kruszgeo" leżał długo bo się Urząd organizował — wyjaśniono mi w Wydziale Rolnictwa U. W. Dopiero od stycznia 1976 r. rozpoczęli przegląd wszystkich papierów i dokumentów jakie zwieziono z Rzeszowa i Krakowa po reorganizacji. Ze starych województw do nowego. Jedna osoba musiała się początkowo tym wszystkim zajmować, nim odszukała potrzebne akta — czas płynął. Potem wysłali w teren kontrole: jedną, drugą, trzecią i przyłapali „Kruszgeo", że kopie tam gdzie nie dozwolono.

— Kiedy otrzymywali wiadomość, że przyjeżdża kontrola z Województwa znikał kierownik, dokumentacja. Nikt nic nie wiedział. Na Józefa eksploatowano również żwir z koryta rzeki — mówi jeden z pracowników wydziału i pokazuje protokoły, żebym nie myślał, że wszystko co opowiada jest bez pokrycia.

12.4.1976 r. wizyta w Strzegocicach. *„Na terenie eksploatacji żadnych planów, pozwolenia ani dokumentów. Obywatel Jan Stróż — kierownik (?) ma tylko polecenie na załadunek samochodów przedsiębiorstw z Jasła, Krosna, Rzeszowa, Sanoka i Stalowej Woli"*.

19.3.1976 r. Brak pozwolenia wodno-prawnego. Zastępca kierownika mówi, że pozwolenie jest, ale w Rzeszowie. Na dokumentacji nie widać czy zatwierdzona. Nie oznaczone miejsce, w którym pracują.

5.8.1976 r. Protokół z Zakładu Eksploatacji Kruszywa w Mokrzcu. Kierownik zakładu nieobecny. Decyzja na temat umocnienia brzegów rzeki nie wykonana. Nielegalny pobór żwiru z koryta rzeki dla potrzeb Zakładu. Wykonano grodzę przez całą rzekę wysoką na metr ze żwiru pochodzącego z koryta. Bez pozwolenia. Grodza służy jako urządzenie piętrzące wodę dla ujęcia zakładowego na cele produkcyjne.

— Przejmowali praktycznie całą wodę z rzeki dla siebie — mówi inż. Kanior. W sierpniu był niski stan. Musiał być niski skoro zbudowali ten próg. Wody w Wisłoce było przez to jeszcze mniej i nie była w stanie rozpuścić ścieków, jakie spłynęły Czarną z tuczarni w Ładnej. Zmarnowało się wtery sporo ryb. Ryba ścieków nie lubi.

W świetle tych wszystkich kontroli (w Wydziale Rolnictwa mówią: „w świetle tej całej grandy") odmówili wydania pozwolenia wodno-prawnego. Postawili warunki. Te warunki są w treści obfitej korespondencji, którą odmierzone są już nie miesiące a lata. Wydział Rolnictwa swoje, „Kruszgeo" swoje. Protokoły i postanowienia. Załączniki do protokołów i protokoły z kontroli realizacji postanowień. Dużo papieru — mierne skutki. Ogólna bezradność.

— Na nich nie ma siły — mówi Kazimiera Zegartowska. Robią co się im podoba. Z tych papierów wynika, że przedsiębiorstwo nie gwarantuje ładu ani prawidłowej eksploatacji złóż. Jak ich upilnować skoro mamy cztery osoby w wydziale zamiast dwunastu.

Przedstawia mi sytuację tak jak ją widzą w Wydziale Rolnictwa Urzędu Wojewódzkiego. „Kruszgeo" na odcinku od Dębicy do Brzostku dobywa żwir w całym niemal nieskim tarasie Wisłoki, pozostawiając po sobie zdewastowany teren. Doły eksploatacyjne ściągają wody podziemne powodując obniżenie ich poziomu, w studniach wody zaczyna brakować, więc czas najwyższy bić na alarm. Kiedy „Kruszgeo" wystąpiło o wskazanie dalszych terenów eksploatacyjnych oni tutaj w wydziale zasugerowali wyjście korzystne ich zdaniem zarówno dla przedsiębiorstwa jak i dla rolnictwa. Trzeba spiętrzyć wody Wisłoki i zatopić tereny zdewastowane, na których w rejonie Latoszyna, Strzegocic i Mokrzca pozostało w tzw. filarach ochronnych moc żwiru. Można go wydobyć po czym teren zalać tworząc zbiornik, który utrzymując potrzebny poziom wód umożliwi hodowlę ryb i da możliwości rekreacji. Podobne rozwiązanie sugeruje również „Studium koncepcyjne zagospodarowania terenów poeksploatacyjnych kruszywa w miejscowościach Mokrzec, Jaworze i Strzegocice". Opracował je „Hydroprojekt" na zlecenie „Kruszgeo" w grudniu ubiegłego roku a w styczniu Studium wraz z pismem przewodnim rzeszowskiego przedsiębiorstwa w sprawie pozwolenia wodno-prawnego znalazło się na biurku w Wydziale Rolnictwa. Tu przejrzeli je i porównali ze swoimi uwagami. *„Teren mimo prowadzonej na niektórych złożach rekultywacji posiada charakter wielkich nieużytków i pozostaje w sprzeczności krajobrazowej z otaczającym środowiskiem"*. Zgadza się. *„Rekultywacja poszczególnych złóż polega głównie na pozostawianiu basenów po wyrobiskach z częściowym oddaniem w użytkowanie rolnicze niewielkich obszarów"*. Zgadza się również. *„Eksploatacja z basenów poza korytem rzeki powoduje i powodować będzie niekorzystne zmiany w stosunkach hydrogeologicznych na terenach przyległych"*. Oczywiście! Zwiększyć powierzchnię eksploatacji na terenie wo-

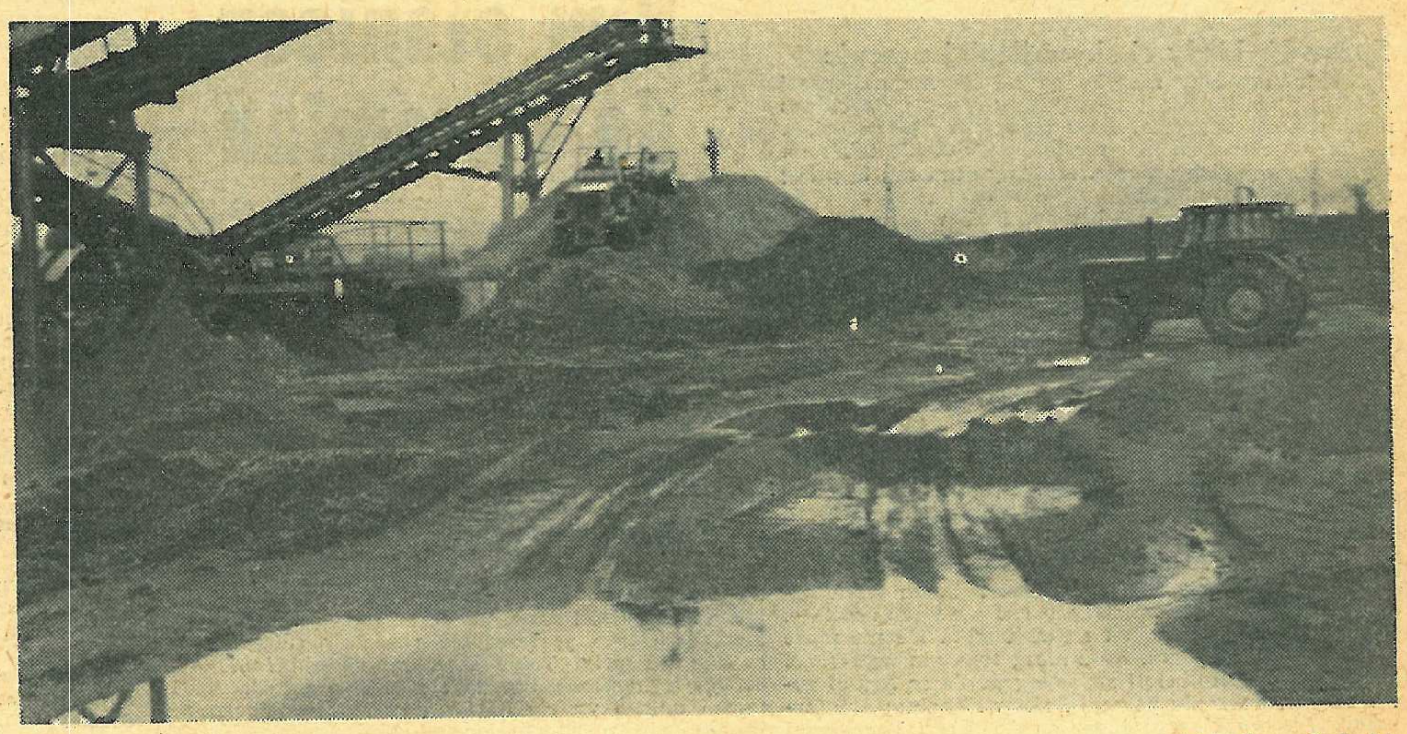

Fot. Jerzy Sadecki

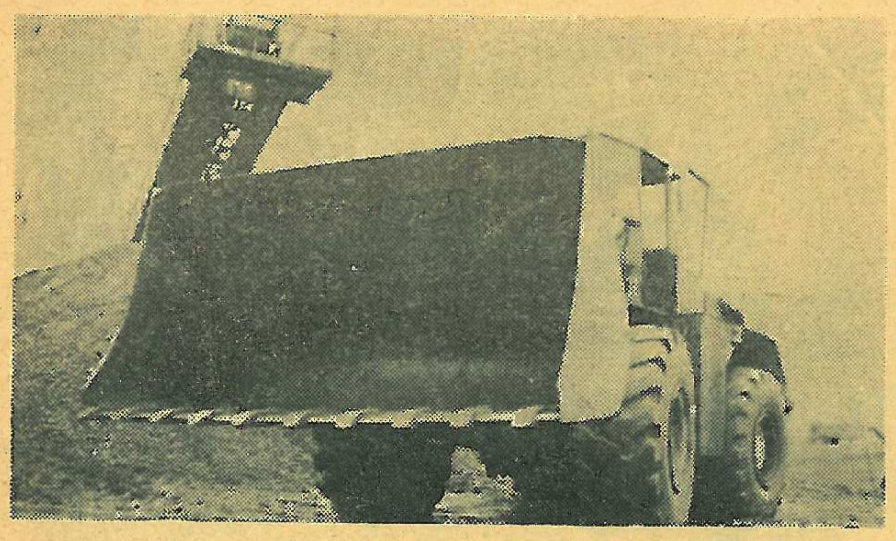

jewództwa tarnowskiego można tylko poprzez uporządkowanie i zagospodarowanie obecnych terenów eksploatacji wzdłuż Wisłoki i rozszerzenia wydobycia z zasobów kruszyw z obszarów bezużytecznych już z rolniczego punktu widzenia. Trzeba spiętrzyć rzekę, bo tylko budowa zbiornika może pogodzić interesy wszystkich — przyznają autorzy Studium i nie inaczej myślą urzędnicy w Wydziale Rolnictwa. Powierzchnia takiego akwenu miałaby ponad 390 ha w pierwszym etapie i do ok. 500 ha po wykonaniu drugiego etapu budowy. Kto ma zafundować zbiornik — nie sprecyzowano. Stwierdzono tylko, że zgodnie z obowiązującymi przepisami zakład eksploatujący ma zapobiegać szkodom.

W Urzędzie Wojewódzkim nie ma wątpliwości, że pieniądze trzeba wycisnąć od „Kruszgeo". W lutym tego roku wojewoda napisał do dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Produkcji Kruszyw i Surowców Mineralnych, że podległe Zjednoczeniu „Kruszgeo" spowodowało duże szkody gospodarcze, które pogłębia nielegalną eksploatacją w Strzegocicach. Pyta wojewoda czy dyrektor zgodzi się na budowę ujęcia wodnego w ramach obowiązku naprawiania szkód i rekultywacji terenu. W przeciwnym razie nie dostaną pozwolenia wodno-prawnego i będą musieli przywrócić teren zdewastowany do pierwotnego stanu. W jaki sposób nie bardzo wiadomo, ale będą musieli.

Z odpowiedzi jaka nadeszła sześć tygodni później wynika, że Zjednoczenie nie ma wielkiej ochoty bawić się w dobrego wujka, który wyłoży grube miliony na taką inwestycję. Tłumacząc dlaczego, dyrektor Emil Kuc powołał się na ustalenia i plany, niektóre jeszcze zatwierdzone przez władze powiatowe. Na zakończenie przyznał, że eksploatacja prowadzona przez „Kruszgeo" może być jednym z czynników przemawiających za podjęciem budowy jazu ale nie jedynym, bo przedsiębiorstwo nie jest wyłącznym użytkownikiem tego terenu. Prawda, że największym, ale są również inni, którzy eksploatują żwir. Niech wojewoda wyda teraz pozwolenie a sprawę budowy zbiornika omówią w szerszym gronie zainteresowanych, ustalą inwestora i udział w kosztach budowy poszczególnych jednostek wybierających kruszywo z doliny Wisłoki. Pustynnienie terenu i szpecenie krajobrazu? Przesada. Dyrektor Zjednoczenia jest przekonany, że prowadzenie racjonalnej i planowej gospodarki złożami nie może doprowadzić do tak katastrofalnych skutków jakie w piśmie przedstawił tarnowski wojewoda.

Problem tylko w tym, czy można mówić o racjonalnym gospodarowaniu. Główny geolog wojewódzki Stanisław Kłęk ma poważne wątpliwości bo do tej pory nie wdrożono tego co określiły parę lat temu decyzje rządowe. W następstwie tych decyzji opracowano w 1976 r. „Kompleksowy program ochrony środowiska dla województwa tarnowskiego", który zatwierdziła Wojewódzka Rada. W nim takie ustalenia:

1) zobowiązać właściwe jednostki do racjonalnej eksploatacji i ochrony gruntów rolnych,

2) maksymalnie ograniczyć eksploatację złóż na gruntach wysokiej klasy oraz egzekwować od jednostek eksploatujących rekultywację terenów oraz ich zagospodarowanie,

3) doprowadzić do udokumentowania zasobów kruszywa, racjonalnej ich eksploatacji oraz skutecznej, sukcesywnej rekultywacji.

— Rekultywacja to jedyne co wojewoda może zapewnić aby nie mieć księżycowego krajobrazu — mówi Kłęk.

Litania pretensji Głównego Geologa jest długa i również odmierzona szeregiem pism, które wysłał do „Kruszgeo".

— Oni się czują zwolnieni od wszelkich obowiązujących inwestora formalności — mówi do mnie i nie brzmi to jak komplement pod adresem rzeszowskiego przedsiębiorstwa. Przykładowo: nie prowadzą rzetelnej dokumentacji na temat racjonalnej eksploatacji złoża. Chodzi także o to, aby dokumentacja umożliwiała bieżące dokładne rozliczenie złoża w każdej chwili. Inne żądania dotyczą optymalnego określenia parametrów ruchu koparki oraz ewidencji strat jakie wynikają z niepełnego wybrania złoża. Lista postulatów jest długa i w większości zawiera życzenia należące do gatunku „pobożnych". Tarnowski geolog traktuje niezwykle poważnie przepisy i uchwały i nie lubi gdy jedzie na kontrolę w teren i widzi, że kopią w innym miejscu niż stało w dokumentach. Tamci znów nie znoszą, gdy się wtrąca i próbuje pouczać w jakim stopniu to co robią ma się do literatury fachowej na ten temat. Stosunki są więc napięte. Niektórzy pracownicy „Kruszgeo" biorą L—4 gdy mają jechać z Rzeszowa na rozmowy do Kłęka.

Słuszności żądań i intencji wojewódzkiego geologa nikt w przedsiębiorstwie nie kwestionuje. Tylko jak je spełnić? W „Kruszgeo" uważają, że myśli mało realistycznie i nie bierze poprawki na to, co jest możliwe do zrobienia a co jest niepodobieństwem. Przecenia na przykład możliwości techniczne przedsiębiorstwa. Wszyscy się zgadzają, że złoże żwiru należy wybierać dokładnie do spongu. Do tego trzeba mieć jednak odpowiedni sprzęt a przemysł kruszyw choć kluczowy nadal niedoinwestowany. Urzędnika, który jest pełnomocnikiem wojewody może to nie obchodzić, ale oni z tym żyją na co dzień. Pogłębiarka sięga siedmiu metrów a bywa że złoże jest jeszcze o parę metrów głębsze.

Przedsiębiorstwo „Kruszgeo" dorobiło się uznaniowego sztandaru za osiągnięcia 1976 r., paru dyplomów oraz reorganizacji, która trochę popsuła wskaźniki roku ubiegłego. Działają na obszarze pięciu województw, dobywają 7 mln ton kruszywa rocznie. W Tarnowskiem są duże złoża ale jeszcze większe kłopoty z ich eksploatacją.

Sztandar wisi na ścianie w gabinecie dyrektora Zdzisława Kozdrańskiego, na stole zaś leży sterta papierowych teczek z korespondencją i dokumentami obrazującymi kłopoty z jakimi spotykają się w Tarnowie. Jest jeszcze więcej papierów, jeśli chcę, mogą pokazać. W Tarnowskiem coraz większe kłopoty więc chyba skoncentrują się na województwie przemyskim, gdzie budują nowy zakład, który będzie prowadził odkrywkę na ponad 100 ha gruntów I, II, III klasy.

Albo będziemy budować albo chronić grunty, nikt innego wyjścia nie wymyślił — mówi dyrektor nie dlatego, aby zachęcał władze tarnowskie do poświęcania dla kruszywa najlepszych gruntów rolnych, ale tak w ogóle. Po prostu w innych województwach łatwiej się dogadać. W Tarnowskiem ciągle kontrowersje. Na przykład w sprawie wody.

— W Wydziale Rolnictwa, mówi Eugeniusz Winiarz — geolog przedsiębiorstwa, powiedzieli panu pewnie, że deficyt wody to przez nas. A ja myślę, że te szkody nie tylko my robimy. Tylko że naszej roboty nie da się ukryć. Widać gdzie kopiemy i jeśli ktoś ma kłopoty z wodą od razu myśli, że przez nas mu woda w studni opada. Czy to my zabieramy wszystką wodę? A może rozrzutnie gospodarują nią te wszystkie spółdzielnie rolnicze, tuczarnie, buraciarnie... Bez wody praca naszych zakładów eksploatacyjnych jest niemożliwa. Dlatego sądzę, że się o wodę staramy lepiej niż ci, co krzyczą, że jej im brakuje.

— Jestem za tym, wtrąca dyrektor, aby pokrywać szkody. Nie mogę się jednak zgodzić na to, aby za państwowe pieniądze zakładać rolnikom wodociągi bo taka teraz moda. Tam gdzie uważamy, że pretensje do nas są słuszne, nie dyskutujemy. Nikt jednak nie może żądać aby przedsiębiorstwo ponosiło odpowiedzialność za wszystkie puste studnie tylko dlatego, że nasz zakład eksploatuje żwir niedaleko.

Podobnie z kruszywami. Kopię najwięcej, to prawda, ale kopią również inni. Jak tamci to robią — nietrudno sobie wyobrazić. Skoro my, mówi dyrektor, jako przemysł kluczowy nie jesteśmy przygotowani do pełnego wybrania złoża, nie potrafi tego dokonać ani kółko rolnicze ani gminna spółdzielnia. Wybiorą co się da z wierzchu i zostawiają potem taki zryty teren. Ale nas się widzi.

Dyrektor ma pretensje, że gdy „Kruszgeo" zaczyna eksploatację od razu przyjeżdżają inspektorzy zaś inni kopią bez dokumentacji, czasem bez zgody lecz za wiedzą i nikt im w tym nie przeszkadza. Stąd jego sugestia, aby miast patrzyć tylko na „Kruszgeo" rozejrzano się co robią inni, bo to może być pouczająca obserwacja.

Wątpliwości dyrektora Kozdrańskiego nie kończą się na tym. Zastanawia się również nad faktycznym pożytkiem tych wszystkich ekspertyz i opracowań wykonywanych na koszt jego przedsiębiorstwa. Szkoda było pieniądze wyrzucać bo pewnie nikt z tego nie korzysta. Tak mu się przynajmniej wydaje, bo większość uwag pod ich adresem dotyczy respektowania przepisów i zarządzeń a więc spraw niejako porządkowych. To nie są w jego przekonaniu dobre uwagi. Dobre to takie, które pozwalają osiągnąć kompromis. Rozsądne. Rozsądne zaś będą wtedy, gdy Urząd wykaże tolerancję tam, gdzie chodzi o rzeczy niemożliwe do spełnienia. Tymczasem w Tarnowie jest jakaś taka atmosfera, żeby nic nie dać. Dyrektor sądzi, że władze wojewódzkie mają ambicję posiadania własnego przedsiębiorstwa, niech sobie więc to załatwią gdzie trzeba bo jemu nic do tego. „Kruszgeo" ma produkować kruszywo — to wszystko. Nie będą tego robić w Tarnowskiem, przeniosą się gdzie indziej. Muszą tylko wiedzieć co jest grane. Wiedzieć muszą już teraz, bo na przygotowanie nowych złóż do eksploatacji potrzebne minimum siedmioletnie wyprzedzenie.

Oddziałowi tarnowskiemu naszego przedsiębiorstwa grozi likwidacja, bo nie mają pozwolenia na dalsze kopanie, choć siedzą na złożach — mówi dyrektor i zastanawia się, skąd będzie brane kruszywo dla planowanych fabryk domów w Tarnowie, Bochni, Dębicy skoro nie wyznacza się nowych terenów.

Zastępca dyrektora d/s rozwoju i postępu technicznego Aleksander Sikorski uświadamia mi, że produkcja w tarnowskiem zjedzie niebawem niepokojąco w dół. W tym roku 3.415 tys. ton ale za osiem lat będzie już tylko 910 tys. Złoża się wyczerpują a na otwarcie nowych nie ma zgody. Bogate w kruszywa województwo stanie się deficytowym. „Kruszgeo" będzie musiało szukać szczęścia w Przemyskiem, Krośnieńskiem...

— Teraz zamiast myśleć o rozwoju i przyszłości przedsiębiorstwa wymieniamy korespondencję. Ciągle niedomówienia, ciągle czegoś brakuje. Co kilka dni jakieś pismo z Tarnowa. Niech pan powie, nie szkoda papieru? Nie ma zakładu o idealnej organizacji, zawsze jest coś do poprawienia. Kto żyje ten grzeszy, nie ma aniołów — mówi dyr. Sikorski dając mi do zrozumienia, że „Kruszgeo" ma prawo do grzechu, ale i w Urzędzie Wojewódzkim nie ma świętych w nadmiarze.

*

Nieprzerwany potok pism płynie w obydwu kierunkach. Każda strona swoje poglądy uzasadnia społecznym interesem. Jedni chcą przed przemysłem chronić środowisko człowieka, drudzy widzą tylko domy, które też są dla ludzi. Racje są podzielone. Rozstrzyganie nie jest kompetencją reportera. O najsłuszniejsze sprawy spierać się można latami. Tutaj jednak zdecydować trzeba szybko. Choćby dlatego, aby oszczędzić papier.

JERZY PIEKARCZYK

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

gromadzeniem maszyn uzyskanym skoku wydajności, intensyfikacji produkcji. „Wyciskania" żył z robotnika. Nic bardziej błędnego. Konfekcjonowanie opon jest operacją tak złożoną, iż nawet lekkie przemęczenie, katar, niedyspozycja fizyczna natychmiast ujawnia się w spadku jakości. Rośnie liczba braków. Tu nie ma mowy o naruszeniu zasad ergonomii. Wiedzy o racjonalnym przystosowaniu wysiłku do możliwości psycho-fizycznych pracownika.

„Stomilowy" krok

Obecnie w Dębicy pracują nad zastosowaniem tej metody szkolenia — a może doskonalenia fachowego załogi na starym wydziale opon. Planuje się dalszą systematyczną pracę nad tym, by eliminować złą rutynę, budującą progi wydajności na stanowisku pracy.

A kto stanowił ową „doświadczalną" załogę?

20% CZŁONKÓW TEJ ZAŁOGI LEGITYMUJE SIĘ UKOŃCZONYM ŚREDNIM WYKSZTAŁCENIEM. TYLKO 1 OSOBA PRZEKROCZYŁA WIEK 30 LAT. DWIE TRZECIE WYRÓŻNIONYCH TO KOBIETY. NIKT NIE MA PRZYGOTOWANIA MNIEJSZEGO NIŻ ZASADNICZE ZAWODOWE.

Tak mówi rozbiór statystyczny grupy ludzkiej, która przełamała magiczną dla wielu polskich fabryk „barierę" wzrostu wydajności pracy. Nie mówiąc już o innej barierze, którą jest osiąganie mocy projektowanych nowych oddziałów z wielomiesięcznym lub nawet wieloletnim opóźnieniem.

stomil

Wykształceni pracują lepiej

Mówią mi w Dębicy. A potem pokazują listy uczących się, podnoszących swe przygotowanie pracowników. W zespole szkół zawodowych fabryki uczy się teraz ponad 900 osób. W dwu technikach, liceum zawodowym, zasadniczej szkole dla młodzieży i zasadniczej szkole dla pracujących. A więc nie tylko nowoczesne, kolorowe autobusy tworzą pomost między małopolską wioską, która daje „Stomilowi" załogę. Także rozległy, wielostronny program i praktyka kształcenia. A przecież poza zespołem przyfabrycznym szkół zawodowych w ostatnich dwu latach 20 osób ukończyło studia podyplomowe, 74 osoby studia wyższe, 270 szkoły średnie.

Wychodzę przed bramę fabryki w ostrym jeszcze popołudniowym słońcu. I wiem, że tutaj z nauki zrobiono system i codzienną, powszechną praktykę. Przeciskam się między wielkimi ciężarówkami „Transbudu", między rozkopami budowy kolejnego nowego obiektu rosnącej fabryki. I zdaje mi się, że trafiłem na trop najistotniejszej sprawy, jaka się tu rozgrywa: formowania nowego, inteligentnego i wykształconego człowieka, który przez to jest lepszy w produkcji.

I to jest właśnie ten „stomilowy" krok — ku jakości.

JANUSZ RATAJCZAK

Zielone zagłębie

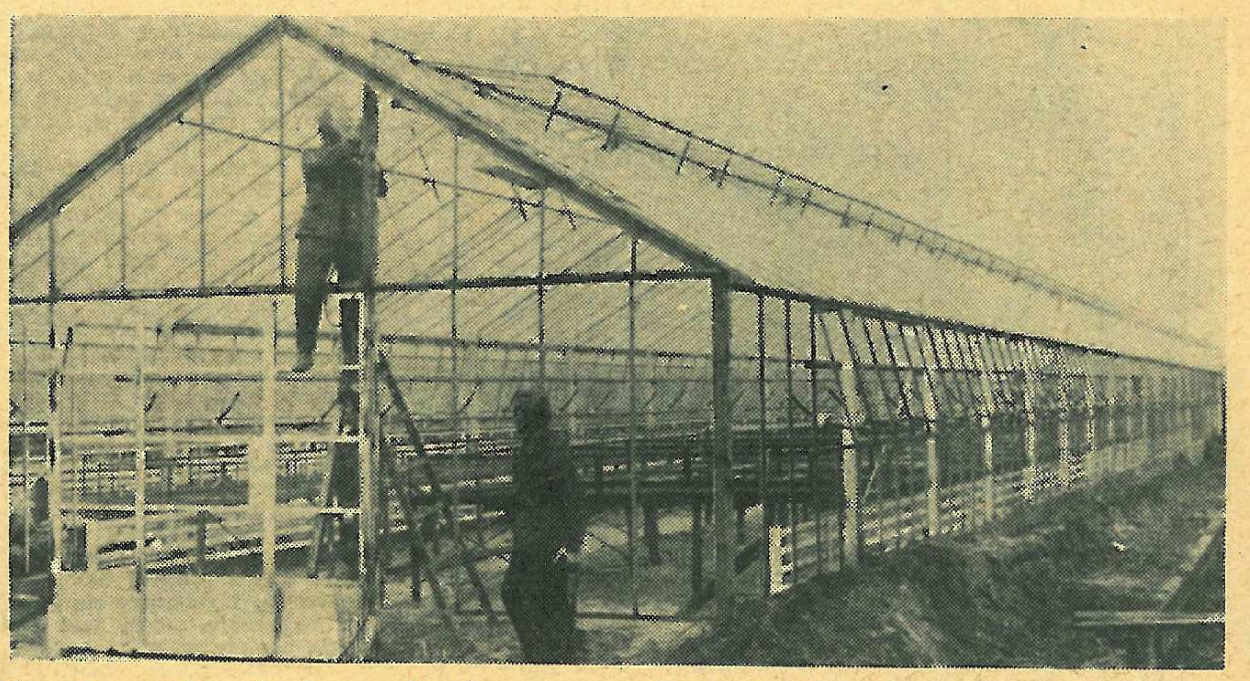

Słuchając codziennych komunikatów meteorologicznych dowiadujemy się, że zwykle w Tarnowie jest cieplej niż w ościennych województwach. Najbliższe sąsiedztwo tego miasta jest jeszcze korzystniejsze pod względem klmiatycznym. Najwyższa w kraju przeciętna temperatury i długi okres wegetacji roślin zapewne zaważyły na rozwoju ogrodnictwa w tym województwie.

Nieprzypadkowo więc przed 45 laty powstało tu jedyne tego typu w Polsce czasopismo w większości poświęcone tej gałęzi produkcji — „Hasło Ogrodniczo-Rolnicze". Kilka dziesiątków lat liczy sobie Technikum Ogrodnicze zlokalizowane w stolicy województwa. Od wielu lat rejon Dąbrowy Tarnowskiej słynie z uprawy dorodnych pomidorów. W byłym powiecie brzeskim rozwinęła się uprawa truskawek. Bocheńskie dało początek nowoczesnemu gospodarowaniu w sadach zblokowanych. W Czchowie zaś z roku na rok powiększa się areał ziemi pokrytej szklanym dachem. Od kilku lat działa, przynosząc województwu sławę — Warzywniczy Zakład Doświadczalny w Przyborowie, dając nie tylko znaczne ilości świeżych witamin dla mieszkańców Tarnowa i Dębicy, ale również coraz więcej nowych ciekawych rozwiązań technologicznych stosowanych w produkcji ogrodniczej.

Tak rozwinięta baza surowcowa miała więc niemały wpływ na rozwój przetwórstwa owocowo-warzywnego w Tarnowskiem. Aktualnie działa tu 12 zakładów tej branży. A zbudowane niedawno przecież w Łąkcie Górnej koło Bochni pierwszy na tarnowskiej wsi, w samym centrum ogrodniczego zagłębia, zakład przetwórczy oraz zamrażalnia owoców i warzyw, już po kilku latach okazały się za małe.

Zajrzyjmy do Czchowa. Największe w Tarnowskiem zaplecze warzywnictwa szklarniowego w indywidualnym rękach. Niełatwe były jego początki — dziś przez cały rok, zarówno w lecie jak i w zimie, zielono tu na przeszło 50 tys. m. kw. Taka jest powierzchnia szklarni. Przybywa warzyw gruntowych, ogrodnicy ustawiają pierwsze tunele foliowe.

Jakże inne jest tu gospodarowanie na rozdrobnionych skrawkach ziemi. Niełatwo przecież krówką (bo i takie obrazki się spotyka) wywieźć furę obornika, kiedy spadek stoku sięga 30 stopni. Jeszcze trudniej zaorać. O maszynowym rozsiewie nawozów nie ma mowy. Nie znaczy to jednak, że czchowscy rolnicy patrzą obojętnie na nowości. Próbują się dostosować do możliwości produkcyjnych na niewielkich zagonach. Jedni postawili na uprawę warzyw, inni zakładają sady. Gospodarstw specjalizujących się w tej produkcji przybywa z każdym rokiem.

Szczególnie upodobali sobie ogrodnicy w Czchowie uprawę ogórków szklarniowych. Żaden inny zakątek województwa nie ma tak idealnych warunków do rozwijania tych upraw, jak rejon Czchowa. Decyduje czystość powietrza. Np. w Krakowie co najmniej 3 razy w roku trzeba myć szyby wielkich połaci szklarniowych, co przecież nie należy do prac łatwych. Tu zaś 6 lat nie czyszczone — są bardziej przeźroczyste, niż te w podwawelskim grodzie.

Warzyw szklarniowych potrzeba nam coraz więcej, więc przyklasnąć należy inicjatywie czchowskich rolników, organizujących nowe szklarnie, myślących o całych zespołach, w których kilku ogrodników mogłoby korzystać z tej samej kotłowni.

Przyborów. Warzywniczy zakład doświadczalny rozłożył się w zacisznym miejscu wśród lasów. Obok wyrosło prawie 8 ha szklarni i 5,5 ha tuneli foliowych. A dalej osiedle mieszkaniowe, całe zaplecze socjalne i techniczne. Wiele ha warzyw gruntowych i różnokolorowych kwiatów. I mimo, że to jest głównym kierunkiem specjalizacji, nie zapomina się o uprawie innych roślin, o hodowli.

Ale Przyborów jest przede wszystkim placówką naukowo-badawczą skierniewickiego Instytutu Warzywnictwa. Prowadzi badania ścisłe i wdrożeniowe. Upowszechnia postęp w produkcji ogrodniczej, kierując na wieś tarnowską najnowsze zdobycze nauki rolniczej. Pod szkłem i folią dominują ogórki, pomidory i kwiaty. Każdy 1 m kw. powierzchni szklarniowej daje kilkanaście kilogramów warzyw. Zakład zatrudnia 24 pracowników z wyższym wykształceniem, 89 — ze średnim, 103 — z ukończoną zasadniczą szkołą zawodową, 32 osoby posiadają tytuły mistrza, 36 — robotnika kwalifikowanego.

Dobre fachowe i ogólne przygotowanie przyborowskiej kadry nie jest bez wpływu na uzyskiwane tam wyniki naukowe, doświadczalne, produkcyjne. Najlepiej świadczą o tym liczby. Przed trzema laty wartość produkcji sięgała tu 31 mln zł. W roku ub. została już podwojona. Jeszcze szybciej rosną dostawy zielonego towaru na rynek.

To wszystko za mało. Trwają więc już przygotowania do rozbudowy ogrodniczego zakładu. Tylko szklarnie zajmą w najbliższej perspektywie 36 ha ziemi. To niewątpliwie nastręczy dodatkowych kłopotów, ale załoga na razie nie zraża się trudnościami. Dość wspomnieć, że obecnie na paliwo wydaje się 21 mln zł rocznie. Za 5 lat zużywać się tu będzie 280 tys. ton węgla. Nietrudno obliczyć, jak gigantyczne to będą ilości, ile trzeba podstawić pociągów, zważywszy, że 1 wagon pomieścić może ok. 40 ton.

Przyborów nie chce być odosobniony w swych poczynaniach na rzecz rozwijania produkcji ogrodniczej. Więc wszystko to, co nowe się tu rodzi, przekazywane jest natychmiast po sprawdzeniu okolicznym gminom, ogrodnikom w 5 województwach południowo-wschodniej Polski.

Pracownicy nauki mogą się poszczycić poważnymi sukcesami w zakresie upraw warzyw tzw. ciepłolubnych (pomidorów, ogórków, fasoli, soi, ziemniaków wczesnych). Główna uwaga zwrócona jest więc na to, aby w uprawie polowej uzyskać jak największy plon, jak najwcześniejszy zbiór. Żeby to uzyskać, trzeba sprawdzić wiele dodatkowych czynników. Kontynuuje się więc doświadczenia w zakresie ochrony roślin przed szkodnikami i chwastami. W dziedzinie mechanizacji prac, w doborze odmian, odporności na nie najlepsze warunki atmosferyczne, opłacalności produkcji warzywniczej. Przeprowadzane są szerokie badania nad stosowaniem nowych technologii w uprawach ogrodniczych, nad wykorzystaniem nie używanych dotychczas odżywczych dodatków do gleby, nad chemicznym i termicznym odkażaniem gleby w szklarniach i tunelach foliowych.

To wiele jak na młodą placówkę naukowo-badawczą. Dobrze przygotowana kadra jednak z powodzeniem realizuje założone przed sobą zadania.

I wreszcie Łąkta Górna — nowoczesna przetwórnia oraz zamrażalnia owoców i warzyw. Zbudowana z inicjatywy miejscowego aktywu przez Gminną Spółdzielnię w Żegocinie. Zaczynano tu od adaptacji podworskich obór i szop. Pierwsze zbiorniki z moszczem i sokami stały pod gołym niebem. To stwarzało dodatkowe kłopoty i niełatwe problemy do rozwiązania. Nie przeszkadzało to jednak w tworzeniu produktu najwyższej jakości, cieszącego się wielkim powodzeniem zarówno na rynku krajowym, jak i zagranicznym. Z roku na rok rosło więc zapotrzebowanie na przetwory owocowo-warzywne. Wśród żegocińskiego aktywu zrodziła się myśl wzniesienia nowej przetwórni. Dzięki zaangażowaniu inwestora i wykonawców, szybko rosły mury nowoczesnego zakładu. Jedni borykali się przecież z niemałymi trudnościami budowlanymi, inni z GS-owskiej załogi w tym czasie przemierzali okoliczne wsie wzdłuż i wszerz, proponując rolnikom rozwijanie uprawy często nie znanych dotąd roślin ogrodniczych. Szybko powstawały sady, rozszerzały się plantacje porzeczkowe i truskawkowe, przybywało zagonów pokrytych fasolą i groszkiem. Wprowadzano na pola maliny i szczaw, pomidory i ogórki. Nierzadko wbrew zaleceniom nauki ogrodniczej. Zwyciężyła jednak praktyka. A może upór, chęć wprowadzenia na żegocińskie pola coraz to innych, bardziej wartościowych roślin? Dziś bliższe i dalsze okolice Żegociny pokrywają się coraz bardziej wielkimi zagonami zielonych witamin, które w Łąkcie z powodzeniem są przystosowywane do konsumpcji przez cały rok.

W miarę jedzenia rośnie apetyt — mówi stare porzekadło. Wzrasta zapotrzebowanie na żegocińskie przetwory. Więc Łąkta przygotowuje się już do rozbudowy zarówno przetwórni jak i zamrażalni. Żegocińska fabryka witamin to nie tylko nowości dla rynku krajowego czy eksportu. To również miejsce pracy dla tysięcy okolicznych rolników, którzy niemal z roku na rok przekształcają się w ogrodników. To dodatkowe tysiące złotych, które wpływają na wieś tej — biednej przecież kiedyś — okolicy bocheńskiego powiatu.

*

To tylko trzy przykłady inicjatyw ogrodniczych tarnowskich rolników i specjalistów. Przyborów, Czchów, czy Łąkta Górna są tylko niewielkimi plamami na rozległej mapie Zielonego Zagłębia. Dzięki tym inicjatywom rośnie zamożność wsi, rozwija się przetwórstwo, przybywa miejsc pracy dla nowych setek i tysięcy młodych rąk. Ale przede wszystkim ważne jest zaopatrzenie rynku, który dzięki tym inicjatywom rokrocznie wzbogaca się o nowe produkty przetwórstwa rolniczego.

EDMUND PIEKARZ

Niezwykły nawóz

Pracownicy naukowi Uniwersytetu w Michigan odkryli nową substancję („Triacontanol"), która rozpuszczona w niewielkiej ilości wody i w tej postaci zastosowana jako nawóz — zapewnia zwiększenie plonów roślin nawet do 40 proc. Chodzi tu o substancję naturalną, która występuje w liściach niektórych roślin i w wosku pszczelim. Około 8 mg otrzymanego z tych surowców preparatu wystarczy do zwiększenia wzrostu i przyspieszenia rozwoju roślin na powierzchni 1 ha. Pod jej wpływem rośliny mogą rozwijać się nie tylko przy świetle, lecz także w ciemności.

Ciepło za pół darmo

W północno-zachodniej części Węgier specjaliści z budapeszteńskiego Instytutu Energetyki przeprowadzili udany eksperyment podtrzymywania pożądanej temperatury w szklarniach przy pomocy „odpadów" — pary użytej wcześniej w elektrociepłowni. Okazuje się, że ogrzewanie „zużytą" parą jest o 40—50 proc. tańsze niż ogrzewanie ropą.

Z 1 barana 10 ubrań

W rumuńskiej stacji badawczo-naukowej owczarstwa położonej w okolicach Konstancy 135 sztuk baranów dawało średnio po 18,5 kg wełny, kilka z nich, nazywanych z uwagi na duży ciężar „białymi żubrami", pobiło wszelkie rekordy dając po 25 kg wełny. Tak więc z wełny jednego „białego żubra" można otrzymać tkaninę na dziesięć garniturów. W roku ubiegłym w wielu gospodarstwach rolnych położonych pod Konstancą rekordowa ilość wełny od jednej owcy tamtejszej rasy merynos wynosiła 10—11 kg.

Maszyny rolnicze dla rejonów górskich

W Zakładzie Instytutu Budownictwa, Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa w Krynicy powstał prototypowy zestaw maszyn do zbioru zielonek na terenach górskich.

Samojezdną kosiarkę i uniwersalny transporter rolniczy zbudowano z różnych elementów i zespołów maszyn rolniczych używanych gdzie indziej. Po próbach, w br. wykonana zostanie tzw. seria informacyjna tych maszyn. Państwowy Ośrodek Maszynowy w Podegrodziu, w kooperacji z innymi zakładami będzie specjalizować się w wytwarzaniu i obsłudze nowych maszyn.

Komputer w szklarni

W Stacji Doświadczalnej w Naaldwijk w Holandii zainstalowano komputer, który na podstawie rozeznania stanu procesów rozwojowych roślin w 24 halach szklarniowych kieruje automatycznie klimatyzacją. Specjalny aparat przelicza elektronicznie odbierane dane o warunkach rozwojowych roślin i „zarządza" optymalne regulowanie temperatury i wilgotności, wietrzenie, ogrzewanie, deszczowanie i wentylację.

Białko z serwatki

We Francji zostanie zbudowany zakład produkujący białko z serwatki. Serwatka w procesie produkcyjnym poddawana jest filtrowaniu na ultra-wirówce, po czym białko fermentuje pod wpływem odpowiednich grzybków. W ciągu doby zakład będzie przerabiał 300 m. sześć. serwatki i wytwarzał z niej 10 t białka, w tym 3 t spożywczego (służącego do żywienia dzieci) i 6 t pastewnego oraz 1 t wyodrębnionych aminokwasów.

W 1975 roku wskaźnik obłożenia łóżka w szpitalach województwa tarnowskiego obliczony w stosunku do przeciętnej liczby łóżek wynosił 346,4 dnia i należał do najwyższych w kraju. Średni okres pobytu chorego w szpitalu wynosił 12,6 dnia, przy równoczesnych średnich krajowych: obłożenie łóżka — 301 dni, okres pobytu w szpitalu — 14,4 dnia.

Nie były to jedyne liczby budzące najwyższy niepokój, a związane ze stanem służby zdrowia w nowym województwie. Także i stan nasycenia kadrą lekarską na 10 tys. mieszkańców sytuował Tarnowskie na jednym z ostatnich miejsc w kraju. *„Nowy podział administracyjny ujawnił w wielu regionach ostre dysproporcje rozwojowe"* — pisała TRYBUNA LUDU. To była właśnie jedna z „dysproporcji".

Minęły 3 lata. Przybył Szpital w Dębicy, otwarto nowy pawilon w Szpitalu Wojewódzkim, i choć sytuacja daleka jest jeszcze od stanu zadawalającego, coraz wyraźniej rysują się perspektywy jej pełnej poprawy. Tymczasem tarnowianie spoglądają z nadzieją w kierunku Rzędzina, gdzie ekipy znanego z solidności Mieleckiego Przedsiębiorstwa Budowlanego wznoszą, także i tym razem sprawnie — mówi się nawet o pewnych przyspieszeniach, co jest w branży budowlanej raczej rzadkością — nowy szpital wojewódzki. Już pojawił się w pejzażu miasta pierwszy budynek przyszłego hotelu pielęgniarek. Drugi obiekt wyrasta z ziemi. Z tyłu potężne wykopy świadczą o tym, że wkrótce przystąpi się do stawiania fundamentów pod główny budynek. W pierwszym etapie, czyli około roku 1983 będzie się tutaj mogło leczyć 610 chorych, później ma przybyć jeszcze 500 łóżek. Perspektywa to dość odległa, ale jest. Jeszcze do niedawna, jako się rzekło, tarnowskie lecznictwo nie miało jej w ogóle.

RYSZARD LIS

Obyśmy zdrowi byli

Sformułowany, jako jeden z pierwszych aktów prawnych nowych władz wojewódzkich „Program rozwoju służby zdrowia i opieki społecznej województwa tarnowskiego w latach 1976—1990" zatwierdzony na sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Tarnowie informuje:

„Wskaźnik łóżek szpitalnych na 10 tys. mieszkańców wynosi u nas 33,9, a wskaźnik krajowy 55.1. (Jest to jeden z najniższych wskaźników w kraju)... Obecna baza lecznictwa zamkniętego (6 szpitali i 1960 łóżek) nie stwarza warunków dostępności i możliwości hospitalizacji wszystkich wymagających leczenia szpitalnego osób w dniu ich zgłoszenia. Rocznie notuje się ok. 3,5 tys. odmów. Nadmierne zagęszczenie łóżek — związane z koniecznością zwiększania ich liczby (dostawki) — pogarsza i tak już trudne warunki leczenia chorych i pracy personelu, ograniczając możliwości zorganizowania zaplecza diagnostycznego, rozwoju rehabilitacji leczniczej oraz odpowiednich warunków socjalnych dla pracowników."

Rozwiązanie zatem leży jedynie w inwestycjach, czyli...

„W drodze budowy obiektu dla Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego, rozbudowy szpitali w Bochni, Brzesku, Tuchowie oraz pełnego uruchomienia szpitala w Dębicy — do roku 1990 osiągnięty zostanie w województwie stan 3.372 łóżek tj. 51,8 łóżek na 10 tys. mieszkańców. Nie dorówna to przewidywanym wskaźnikom krajowym (uważny czytelnik zauważył iż wskaźnik ten jest zbliżony do obecnego krajowego), **pozwoli jednak na pełniejsze niż dotychczas zabezpieczenie ludności województwa..."**

Czy rzeczywiście taka szansa istnieje i jak jest ona odległa w czasie? Z rozmowy z tarnowskimi lekarzami, specjalistami w swych dziedzinach i wielkimi entuzjastami swej humanitarnej profesji, można wynieść wiele optymizmu i wiary. Entuzjazmowi jednak garstki przeczy zwykła, brutalna codzienność tarnowskiego szpitala, tarnowskiej służby zdrowia. Aby sprawy lecznictwa postawić na odpowiednim poziomie potrzebna jest nie tylko baza, kadra lekarska i pielęgniarska, ale także odpowiedni klimat, wszechstronna opieka i pomoc władz. Leczenie chorych trzeba zacząć od leczenia tarnowskiego szpitalnictwa. Optymistyczne jest to, iż taka kuracja się właśnie zaczęła. Czy uda się ją doprowadzić do końca?

Dzień dzisiejszy tarnowskiego szpitala nie może nikogo nastrajać optymistycznie. Jego codzienne problemy znane są powszechnie mieszkańcom Tarnowa, dyrekcji a także władzom. Ciasnota, antyhigieniczne warunki leczenia, brak lekarzy, pielęgniarek i salowych, brak nowoczesnej aparatury, to tylko kilka spośród wielu spraw wymagających natychmiastowego rozwiązania, aby stworzyć chorym możliwie najlepsze wrunki leczenia. Robi się w tych dziedzinach sporo, ale zmiany następują zbyt wolno.

Dopiero w ub. roku tarnowski szpital uzyskał, dzięki wybudowaniu nowego pawilonu, 80 dodatkowych łóżek. Drugi pawilon na 130 łóżek już się buduje. Dzięki temu zorganizowano nowe oddziały — neurologiczny, medycyny rozrodu, urologii, drugi oddział wewnętrzny. Powstały one i pracują kosztem ograniczenia zatrudnienia w oddziałach już istniejących. W ostatnich latach personelu medycznego, a szczególnie pielęgniarek — nie przybyło, a wręcz odwrotnie. W br. wojewódzki szpital otrzymał nakaz ograniczenia zatrudnienia dalszych 60 osób. A przecież powszechnie wiadomo, że podczas nocnego dyżuru na jedną pielęgniarkę przypada ponad 50 łóżek. Dzienne dyżury nie mają także pełnej obsady. Trudno w tych warunkach zapewnić chorym właściwą opiekę. Jak istniejącą sytuację pogodzić z ambitnymi założeniami cytowanego już programu rozwoju służby zdrowia, który zakłada w roku 1990 podwojenie liczby pracujących w województwie lekarzy oraz pielęgniarek? Nie trzeba chyba nikogo przekonywać o tym, że w tej dziedzinie właśnie ludzie decydują o wszystkim. Muszą to jednak być dużej klasy fachowcy i powinna ich być odpowiednia ilość. Rozwiązanie tego problemu nie leży jednak w możliwościach województwa. Pomoc Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej jest tutaj konieczna.

Wiele jednak spraw można załatwić na miejscu. Konieczna jest szybsza poprawa stanu sanitarnego i estetyki sal szpitalnych. Przyspieszenie remontów starych, ponad 70-letnich budynków.

Trzeba już także myśleć o kadrze dla budującego się w Rzędzinie szpitala wojewódzkiego. W przeciągu roku czy dwóch nikt nie będzie w stanie jej przygotować. Może dojść do sytuacji, że będą sale, łóżka, których dzisiaj tak w Tarnowskiem brakuje, a nie będzie personelu medycznego. Konieczne jest także lepsze wykorzystanie sprzętu i posiadanej aparatury.

A są niestety również przykłady zasługujące na przyganę. Oto od czterech miesięcy stoi zakupiona za blisko 4 mln złotych aparatura w przygotowanym przez szpital nowym oddziale reanimacyjnym. 12 łóżek tego potrzebnego w Tarnowie oddziału nie jest wykorzystanych z powodu braku personelu pielęgniarskiego. Najciężej chorzy w Tarnowie ludzie zmuszeni są leżeć na oddziałach wewnętrznych, gdzie nie mogą otrzymać skutecznej pomocy, choć tuż obok jest specjalna sala z potrzebnymi do intensywnej terapii urządzeniami. Sala bez pacjentów...

Jednym z nich już od trzech miesięcy jest — o paradoksie — lekarz, dr Tadeusz Woźny, który w połowie lutego br. uległ ciężkiemu zawałowi serca. Pomoc przyszła późno, niemniej okazała się skuteczna. Pacjentowi po wielu zabiegach przywrócono akcję serca. W stanie śmierci klinicznej znajdował się jednak kilkakrotnie. Spóźniona pomoc spowodowała powikłania neurologiczne, które objawiły się najpierw 6-tygodniowym stanem nieprzytomności pacjenta, a obecnie stanowią największy problem w doprowadzeniu go do częściowej choćby sprawności. Jakże inny przebieg mogła mieć choroba, gdyby oddział intensywnej terapii był już czynny, gdyby choremu można było zapewnić pełną opiekę lekarsko-pielęgniarską.

W tarnowskim szpitalu nie tylko konsultacje chirurgiczne czy neurologiczne okazały się problemem. Najtrudniejsze było zorganizowanie ciągłej opieki pielęgniarskiej. Przez wiele dni przy łóżku ciężko chorego lekarza dyżurowała jego rodzina. Pielęgniarki nie chciały podejmować dyżurów nawet za dodatkową opłatą. W efekcie doprowadziło to do przykrej odleżyny, która na długo zahamowała dotychczasowy postęp w leczeniu. Przywiązywanie chorego do łóżka przez zawsze zapracowane pielęgniarki wywołało stany lękowe. Chory nie zawsze otrzymywał przepisane leki. Lek najbardziej skuteczny żona doktora przywiozła osobiście z zakładów farmaceutycznych w Jeleniej Górze. Preparat ten dyrekcja zakładów podarowała choremu. Był to zresztą jeden z nielicznych, obok ogromnego zaangażowania dr Stefana Słowińskiego, aktów dobrej woli w trakcie leczenia ciężko poszkodowanego lekarza. Na interwencję chirurgiczną po zauważeniu odleżyny czekano prawie tydzień, mimo że każda godzina zwłoki miała ogromny wpływ na stan zdrowia chorego. Pierwsza konsultacja neurologiczna miała miejsce po dwóch tygodniach, a opiekę pielęgniarską poprawiono dopiero na skutek interwencji Komitetu Wojewódzkiego Partii.

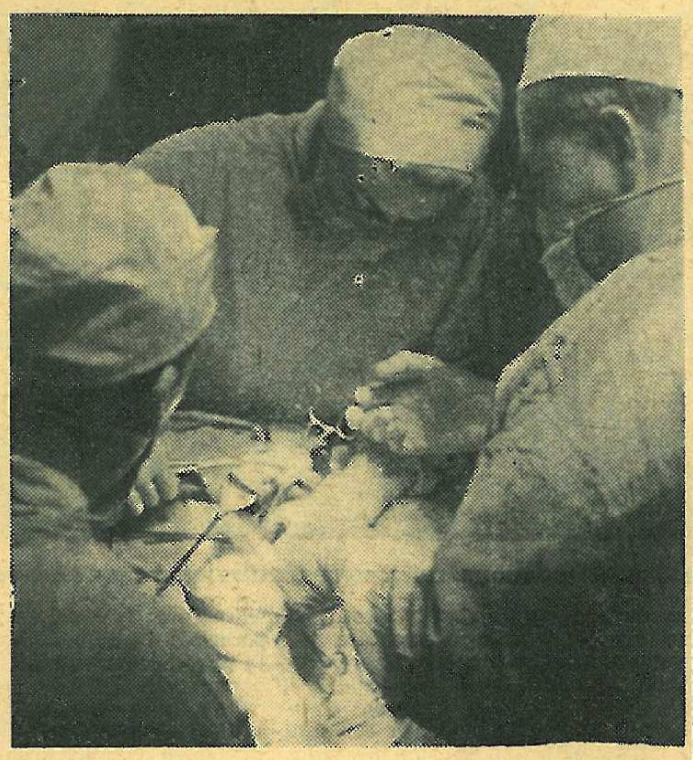

Jasno sprecyzowany cel: szpital na statusie kliniki

Przykład ten, nieco drastyczny ponieważ dotyczy lekarza, nie jest niestety odosobniony. Tarnowski szpital, mimo wielu pozytywnych zmian, jakie z uporem wprowadza jego ambitny dyrektor, dr Zdzisław Cibor, nie osiągnął jeszcze stanu jakiego oczekują od niego mieszkańcy Tarnowa i województwa.

Wszystko to jednak powinno się w niedługim czasie zmienić. Takie odczucie wyniosłem z okresu mojego ostatniego pobytu w szpitalu. Grupa ambitnych lekarzy, która systematycznie się rozrasta, posiada jasno sprecyzowany cel. Chciałaby stworzyć w Tarnowie szpital oparty na statusie kliniki. Cel ten wolno, ale z uporem i konsekwentnie realizuje. Oby się jej to w pełni powiodło, a tymczasem obyśmy zdrowi byli...

Nagrody dla lekarzy

W ubiegłym roku nagrody państwowe w dziedzinie medycyny przypadły w udziale trzem zespołom lekarzy radzieckich — chirurgom-osteologom, twórcom komór ciśnieniowych i autorom teorii o wpływie tzw. mikrocyrkulacji na schorzenia naczyniowe.

Bank kości?

Allotransplantanty — duże odcinki kostne przeszczepiane człowiekowi, pobrane od innego dawcy i przechowywane w niskich temperaturach od momentu pobrania do operacji, są swoistym „krzykiem" medycznej mody. W radzieckiej ortopedii stosuje się technikę przeszczepów od bardzo dawna, jednak allotransplantanty przechowywane w bankach tkanki kostnej stanowią novum. W tej chwili wielu pacjentów, którym groziła amputacja kończyn, nie musi obawiać się kalectwa: zespół chirurgów-ortopedów z moskiewskiej Kliniki Traumatologii i Ortopedii — dr dr Mikołaj Trapeznikow, Aleksander Korż, Wasyl Czaklin, Sergiusz Zecepin, Ajdyn Imamliew, Sergiusz Tkaczenko, Piotr Kowalenko i Jakub Dubow opracowali metodę niwelującą procesy tzw. „odrzutu", łagodzącą następstwa ciężkiej operacji, szybko przywracającą sprawność obciążonym mięśniom i wiązadłom.

Metodę wspomnianej grupy lekarzy stosuje się dziś w ZSRR szeroko. Nowoczesny bank tkanki kostnej, w którym preparaty przechowuje się w stałej bardzo niskiej temperaturze, (nawet do minus 70° C) zapewnia nie tylko pełen asortyment tkanki, ale umożliwia natychmiastowe dostarczenie allotranplantantu adresatowi — szpitalowi w dowolnym mieście Kraju Red.

Przyszłość należy do komór barycznych

Przed trzynastoma laty, z inicjatywy prof. Borysa Piotrowskiego, rozpoczęto prace nad wprowadzeniem do lecznictwa radzieckiego tlenowych komór ciśnieniowych. Te niezwykle pożyteczne urządzenia, a właściwie całe zespoły urządzeń, umożliwić miały lekarzom przeprowadzanie niezwykle skomplikowanych operacji w warunkach zwiększonego natlenienia środowiska, przy podwyższonym ciśnieniu. Pierwsi chorzy znaleźli się na stołach operacyjnych w komorach dopiero w 1974 r., bo przecież od pierwszych planów i pierwszych prób do prawdziwej operacji musiano przeprowadzić sporo testów, gwarantujących niezawodności urządzenia i jego wartość terapeutyczną.

W grudniu 1974 r. wprowadzono do eksploatacji pierwszy zespół tlenowych komór ciśnieniowych, składający się z trzech bloków: chirurgicznego, intensywnej terapii i eksperymentalnego. Praktycznie, operacja przeprowadzona w warunkach komory ciśnieniowej daje gwarancję przeżycia nawet wielu spośród tych chorych, u których istniały stuprocentowe przeciwskazania operacyjne, a więc wady serca, niewydolność oddechowa itp. Pacjenci, którzy nie przeżyliby zabiegu operacyjnego na tradycyjnej sali, w komorze barycznej znoszą go nadspodziewanie dobrze. Nie raz już komory ciśnieniowe ratowały życie matkom i noworodkom. Kilka komór oddano do dyspozycji położnikom, którzy prowadzą w nich najbardziej skomplikowane i źle rokujące porody.

Co to jest mikrocyrkulacja?

Lekarze — członkowie Akademii Nauk Medycznych — Aleksiej Czernuch i Wasyli Kuprianow opracowali nagrodzoną w 1977 r. metodę badania tzw. mikrocyrkulacji. Badanie zjawiska jest szczególnie ważne w naszych czasach, kiedy najczęściej pojawiającymi się nazwami chorób są: stenokardia i zawał serca. Mikrocyrkulacja warunkuje stałą wymianę pomiędzy krwią a tkanką. Dzięki niej więc przebiegają wszystkie procesy wymiany i odnowy.

Nauka o kapilarach, przy pomocy których przebiega mikrocyrkulacja, bardzo się ostatnio rozwinęła. Diagnostyczna przydatność tzw. kapilarokopii jest obecnie niewątpliwa w przypadkach zapaleń, szoku, niektórych schorzeniach serca, zapaleniach płuc, a nawet oparzeniach.

(AP Nowosti)

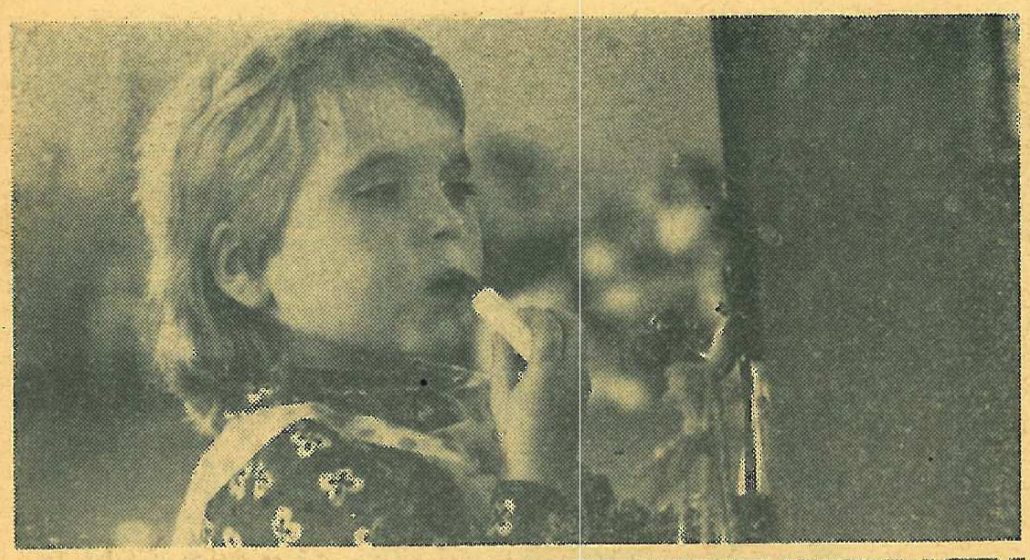

...damą by ach dam

„Moja mama nie jest damą, bo sprząta mieszkanie, gotuje, myje podłogi. Dama to jest taka pani, która nic nie robi tylko odpoczywa. Chodzi w dużym kapeluszu, maluje usta i paznokcie..." — twierdzą dzieci.

Choć dziewczynki z przedszkola nr 16 w Tarnowie nade wszystko przedkładają na razie zabawy ze swoimi lalkami, każda z nich deklaruje, że za kilkanaście lat chce być damą. Ale już dziś każda z małych elegantek wie, po co jest lustro, szminka, grzebień. Wie, co to jest damski szyk.

Fot. JERZY SADECKI

W słońcu

ŻNIWA — doba wydaje się często zbyt krótka. Zdążyć, znaczy bowiem dobrze zwieńczyć rok. Ale jak mówi stare przysłowie, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Poszkodowane są zazwyczaj zwierzęta i... dzieci, dla których nie staje czasu. Statystyki szpitalne notują wzrost wypadków na wsi latem, których ofiarami są dzieci, statystyki GUS ostrzegają liczbami pożarów. Dzieci są zagrożone. Nie wiadomo, czy zjedzą śniadanie i obiad, czy się umyją, czy nie wybiegną samowolnie na drogę... Starsze opiekują się młodszymi, ale ile ta opieka warta — wiadomo.

Bezpieczeństwo, opiekę, warunki zabawy i wypoczynku zapewnić mogą jedynie wiejskie przedszkola, ogniska przedszkolne, sezonowe dziecińce. Nie jest to odkrycie, ale wiadomo niestety, że liczba tych placówek jest niewystarczająca, choć państwo stworzyło formalne ramy dla organizowania opieki nad dzieckiem wiejskim. Szkoły, Koła Gospodyń Wiejskich, koła TPD, i właściwie wszyscy ludzie dobrej woli są do niej upoważnieni, ale ilość przeszkód jest także znaczna. A to brak lokalu, a to kadry opiekuńczej, a to rodzice lekceważą lub nie mają zaufania do dziecińców. Słowem — problem jest otwarty, a rozwiązanie pilnie poszukiwane.

* * *

Urszula Nowak, kierownik Wojewodzkiego Ośrodka Wychowania Środowiskowego przy Zarządzie Wojewódzkim Towarzystwa Przyjaciół Dzieci przedstawia piętrzące się co roku trudności. Brak właściwego pomieszczenia we wsi to sprawa podstawowa. Szkołę zajmuje w tym czasie przeważnie kolonia, półkolonia, pozostaje więc remiza strażacka, ale nie zawsze można ją przystosować do nowej funkcji. Wynajęcie budynku prywatnego jest w zasadzie niemożliwe — o jego przydatności decyduje Sanepid, stawiający bardzo wysokie wymagania przy kwalifikowaniu pomieszczeń na dzieciniec. Osobny problem stanowi brak odpowiedniej kadry. Kandydatka do pracy w dziecińcu musi przedstawić świadectwo ukończenia szkoły średniej i kursu dla wychowawców. Wynagrodzenie wahające się w granicach 2000—2500 nie należy do najatrakcyjniejszych, a więc chętnych brak. Można wyliczyć jeszcze długą listę trudności od zaplecza kuchennego i kucharki poczynając a na najzwyklejszych skakankach czy huśtawkach kończąc. W dodatku rodzice często nie widzą potrzeby organizowania placówek tego typu, co wcale nie zmienia faktu, że dzieci pozostają bez opieki. I tak w skali województwa tarnowskiego z najwyższym trudem tworzy się w poszczególnych gminach jeden czy dwa dziecińce. W tym roku wyjątek stanowi gmina Brzostek — 8 dziecińców. Inne — no cóż, postęp nie tak łatwo toruje sobie drogę.

* * *

Gmina Skrzyszów — graniczy ze stolicą województwa. Dojazd autobusami linii miejskich, nowoczesne, aczkolwiek nie zawsze gustowne wille, obok samochody, na dużej przestrzeni rozłożone cieplarnie — współczesny symbol gospodarności, obliczonej na duże dochody materialne. Nowoczesne życie w tej gminie to fakt dokonany. Czy troska o dobra materialne idzie tutaj w parze z obowiązkiem właściwego wych dzieci, zapobiegliwością o ich wszechstronny bezpieczeństwo?

W gminie — informuje dyrektor szkoły gmi powstaną dwa dziecińce: w Skrzyszowie i Łę Warunki lokalowe w tych miejscowościach uznać za przyzwoite, zmieszczą się w granicach ganych przez Sanepid. Na tej instytucji, mówi wak wszystko się właściwie zaczyna i kończy. rej, ciasnej szkole, która nie należy do „tysiąc uczą się dzieci przez cały rok. Ta sama szkoła w sie letnim nie może być wykorzystana do orga dziecińca. Nie pozwalają na to przepisy Sanepid coś tu nie jest postawione na głowie?

Także rodzice nie zgłaszają potrzeb. Pytanie nicze, czy wiedzą o tej formie działalności, pro nej przez Zarząd Gminny TPD i dyrektora gminnej. Wpisy ogłaszane są już w styczniu, pr nie na zebraniach rodziców. W maju zamknięt liczbami: 40 dzieci w Skrzyszowie, 26 w Łęto Jedyna wieś, która po raz pierwszy zgłosiła uzas ną potrzebę zorganizowania placówki opiekuń Szynwałd. Rodzice proszą o utworzenie dziecin tylko w czasie miesięcy letnich, ale przez cal W działalności placówki widzą szansę dla swych na uzupełnienie wiedzy, przewidzianej w pro nauczania przedszkolnego. Pozornie jest to błaha — w rzeczywistości wychowanie przeds w Polsce stanowi podstawowe ogniwo nowego s edukacji narodowej. Ale przedszkola wieś nie p Rodzice i dzieci muszą więc jeszcze poczeka słuszna jest taka decyzja władz gminnych? Czy wiście nie znajdzie się pomieszczenia dla grupy

ć,
ą być...

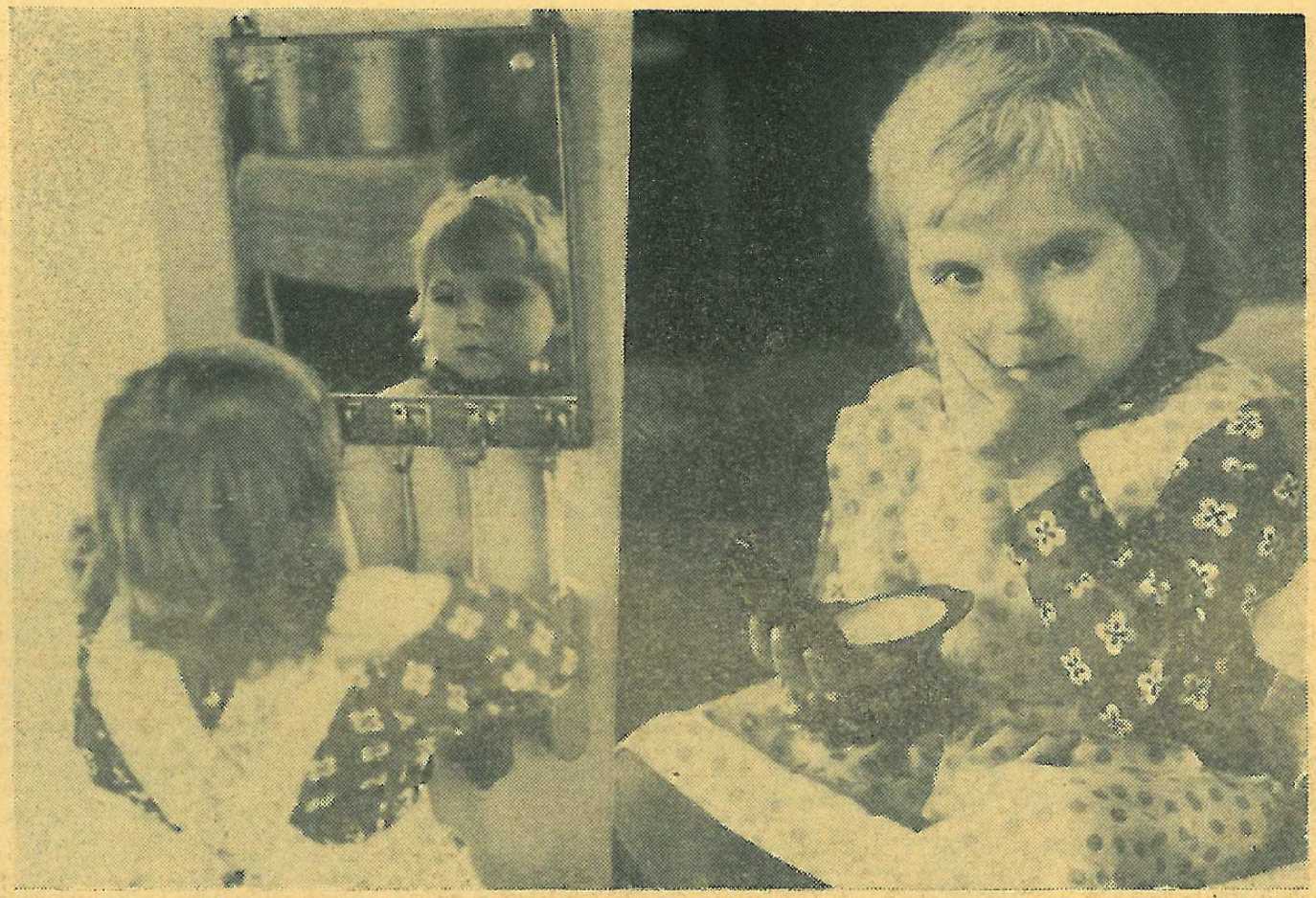

wania
szwój,
nej —
awicy.
można
ryma-
. No-
V sta-
atek",
okre-
izacji
. Czy
zasad-
adzo-
szkoły
eważ-
listę
icach.
dnio-
ej to
a nie
rok.
dzieci
ramie
prawa
kolne
stemu
siada.
Czy
eczy-
przed-

szkolaków? Przecież rzadko się zdarza, żeby rodzice wychodzili z taką propozycją, więc może warto pokusić się nawet na eksperyment, wynająć jakąś chałupę, wykorzystać dobrą wolę ludzi?

DLACZEGO NIE CHCĄ?

Sprzeciwy wywołuje wśród rodziców suma, jaką należy wpłacić za pobyt dziecka. Jest to niewielka kwota — 100 do 150 złotych, ale rodzicom wydaje się zbyt wygórowana. W poprzednich latach, np. w Łękawicy trzeba było już po upływie okresu letniego prosić o zwrot należności. Rodzice chętnie przystaliby na opiekę, ale za darmo. Jeśli w domu jest kilkoro dzieci, suma rzeczywiście rośnie, choć w miastach tysiące ludzi płaci i 700 zł, a o miejsce w przedszkolu nadal niełatwo. Jedzenie i opieka musi coś w końcu kosztować. Wiele matek rezygnuje z dziecińca tylko dlatego, że uciążliwe jest codzienne przygotowywanie maluchów, czesanie, mycie, ubieranie! Zazwyczaj zresztą dzieci przychodzą w odświętnych, krępujących ubraniach, żadna matka nie chce wypaść źle w porównaniu z innymi. Powstaje cicha rywalizacja co wcale nie przeszkadza w targowaniu się o wysokość opłaty.

Moje rozmówczynie niechętnie podają stosowane przez nie formy opieki w czasie wakacji. *„Nic im się nie stanie na podwórku, starszy chodzi już do trzeciej, poradzi sobie z małymi"* (dwa i cztery lata) — mówi młoda kobieta, przymykając mi równocześnie drzwi przed nosem, dodając spiesznie, że dziecińce w tym roku ją nie interesują.

Zdarzały się i inne odpowiedzi... *„Niech se polatują, co tam mi będziecie gadać"*. Dla rodziców uciążliwe jest odprowadzanie dzieci do przedszkola — są odpowiedzialni za ich bezpieczeństwo w drodze z domu i do domu. Zdarzyły się w gminie dwa tragiczne wypadki — dzieci w drodze do przedszkola zginęły pod kołami samochodów. Wychowawcy nie chcą brać obowiązku opieki poza zajęciami w dziecińcu. Dyskusyjne są też godziny otwarcia (od 7 do 19), gdyż większość rodziców łączy obowiązki rolnika z pracą zawodową i chciałaby czas opieki rozszerzyć — od 6 do 21. Jest to z punktu widzenia organizacyjnego raczej nierealne, stawki by wzrosły, a i dziecko nawet w czasie żniw powinno jakiś kontakt z domem zachować.

Inna sprawa to wiek dziecka. Rodzice wykorzystują starsze dzieci w miarę możności przy pracach polowych, chcieliby oddać pod opiekę dzieci w wieku do lat dwu. Wiek ten wymaga jednak specyficznych warunków higienicznych, o których na razie trudno marzyć. I tak zawęża się krąg problemów. Rodzice mają swoje argumenty, potrzeby, którym nie mogą sprostać organizatorzy. Rezultat — dzieci pozostają pod opieką dziadków lub niewiele starszego rodzeństwa, same organizują sobie zabawę. Powołane do prowadzenia akcji instytucje odnotowują w sprawozdaniach „brak kandydatów", a rodzice wychowują dzieci sposobami, jakie pamiętają ze swoich najmłodszych lat. Czyżby więc nie było wyjścia?

HARCERZE...

Okazuje się, że jest sposób. Wymyślili go harcerze. Pomysł nowatorski, bo nie wymaga zarządzeń, przepisów, urzędniczej powagi. Po prostu harcerze wyjeżdżają na obóz — i już w tym samym dniu wokół namiotów pojawiają się dzieci w różnym wieku.

Obozowa forma wakacyjnego życia fascynuje dzieci wiejskie. Z zainteresowaniem śledzą przebieg codziennych zajęć. Już w pierwszych dniach trwania obozu wytypowany zastęp, w ramach pomocy rolnikom, przy okazji niejako swoich zajęć, opiekuje się maluchami. Jest to akcja sprawdzona, cieszy się dużą popularnością. Dzieciaki wspólnie z harcerzami przeżywają przygody, uczą się od swoich opiekunów działalności pożytecznej dla zespołu i otoczenia, nawiązują przyjaźnie, przechodzą pierwszy szlif harcerskiej dyscypliny.

A sprawy organizacyjne? Po prostu harcerze oddają dzieciom jeden z namiotów rozbitych w obozie, kuchnia zapewnia skromny posiłek w postaci drugiego śniadania. Oczywiście zastęp opiekuje się dziećmi w określonym czasie, ale często zdarza się, że jest to czas ruchomy. Dzieci przychodzą także wieczorem, na ognisko. Nierzadko pokazują swój program. Zdarza się, że grupa dzieci w danej wsi jest duża i wtedy opiekują się nimi dwa zastępy. Dodatkowa atrakcja: rywalizacja między zastępami o lepsze efekty dydaktyczne, harcerze tryskają pomysłami, aby w oczach Rady Obozu wypaść jak najlepiej. A zatem słuszny jest pogląd, że zorganizowanie opieki nad dziećmi w czasie wakacji to sprawa prosta...

Pod warunkiem, że organizatorzy zechcą na nią spojrzeć mniej oficjalnie, mniej biurokratycznie i będą bardziej pomysłowi, a rodzice zrozumieją, **że idzie o ich dobro i o dobro ich pociech.**

KRZYSZTOFA BIK-JURKOW

DTV od kuchni

Bo telewizja to moje hobby
Przy którym wiernie będę stać
Czy jest na świecie zjawisko, co by
Mogło nam tyle wrażeń dać?

Powyższy wierszyk pochodzi z piosenki, śpiewanej w programie „Studio-Uno", przygotowanym przez Telewizję Kraków na uroczystość otwarcia Telecentrum na Krzemionkach. Mało kto (na szczęście) pamięta i piosenkę, i (również na szczęście) ów program. Mało kto zdaje sobie sprawę, iż od czasu uruchomienia Telecentrum mija w tym roku, w październiku, lat dziesięć. Ja pamiętam. Ba, nigdy nie zapomnę tego dnia, gdy przyszło mi przygotować dla Dziennika Telewizyjnego filmową relację z owej wielkiej fety. Niby wszystko się udało, tyle, że po wywołaniu okazało się, iż obraz rozjeżdża się z dźwiękiem, dając skandaliczny asynchron, że stół montażowy wysiadł, a tak w ogóle, to nowo otwarty ośrodek nie może „podać" do Warszawy sygnału, bo urządzenia nie działają. Wziąłem tedy pod pachę planszę z napisem DTV Kraków (jeszcze wtedy takie plansze „chodziły") i w asyście milicji pognałem na syrenie do Katowic. Stamtąd też ukazała się w dzienniku centralnym owa relacja „bezpośrednio z Krakowa". Potem nieraz zdarzało się Krakowowi ratować w ten sposób Katowice, a wspominam państwu o tym, byśmy razem uświadomili sobie ogrom wysiłków setek ludzi, pracujących przy codziennej orce przekazywania bieżącego serwisu informacyjnego w telewizji.

Serwisy są dwa: lokalny i ogólnopolski. Lokalne dzienniki nadaje dla terenów objętych swym zasięgiem każdy regionalny ośrodek. Każdy ośrodek przekazuje również codziennie informacje filmowe do dziennika ogólnopolskiego. Jeszcze lat temu siedem wyglądało to nader prosto: realizator DTV w Warszawie „wbijał" na antenę poprzez naciśnięcie odpowiedniego guzika mikseru planszę z napisem „DTV Poznań" czy „DTV Gdańsk" (planszę tę — stojącą w studio Poznania czy Gdańska widział u siebie na tzw. monitorze kontrolnym), plansza ukazywała się na monitorze programu centralnego, realizator w ośrodku regionalnym ryczał do mikrofonu interkomowego „telekino start!!!" — i jeśli nic się nie zacięło — Polska mogła oglądać relacje filmowe bezpośrednio „podawane" z wywołanego ośrodka. Aliści zacinało się często, bo chochlik urzęduje nie tylko w drukarniach: po planszy „Poznań" szła relacja z Katowic, po Łodzi wpychał się bezpardonowo Gdańsk, pod firmą Gdańska chciał często gęsto przemycić relację, na przykład z Karkonoszy. Wrocław. Kierownictwo Naczelnej Redakcji DTV zadecydowało więc, że nie będzie tzw. bezpośrednich łączeń: wszystkie ośrodki będą swe relacje przekazywały do Warszawy wcześniej, drogą łącz radiowo-telewizyjnych, centrala zarejestruje je na taśmie magnetowidu, przeglądnie, poprawi, skróci i dopiero wyekspediuje na antenę. Pomysł był dobry, tyle, że skończyły się relacje z ostatniej chwili, trzeba je było przekazywać najdalej do godziny 16-tej. Potem szlus. Choćby pod Sukiennicami wylądowali Marsjanie. Choćby generał Bem powstał z grobu i odwiedził rodzinne miasto. Choćby Unia Tarnów zdobyła tytuł mistrza Polski.

Fakt, że na antenie DTV zapanował porządek. Tyle, że jak raz rozpoczęła się era „koloru". — Chcemy tylko kolorowe informacje filmowe — grzmiała centrala. — Inaczej nic od was nie kupimy! A w owym kupnie zainteresowany był każdy dziennikarz, rozliczany przez swoich szefów z ilości informacji, emitowanych w DTV. Zaczęliśmy więc kręcić filmy kolorowe i wysyłać je do Warszawy. Czym? Ano — czym się dało. Najczęściej „schnellcugiem", czyli zawsze opóźnionym pociągiem pospiesznym. Rzadziej samolotem (a skąd ja panu wezmę wóz na lotnisko? — biadolił transport). Jeszcze rzadziej autem. A dlaczego — spytacie państwo — nie tak, jak dawniej, „po łączach"? Ano dlatego, iż żaden ośrodek — z wyjątkiem Katowic — nie miał i nie ma możliwości obróbki taśmy kolorowej i nie ma odpowiedniej aparatury telekinowej, by kolorowy obraz filmowy do Warszawy, czy gdziekolwiek przekazać.

Informacje filmowe w DTV zaczęły się spóźniać o kilka dni. By temu zapobiec — zrezygnowaliśmy z robienia tzw. „wydarzeniówek" koncentrując się na tematach ponadczasowych. Takich, zaczynających się od ujęć ogólnych i od komentarza: „trwają prace...", „dobre tempo robót...", „powstaje nowe osiedle..." No co, może nie powstaje? A kto nam udowodni, że tych zdjęć nie robiliśmy właśnie dziś?

Ten kolorowy stan rzeczy trwał — trudno w to uwierzyć, ale to prawda — ponad dwa lata, motywowany względami estetycznymi (nie chcemy kolorowo — czarnobiałej sieczki na antenie) i ambicjonalnymi (przecież mamy już telewizję kolorową). Skończył się chyba półtora roku temu. Nie ma nadal — i chyba już nigdy, nawet w wyjątkowych wypadkach nie będzie — łączeń bezpośrednich, ale informację filmową do Warszawy można przekazać i o godzinie 19.15 czyli kwadrans przed rozpoczęciem Dziennika. Osobiście uważam, że takie rozwiązanie jest najsłuszniejsze i że nasz DTV — choć znowu zrobił się szary — w rzeczywistości nabrał żywych rumieńców.

Proszę wybaczyć, jeśli moje tłumaczenie techniki przekazu i kulis informacji filmowych okazały się być nieco zagmatwane, ale siedząc tyle lat w telewizyjnej kuchni zaczyna człowiek chcąc nie chcąc operować na co dzień środowiskowym slangiem, że nie powiem już o zaniku umiejętności bardziej precyzyjnych sformułowań. Zresztą, kto bez winy, niech rzuci kamieniem. To przecież właśnie Państwo, których odwiedzamy z kamerą w zakładach pracy, na placach budów, w parkach czy na boiskach witacie nas zawsze tymi samymi od lat słowami powitania. Jakże swojsko brzmią nam one za każdym razem w uszach, jakże głupio by nam było nie usłyszeć choć raz propozycji:

— Niech mnie pan weźmie na kamerę!
— Niech mi pan, kierowniku, dziecko skręci!
— Niech mnie pan zrobi!
— Co, ja? To ja dziękuję (dziewczęce).
— Prezesa, koniecznie zdejmijcie prezesa!
— Przecinać będzie prezes, ale nam najbardziej zależy na sekretarzu...
— Koniecznie te kwiatki w prezydium!
— Niech pan jeszcze ujmie panią Ziutę, bo ona nam tu robi herbatkę!
— Niech mnie pan zdejmie!
— Niech mnie pan skameruje!
— Pracuj — bo filmują! (budowlane)
— Kamera naciera na Felka gangstera.

No? Proszę sobie przypomnieć nasz ostatni u was pobyt, kiedy to do hali produkcyjnej, na miejsce manifestacji czy na plac budowy zameldowała się z reguły z lekka opóźniona, a zawsze zziajana i spiesząca się ekipa w składzie dziennikarz, operator i asystent. Gwoli sprawiedliwości odnotujmy jeszcze, iż z powszechnego użycia wychodzi już zdecydowanie nieśmiertelne ongi — „panie, klisza pęknie!"

To już jest coś.

Charakterystyczna dla wszystkich środowisk zawodowych konieczność pewnego skrótu językowego odczuwalna jest i u nas, w codziennej pracy. Tyle, że, oczywiście, trzeba się umieć owym skrótem posługiwać, a przynajmniej go rozumieć. Lat temu bodajże dziesięć zadzwonił do mnie do domu świeżo przyjęty do pracy na Krzemionkach strażnik przemysłowy:

— Panie redaktorze, bo tu dzwonili z tego „detefała" czy „detewała", ja tam nie wiem, i mówili, że tu u nas jutro będzie jakisi Pliszko czy Śliszko... I mówili, żeby go zrobić! Koniecznie!

Zrobiłem, choć przekaz był raczej nieprezycyjny. Aliści znana jest w Tarnowie sprawa, iż jeden z miejscowych dyrektorów ma zwyczaj wydawania swym podwładnym dyspozycji telefonicznych:

— Weź szybko to i przyjdź tu!

Jeśli podwładny jest sprytny, wykonuje odwrotny telefon do sekretarki szefa: — gdzie jest stary? W Komitecie? Dobrze, dziękuję.

Drugi telefon do Komitetu: — jaka jest u was dziś narada? A, tak, w sprawie intensyfikacji produkcji... A jest na niej dyrektor X? Dobrze, dziękuję.

Po czym pędzi do biurka szefa i zanosi mu zapomniane na owym biurku materiały, dotyczące intensyfikacji produkcji. Jeśli tego nie zrobi, to znaczy, iż nie jest godzien być podwładnym. Ja egzamin na podwładnego zdałem pewnej nocy, gdy mój szef z DTV kazał mi pędzić natychmiast w dwie ekipy filmowe do Görlitz na Bardzo Ważną Uroczystość. Pognałem, zawracając spod Olkusza, gdzie — może na skutek podskoku na wybojach otworzyła mi się klapka w mózgu: rany Boskie, to pewnie chodzi o Gorlice...

Tematyczne gusta redaktorów, przygotowujących codzienny Dziennik Telewizyjny zmieniają się co jakiś czas, jednak nie częściej, niż co dwa lata. Przykładem tzw. „oficjałki", czyli relacje o obchodach, zamknięciach i wręczeniach, z nieodłączną „panoramą po prezydium". Z ogromną ulgą przyjęliśmy w 1971 roku decyzję, iż w DTV pokazywać będziemy wyłącznie uroczystości z udziałem któregoś z naszych trzech przywódców. Odetchnęliśmy i my — i telewidzowie, którzy mogli teraz oglądać wyłącznie rzeczy istotnie ważne i warte uwagi, a obok nich — materiały lżejsze, ciekawostkowe. Owe ciekawostki nazywają się w naszym slangu dziennikowym „Bolki-Lolki". Nazwa sympatyczna tylko z pozoru, bo „Bolkiem-Lolkiem" określa się zarówno wiosnę na Mazurach, jak i odkrycie archeologiczne w Wielkopolsce, jak i potężny korek samochodowy na Zakopiance. Czym sobie owe tematy zasłużyły na podciąganie ich pod wspólny bolkowo-lolkowy mianownik — nie wiem, odnotowuję tylko fakty. I wspominam z lekką melancholią, jak to w 1969 roku nie chciano mi „kupić" w Warszawie relacji filmowej z wysadzania przez śląskich górników w powietrze grożącej zawaleniem części szczytu Giewontu.

— Co nam pan tu znowu proponujesz te bolki-lolki! Już wczoraj pokazywaliście Krynicę w deszczu!

— Ale...

— Co znaczy ale? Czy pan myśli, że kogokolwiek w Polsce pańskie bum-bum na tym Kasprowym może zainteresować?

Zarumieniłem się do słuchawki. Na drugi dzień nie proponowałem już żadnego bum-bum, ale uczciwe, rzetelne, przecięcie wstęgi. Kupili, jak świeże bułki.

No, ale to było dawno. Dziś proporcje między materiałem „cięższym" tzw. „mięsem dziennika", a ciekawostkami są wyważane prawidłowo i mądrze. Oczywiście, to moje zdanie. Jeśli ktoś się z nim nie zgadza — przypomnę tylko o rzeczy, z której, oglądając DTV nie zawsze zdajemy sobie sprawę: jest to magazyn informacyjny o f i c j a l n y, musi zawierać pełny protokolarny serwis, a odejście od tego serwisu mogłoby wzbudzić najrozmaitsze komentarze ze strony zainteresowanych osób czy instytucji. Ba, komentarze takie mogą powstać i na skutek czasu trwania informacji: dlaczego ambasador X pokazywany był przez 20 sekund, a ja, ambasador Y, tylko przez piętnaście? Albo: dlaczego nasz zakład był tylko wymieniony, a ich pokazany? Albo: dlaczego tak często pokazujecie Bydgoskie, a już od tygodnia nie było w DTV ani słowa o Pile?

Ech, niełatwą jest sprawą komponowanie Dziennika i wcale kolegom z Centrali chleba nie zazdroszczę. Tym bardziej, iż prócz przed chwilą wymienionych czyhają na nich i inne protokolarne niebezpieczeństwa. Ale o tym — i o okolicznościach codziennej emisji DTV — już — jeśli Państwo pozwolą — w jednym z następnych wydań TeMI.

Dobranoc państwu. To jest, chciałem powiedzieć, do spotkania na łamach.

LESZEK MAZAN

Już województwo, jeszcze powiat?

Kukiełki by się nam przydały...

Pewien dziennikarz z warszawskiego tygodnika pochwalił nas niedawno za to, że ż y j e m y. Z artykułu jego wynikało bowiem, że w Tarnowie rozwija się ż y c i e t e a t r a l n e, ż y c i e m u z y c z n e, ż y c i e p l a s t y c z n e. Takie spostrzeżenie nie musi się brać z obserwacji. Wystarczy sięgnąć do ewidencji obiektów kulturowych, lub do innego dokumentu, stwierdzającego obecność w mieście określonych grup twórczych, aby wyprowadzić wniosek najprostszy i najprymitywniejszy zarazem: skoro jest teatr — musi być i życie teatralne, skoro jest szkoła muzyczna — musi być życie muzyczne, skoro jest plastyk Andrzej Grabowski, który — nawiasem mówiąc — skopał mi scenografię do Eliminacji Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Radzieckiej, jakie w kwietniu odbyły się w Tarnowie, a więc skoro jest plastyk Andrzej Grabowski musi być życie plastyczne. Rozumowanie niby logiczne, ale choć posługiwanie się logiką ma swoje uzasadnienie także w obszarze kultury i sztuki, przecież w tych regionach trzeba ostrożniej przykładać ją do rzeczywistości. Spróbujmy pójść za tzw. tokiem myślenia owego publicysty, myślenia, będącego zresztą echem powszechnego w Tarnowie mniemania o relacjach w kulturze.

Logika każe, aby było wprost proporcjonalnie, no nie? 10 teatrów = 10 × więcej życia teatralnego! Tutejsze władze natychmiast powinny podjąć energiczne starania o powiększenie liczby placówek teatralnych, to i życie nam się powiększy. Życie teatralne! Owszem, jeśli życie teatralne utożsamimy z aktorami, premierami, reżyserami, dekoracjami. Zgoda, będzie tego więcej, ale to jeszcze nie będzie ż y c i e t e a t r a l n e. Najwspanialsza premiera, powstająca bez oczekiwania środowiska, prezentowana wobec chłodnej widowni, nie poddana próbie gorącej, emocjonującej dyskusji z publicznością, oczywiście, będzie zawsze faktem kulturalnym, ale nie będzie nigdy świadectwem życia teatralnego. Właśnie: premiera może być z a l e d w i e, albo a ż szansą dla powstania życia teatralnego, które jest niczym innym, jak autentycznym zainteresowaniem sztuką teatru i w konsekwencji uczestnictwem w teatrze.

Takich szans Tarnów ma wprawdzie mało, ale coś tam ma. I nie budowa opery, nie marzenie o własnej filharmonii, nie tęsknota za wielkimi salami wystawowymi, nie walka o parę jeszcze teatrów (np. kukiełkowy dla dorosłych tu się przyda, bo zdaniem niektórych działaczy edukację teatralną dla dorosłych byków trzeba zaczynać od podstaw, a najlepszą podstawą przecież są kukiełki!) — powinny zaprzątać nam dziś głowy, lecz troska jak wykorzystać i s t n i e j ą c e szanse.

I jeszcze nawrót do owych eliminacji, co to wylaniają najlepszych dla Zielonej Góry, a przez Zieloną Górę dla „Estrady". Z naszego życia muzycznego jakoś nikt nie trafił do jury. Zasiedli w nim natomiast tzw. przedstawiciele (FSZMP, TPPR, UW, MKiS, CRZZ, ITP, ITD, przepraszam — ma być z małych liter: itp. itd.). Nie życie teatralne, nie muzyczne i nie plastyczne nam się rozwija, ale urzędnicze, a jury konkursu muzyczno-wokalnego pracowało wreszcie wedle nowatorskiej zasady: nie słuchać, lecz patrzeć. A było na co popatrzeć.

RYSZARD SMOŻEWSKI

Człowiek trzy razy idzie na dno, za czwartym nie wypłynie

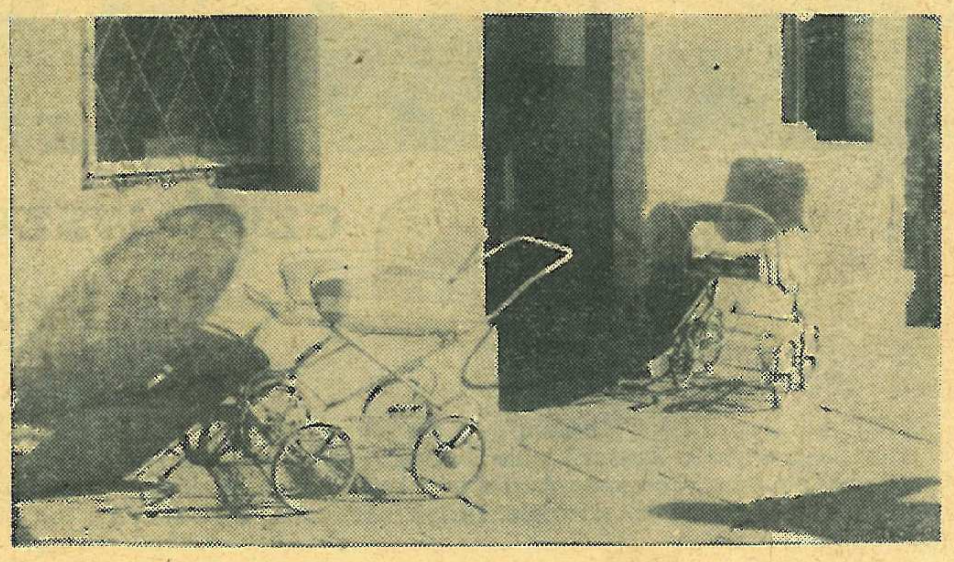

Fot. Wiesław Klag

Ranek był słoneczny, lipcowy. Zofia Plebanek wzięła wiadro i poszła po wodę. Do studni. Nie tej nowej jednak wybudowanej koło domu, lecz starej, pod lasem, gdzie woda lepsza na herbatę. Już chciała wiadro w głębinę wpuszczać, gdy zobaczyła, że coś w studni pływa.

Dziecko — nie dziecko...

Przestraszona wróciła do domu. Wnuk nie bardzo wierzył starym oczom babki, ale do studni pod lasem na wszelki wypadek poleciał. Potem jedno co mógł zrobić, to zawiadomić milicję.

*

Zośka skończyła szkołę podstawową normalnie. w terminie. Potem chciała iść do Zasadniczej Szkoły Chemicznej w Tarnowie, ale jej nie przyjęli, gdyż miejsc brakło. Wróciła więc do Szynwałdu i pomagała jak umiała na gospodarstwie rodziców. Liche to było gospodarstwo — ledwie półtora hektara. Więc gdy miała lat 16 i siły większe — poszła do pierwszej, płatnej pracy. W Gumniskach był prywatny ogrodnik i chętnie silne dziewczyny zatrudniał. W tych Gumniskach poznała Edka.

Młość nie była ani wielka, ani gorąca, lecz zwykła. Zwykła też była ciąża i zwykły poród. Wiesiek był zdrowym i dorodnym chłopcem, lecz gdy miał 4 miesiące przyszło nieszczęście. Zachorował na zapalenie płuc. Wieśka leczyli najpierw w szpitalu w Tarnowie, a gdy było już całkiem źle, mały pacjent został przewieziony do kliniki w Krakowie. Lekarze z Krakowa też małego nie wyleczyli i przyszło urządzać pogrzeb.

Po tym porodzie i po tym pogrzebie Zośka wróciła do pracy. Nie na prywatne jednak. Do państwowej roboty poszła. Została robotnicą w Technikum Ogrodniczym w Gumniskach. Dobrze jej tam było i dobrze też było z Edkiem. Tak dobrze, że przyszła druga ciąża. Urodziła się córka. Danuta jej dali na chrzcie. Dziecko wzięli dziadkowie, bo Zośka do opieki nad małą głowy nie miała.

— *Nie pobrałam się z Edkiem* — mówi szczerze — *ponieważ nie mieliśmy gdzie razem mieszkać. Moja rodzina jest liczna i jego rodzina liczna. Moi mają tylko jeden pokój z kuchnią, a mieszkają tam czterej moi bracia i jedna siostra. U Edka w jednej izbie mieszka siedmioro jego rodzeństwa, a potem było tam jeszcze moje dziecko. Więc jak się było pobierać?*

Zośka mieszka u swoich rodziców, Edek u swoich. Spotykają się jednak ze sobą często i żyją jak żyje mąż ze żoną. Tak samo jak w normalnym małżeństwie przychodzą ciąże. W trzy lata od urodzenia się Danki na świat przychodzi syn. Czesiek mu na imię.

Noworodek przez 10 miesięcy wychowuje się u rodziców Zośki. Potem rodziny dochodzą do porozumienia i Cześka zabierają do siebie rodzice Edka. Zośka może znowu iść do roboty. Też państwowej, tyle, że tym razem w pekaesie w Tarnowie. Zostaje konduktorką i wynająć sobie może prywatny pokój w Gumniskach.

Przychodzi rok 1975. Zośka będzie znowu matką. Rodzi się Krzysztof. Z kolejnym swoim synem wraca do tego swojego wynajętego pokoju w Gumniskach.

— *To była jedna rozpacz. Nie miałam w domu ani ubranek, ani pieluszek. Rodzice Edka, chociaż pisałam, że będę miała dziecko i jestem do tego nie przygotowana, odzieży nie przywieźli. Męczyłam się z Krzysiem przez kilka tygodni. Wreszcie właścicielka mieszkania poradziła, aby Krzysia dać do Domu Dziecka. Rozmawiałam nawet na ten temat z Edkiem, ale on powiedział: „rób co chcesz — to twoje dziecko". Tak powiedział. Zdecydowałam się i dałam syna do Tarnowa. Miałam płacić za Krzysia 115 złotych miesięcznie i jak mogłam to płaciłam. A oni to listy do mnie pisali i grozili mi.*

— Listy?

— *A tak, listy!*

Biała kartka papieru. Nadruk: Państwowy Dom Małych Dzieci im. Gen. Józefa Bema i Sandora Petöfiego w Tarnowie. Maszynopis. „...**informujemy, że zadłużenie Pani w naszym Zakładzie za pobyt dziecka wynosi obecnie 1.035 zł. Pani dzieckiem w ogóle się nie interesuje, jeżeli nie może go Pani odwiedzać, to można informować się listownie. (...) Ten stan rzeczy nie może trwać dłużej. W przypadku jeśli Pani nie zmieni swego postępowania będziemy zmuszeni wystąpić do Sądu o pozbawienie Pani władzy rodzicielskiej nad swym synem Krzysztofem.**"

Zośka nie może interesować się Krzysiem, bo jest znowu w ciąży. Z nowiną biegnie do Edka.

— *Początkowo to Edek nie wierzył. W końcu go jednak przekonałam i wtedy on chciał, żebym tę ciążę usunęła. Ja tego nie chciałam zrobić.*

— Dlaczego?

— *Uważałam, że jak troje dzieci się już chowa, to czwarte też się wychowa.*

— Gdzie?

— *Tak sobie myślałam: urodzę dziecko, przyniosę do domu moich rodziców i wspólnie będziemy je wychowywać. Tak byłoby najlepiej.*

12 lipca 1977 roku w kartotekach tarnowskiego szpitala zanotowano, że Zośka została matką dziecka. Ona poród zniosła dobrze, dziecko gorzej. Po 6 dniach Zośkę wypisano ze szpitala, a mały Piotr pozostał na oddziale noworodków. Wykonano mu między innymi transfuzję krwi. Leczenie było skuteczne. Dziecko wracało do zdrowia.

Szpital wysłał telegram. Piotra można już odebrać. Zośka wsiada w autobus i jedzie do Tarnowa. Nie spieszy się jednak do szpitala. Idzie najpierw pod zakład, w którym pracuje Edek. Prosi portiera o pomoc. W końcu wywołują Edka.

Stoją przed bramą i konspiracyjnie rozmawiają. Jego rada jest taka. Niech Zośka idzie do szpitala i odbierze dziecko, a potem taksówką niech jedzie do Szynwałdu. Ludzie nie mogą jej widzieć. Koło przystanku autobusowego w Szynwałdzie jest olszynka. Tam powinna czekać. Przyjdzie gdzieś między 4 a 5 po południu. Naradzą się co dalej mają robić.

Przyjechał jak powiedział. Po południu. Był jednak pijany. Od razu wypalił z tym swoim pomysłem, który trzeba szybko wykonać. Gdyby Zośka nie zrobiła jak on każe, to i ona, i dziecko nie będą żyć. Wszystko będzie proste. Ma więc Zośka wziąć to dziecko i iść pod las, do studni „Michałowej". Małego do tej studni trzeba wrzucić. Nic się mu nie stanie bo przecież studnia jest w lesie i nikt z niej nie korzysta. Wszystko będzie po cichu i wszystko w porządku...

— *Rozpłakałam się i tłumaczyłam mu, że jego pomysł jest zły, bo przecież Piotruś jest ładny, a i tak przecież w wodzie nie utonie.*

— *Taka jesteś stara, a taka głupia* — odpowiedział. — *Człowiek jak się topi to trzy razy wypłynie na powierzchnię, a później całkiem idzie na dno i więcej nie wypłynie.*

Wyzywał. Przekleństwami rzucał i groził też. Nawet ją w tej olszynce pobił. Nie tak całkiem groźnie, ale zawsze przecież. Bała się więc Zośka, że ją ten jej Edek rzeczywiście zabije, albo i inną przykrość wielką z tej złości zrobi. No więc co miała z tym Piotrusiem zrobić, no co?

— *Jak utopisz dziecko* — powiedział Edek na koniec — *to możesz przyjść do mnie na strych. Jak nie utopisz, to mi się na oczy nawet nigdy nie pokazuj. Idź i rób jak ci kazałem.*

Więc poszła. Pod las. Do studni, którą ludzie w Szynwałdzie Michałową nazywali. Stała chwilę nad tą wodą co błyszczała sobie w dole, a w końcu popatrzyła jeszcze raz na Piotrusia i odwinęła z kocyka. Opuściła ręce. Usłyszała tylko jeden plusk...

Pobiegła na strych. Edka jeszcze nie było. Przyszedł później. Był znowu pijany. Zostali razem na tym strychu do rana. Na sianie...

*

Siedzą razem na ławie oskarżonych. Zośka obwinia Edka, Edek konsekwentnie do niczego się nie przyznaje. Mówi, że o dzieciobójczych planach Zośki nic nie wiedział, nie mógł więc ją tym bardziej do niczego nakłaniać ani zmuszać. Prawdę mówił także w śledztwie, ale prokurator w jego słowa nie wierzył i wsadził go do więzienia. Może więc sąd uwierzy?

Sąd nie kieruje się wiarą, ale przede wszystkim dowodami. Sąd stwierdza więc, że prokurator oskarżając Edka, tych dowodów nie miał w ręku. Swój akt oskarżenia oparł na relacji Zośki, która chociaż sugestywna i nawet logicznie spójna nie wytrzymała konfrontacji z tym, co skład sądzący usłyszał na rozprawie. Usłyszał więc liczne zeznania świadków, którzy jednoznacznie zaprzeczali jakoby w ich obecności Zośka mówiła Edkowi o spodziewanym powrocie dziecka ze szpitala, by twierdziła, iż wybiera się do Tarnowa. Słyszeli natomiast odpowiedzi Zośki na zadawane jej przez Edka pytania (a było to w dniu zabójstwa), odpowiedzi utrzymujące, że dziecko jest jeszcze chore i długo jeszcze do domu nie wróci. Nie ma więc dowodów obciążających Edka — jest za to wiele poszlak świadczących o tym, że oskarżony rzeczywiście z utopieniem Piotrusia nie miał nic wspólnego. Dlaczego więc Zośka wymyśliła tę całą mistyfikację?

To pytanie zostaje do końca procesu bez odpowiedzi. Bo czyż za wystarczającą odpowiedź uznać można fakt, iż Zośka podejrzewała swego partnera o romans z „drugą" i obawiała się, że właśnie dla tej następnej ją rzuci? Faktem jedynie bezspornym jest to, że 28 — letnia Zofia Proszowska za zabójstwo własnego dziecka skazana została na 11 lat pozbawienia wolności, natomiast Edwarda Stepka Sąd Wojewódzki w Tarnowie uniewinnił od zarzutów, które w akcie oskarżenia sformułował prokurator.

Kiedy zamknięto ostatni akt sprawy Zofii Proszowskiej nikt nie potrafił powiedzieć dlaczego ta kobieta zrobiła to, co zrobiła? Bo czyż wytłumaczeniem i usprawiedliwieniem czegokolwiek może być opinia biegłych lekarzy psychiatrów ze Szpitala Psychiatrycznego w Krakowie — Kobierzynie, w którym na zlecenie sądu badano Zofię Proszowską? Opinia stwierdzająca, że zabójczyni własnego dziecka nie cierpi na chorobę psychiczną, ani nie jest niedorozwinięta umysłowo; jest natomiast psychopatką typu infantylnego.

Lekarska diagnoza nie zamyka problemu. Nie zamyka choćby dlatego, że zabójczyni nie wychowywała się przecież w próżni. Chodziła do szkoły, miała rodziców. Gdzieś nałożyły się na siebie błędy wychowawcze, które w konsekwencji doprowadziły do braku odpowiedzialności za własne czyny, do przerzucania skutków własnych czynów na barki innych. Te dzieci wychowywane przez rodziców, to traktowanie Domu Dziecka jako instytucji powołanej do obowiązku troszczenia się o Krzysia, gdyż mamusia „głowy nie miała" do opieki. Wreszcie to zabójstwo, okrutne w swojej prostocie, okrutne swym przebiegiem. I chociaż Zofia Proszowska jest psychopatką typu infantylnego powiedzmy od razu, że ludzi o podobnych cechach spotyka się wielu. Przecież jednak starają się w miarę normalnie żyć, nie mordują, nie stanowią ciężaru dla społeczeństwa. Z. Proszowska postępowała inaczej. Wprawdzie ostatecznie ona poniosła karę za popełnione zabójstwo — winnych jest jednak o wiele więcej. Sąd jednak karze jednostki, nie orzeka zaś o winie społecznych zbiorowości...

JANUSZ HAŃDEREK

LORD czyli wszędzie płaski krajobraz

„LORD" nie jest dziś już „Lordem". Po tamtych latach została mu jedynie pewność siebie i cwaniackie spojrzenie. Zaprosił mnie do najlepszego lokalu w tym mieście, takiego z dancingiem i usłużnymi kelnerami. Zamawia drogie trunki niby mimochodem, wydając sporo pieniędzy, choć przecież teraz nie ma ich za wiele. To też zostało mu z tamtych lat: szastanie forsą z pretensjonalnym gestem.

— Powtórzmy to jeszcze raz, co? Taka spowiedź musi przecież mieć swoją oprawę. Kelner, to samo, dwa razy.

I. LORD

Dziwny jest ten Lord. Ma zmęczoną twarz, mówi o swoim życiu głosem raczej bezbarwnym, ni to smutnym, ni to cynicznym, a kiedy uśmiechnie się nagle to tak, jakby chciał przekreślić wszystko, co dotychczas powiedział. Słucham go uważnie, choć chwilami nie wiem tak na pewno, czy aby mówi całkiem serio.

— *Nauczyłem się wszystkiego od ojca. Przede wszystkim — ostrożności, nawet tak na zapas, nigdy nie zaszkodzi... Tak mawiał ojciec.*

Lord wybrał dobry stolik, nieco na uboczu, wokół dyskretny półmrok i tylko kiedy goście wracają z parkietu na salę, trzeba nieco ściszyć głos.

— *Ojciec był „bossem". Miał swoich „naganiaczy", którzy sprzedawali mu drobne dolarowe sumki lub złoto. Kiedy nazbierało się tego sporo, ojciec wywoził to na północ kraju, tu, w gronie zaufanych ludzi następowała wymiana. Na polskie pieniądze, rzecz jasna. „Ostrożności nigdy nie za wiele" — to było dewizą. Ojciec sam nigdy nie wiózł tej forsy. Jechał wtedy wagonem I klasy, a w tym samym pociągu, w II klasie jego wspólnik, przebrany na „szarego", niepozornego człowieka. On wiózł cały ten szmal. W razie wpadki, sam rozumiesz..*

— *Dość wcześnie zacząłem pomagać ojcu. Ja stałem się tym wspólnikiem. Poznałem wtedy tamto życie, kulisy tych transakcji i ludzi w nich uczestniczących. Fajni ludzie. Grzeczni, uczynni...*

Grymas na twarzy Lorda. Jakiś facet, lekko pijany, pochyla się na nim usłużnie. *„Ta pani* — pokazuje na partnerkę siedzącą obok naszego stolika — *ta pani chciałaby z panem zatańczyć". Człowieku* — Lord nawet nie patrzy na niego — *idź sobie.* Łagodny, ale stanowczy głos. „Człowiek" odchodzi.

— *Forsy ojciec nie liczył. Miał takie różne schowki w domu i tam ją ukrywał, także przed nami. Kiedyś matka wśród rupieci na strychu znalazła 300 tysięcy. Wzięła z tego 10, ojciec nie wykapował, zapamiętałem to sobie. Robił szczegółowe podliczenia dopiero pod koniec roku i był zadowolony, kiedy wyszedł na plus.*

— *Moi kumple? „Służbowy" był moim najlepszym kumplem. Oczywiście do czasu. No, byli jeszcze inni: „Mały", „Kaczor", „Gwardzista". Ale „Służbowy" był zawsze najbliżej, moja prawa ręka. Jego ojciec był jeszcze ważniejszą osobą w tym światku. A jak grał w pokera — nie było silnych. Willę sobie za tego pokera postawił, za kilka miesięcy gry, tak mówili. Za kilka miesięcy... Grało się tam o duże sumy. Przyjeżdżali do niego ludzie szacowni, na stanowiskach. I, co najważniejsze z dużą forsą. Przychodziła sobota, staremu się rączki trzęsły, musiał grać. Poker wciąga. I czasami dużo kosztuje...*

Początkowo przyglądaliśmy się tylko, nie wolno nam była grać. Ale czasami brakowało partnerów przy pokerowych stolikach i pozwalano nam ich zastępować, — Ojciec „Służbowego" nauczył nas paru sztuczek. Wygrywaliśmy trochę, ale to była mała forsa, a potrzeby rosły.

Zaczynali zwyczajnie: rodzice „Gwardzisty" mieli prywatną, nieźle prosperującą piekarnię, pomagał im czasami, ale kontrolowali go dokładnie. Przychodziło się więc do „Gwardzisty", kupowało chleb płacąc 20 zł, a on wydawał z 500.

„Mały" pracował u swoich starych, którzy prowadzili lokalik w śródmieściu. Tam bywali na obiadach. „Mały" serwował im za darmo.

Potem Lord odkrył ojcowskie schowki i bez skrupułów brał z nich pieniądze. 5 tysięcy starczało zaledwie na parę dni, ale jakich! Prywatki z dziewczynami, które dochodziły do zgranej paczki, lokale, nocne seanse w prywatnych mieszkaniach.

Do Lorda zawsze należał wybór najlepszej dziewczyny. Z tych rzeczy nie rozliczali się między sobą. Gdy była forsa, wszystkie inne problemy przestawały się wtedy liczyć.

Przed kolejnym Bożym Narodzeniem Lord miał złe przeczucia. Przyszedł dzień, w którym ojciec robił bilans rocznych dochodów. Brakowało wielu tysięcy, po raz pierwszy „boss" wyszedł na minus z handlu złotem i walutą. Ojcowska decyzja była tyleż szybka, co bezwzględna: syn musi opuścić dom. Natychmiast.

Przeniósł się więc do innego miasta, ale kontaktów z kumplami nie stracił. Przynajmniej początkowo.

— *Teraz „Służbowy" wiódł prym w paczce. Ja byłem „dochodzącym". Nie miałem już takiej forsy i przestawano się ze mną liczyć. Zresztą, może to i dobrze. Zauważyłem, że zaczyna dziać się źle. „Służbowy" przeholował. To, co robili, stawało się zbyt niebezpieczne.*

Próbuję się domyślić. Narkotyki? Nie, tego mi Lord nie powie. Nie powinienem pytać o szczegóły. Lord teraz jest już daleko od tamtych spraw i chciałby mieć spokój.

— *Kiedy zauważyłem, w co brniemy, postanowiłem się wycofać. Nie było to takie łatwe... W końcu jednak nadarzyła się okazja. „Służbowy" dostał bilet do wojska. Zrezygnowałem wtedy z ponownego „szefowania" paczce. Mojego nowego adresu nikt nie znał.*

No cóż, nigdy nie dowiem się co naprawdę zdecydowało o tej niespodziewanej decyzji Lorda. Staje się nagle tajemniczy i małomówny.

Pytam nieśmiało o Sylwię.

— *Sylwia?*

Uśmiecha się raz jeszcze, po staremu, cynicznie. Kelner kłania się nam otrzymawszy suty napiwek.

II. SYLWIA

Wiem, nie chcesz o niej mówić. Byłoby to nieefektowne opowiadanie, może trzeba byłoby się oskarżać, albo bronić, a któż to lubi? Ale była taka dziewczyna w twoim życiu, nie da się ukryć.

To był już inny rozdział, nie ten, o którym z taką swadą opowiadałeś. Awansowałeś wtedy w inne, tak zwane wyższe sfery. Nowi, ciekawi ludzie nie to co ten prymitywny „Służbowy" i cała reszta.

Ci byli inni. High life. Reprezentowali sobą coś. Co? Nikt tego dobrze nie wiedział, ale tak się o nich mówiło.

To była paka! Piotr na przykład. Człowiek, który niejedno przeżył — dosłownie i w przenośni. Historia jego przemian była historią przemian jego paczki. On nadawał ton, jak to się mówiło, intelektualny. Był hippisem, kiedy w niektórych kręgach wypadało być hippisem. Ponoć wiedział nawet coś o egzystencjalizmie, a nazwisko „Sartre" umiał przeczytać prawidłowo, bez wymawiania „e" na końcu. Kiedy wypadło być kontestatorem, był nim. Nosił połatane rajfle i podniszczoną, broń Boże nienową, kurtkę wojskową z dyskretnym napisem „US ARMY". Należało to po prostu do dobrego tonu w tym środowisku. Znosił wszystko, i wy za nim też, po bohatersku. Potrafił na przykład natychmiast, kiedy przyszła na to moda zainteresować się filozofią i muzyką hinduską. Takie to były czasy, nie tak znowu odległe, że nie znać się na muzyce i na filozofii hinduskiej po prostu nie wypadało.

Taki był Piotr i tacy byliście wy, na ile tylko potrafiliście go naśladować. Piotr miał styl. Kręciły się koło was fajne dziewczyny: Monika, Beata, Sylwia. Z chłopaków ciekawy był jeszcze Roman, ten spod „peku". To on organizował „dolce" i atrakcyjne wycieczki do „Zakopca".

Najpierw odpadła Beata. „Przybiła do przystani", mówiąc jej słowami. Kończyła studia i to był ten wiek, kiedy „mądre" dziewczyny rozglądają się za mężem. *„Dość tego używania"* — powiedziała sobie stanowczo, zaszła w ciążę z czterdziestoletnim zastępcą dyrektora, mieszka w willi, ozdobionej kawałkami szkła w murze i powodzi jej się dobrze. Ona zawsze miała praktyczny zmysł. Monika nic teraz nie robi, jest jak wy to mówicie, „do wzięcia". Ta z kolei nie miała tych atrybutów co jej koleżanka.

Roman pęta się jeszcze pod „pekiem". Waluta to pewny chleb, zawsze był tego zdania. Ma pozycję w światku cinkciarzy, zna kogo trzeba i doskonale sobie radzi.

Piotr usiłuje sprzedawać nadal te swoje ikony, tylko nie u nas, za granicą. Podobno handelek mizernie idzie, bo moda się skończyła.

A Sylwia?

Mieszka w N.

III. N.

N. nie jest jednym z tych małych miasteczek leżących na uboczu wielkich spraw. Owszem, N. jest prowincjonalne ze swoimi cotygodniowymi jarmarkami, z odpustami w środku lata, z kolejką wąskotorową, przywożącą chłopów z okolic „do powiatu", jak tu się ciągle jeszcze mówi.

Nikt tu jednak nie dziwi się wybrykom mody, małe dziwactwa niektórych obywateli tolerowane są przez mieszkańców, nawet zagraniczny turysta, jeśli zatrzyma się tutaj, aby obejrzeć XII-wieczny klasztor nie wywołuje sensacji. No i słynie jeszcze N., nie tylko w najbliższej okolicy, z restauracji, usytuowanej na... dachu największego w okolicy domu towarowego. Restauracja w prowincjonalnym miasteczku — na dachu! Które inne miasteczko odważyłoby się na coś takiego? Podziwiać stąd można spokojne, równinne okolice.

Jednym słowem w N. da się żyć, i to było zasadniczą przyczyną dla której Sylwia zdecydowała się tu właśnie zamieszkać. Pomieszkała rok i N. przyzwyczaiło się do niej, a ona do N. „Ekstrawagantka" — tak ją tu nazwano, kwitując tym jednym słowem wszystko, czym odbiegała od małomiasteczkowej sztampy. Była to także jedyna reakcja mieszkańców na jej osobę i za to też, jak się zdaje, Sylwia polubiła N.

Długo nie mówi nic o tamtych latach i sprawach, jakby nie mogła się zdecydować. Omija skwapliwie ten temat, więc muszę zrezygnować z wścibstwa i nie pytać o nic.

Sylwia woli mówić o dniu dzisiejszym. O tym, jak daje sobie radę. Jak żyje. Przede wszystkim — przyjaciół tutaj nie ma żadnych. Można by właściwie powiedzieć, że jest sama. Tylko tych kilku znajomych ze szkoły. Czy można tak żyć?

Sylwia twierdzi, że tak. W *końcu*, powiada, *ile tu już jestem? Rok, dwa? Nie, w sierpniu będzie półtora roku jak tu przyjechała. Tak, Pawełek miał wtedy kilka miesięcy, a teraz ma już dwa latka.*

Dom? Tak to się nazywa, ten mały pokój z kuchnią, który zajmuje razem z dzieckiem. Urządziła się skromnie, na więcej nie było ją stać, to zrozumiałe. *Właściwie*, twierdzi, *zawsze marzyła tylko o tym, co ma.* A cała reszta? Cóż ją w końcu mogą obchodzić miejscowe układy? Ma swój, własny, wewnętrzny światek. Dziecko. Literatura. Książki. Dużo książek. Bardzo lubi czytać. I kwiaty. *Bez kwiatów byłoby tutaj smutno.* Czasami dostaje je od dzieci w szkole. Sama też kupuje, zawsze są świeże kwiaty w domu.

Ze swoimi rodzicami nie utrzymuje kontaktów. Żadnych. Rodzice Lorda przysyłają jej regularnie co miesiąc pieniądze. Przyjmuje je. Przecież Lord nie płaci jej alimentów, nie było żadnej sprawy sądowej. Gdyby chciała, mogłaby wyjść korzystnie za mąż, tu właśnie, w N. Ten, który się nią tutaj interesuje, to dobry chłopak. Ma niezłą pracę, perspektywę awansu. Ma też wpływowych znajomych, obiecał nawet, że wkręci ją na intratne stanowisko. Jedyna wada: jest nudny, nieciekawy. Ale dobry, tak dobry, że zgodziłby się na Pawełka, była już o tym mowa.

Ale nie — Sylwia myśl o małżeństwie wyklucza, przynajmniej na razie. Tu zajmuje się także malarstwem. *„Maluję też czasami"* — mówi jakby od niechcenia. Temat obrazów ten sam — N., widziane ze wzgórza za miastem.

Okolice są tutaj rzeczywiście ładne. W pogodne dni, zapewnia Sylwia, widać stąd nawet Tatry.

* * *

Nieprawda. Byłem tam. Wszędzie płaski krajobraz, aż po sam horyzont.

ZYGMUNT SZYCH

Śladami Juliana Goslara

OLGIERD JĘDRZEJCZYK

Hura czernia! Niech żyje Polska!

5 lutego 1852 r. w wojskowym forcie w stolicy Austrii ustawiono dwie szubienice. Na jednej powieszono Michała Piringera-Pataky, rewolucjonistę węgierskiego, na drugiej Juliana Macieja Goslara.

Miał wtedy zaledwie 32 lata. Jakież drogi doprowadziły tego młodego, pełnego energii i temperamentu mężczyznę do tak tragicznego końca? Jakie fakty zaciążyły na młodym życiu?

Nie będzie chyba wielkim ryzykiem postawienie tezy, iż o rysunku psychicznym i ideowym tego zapomnianego nieco polskiego rewolucjonisty, zadecydował w pierwszym rzędzie klimat intelektualny tarnowskiego środowiska szkolnego owych lat, a także żywa przecież w całym społeczeństwie pamięć upadku Księstwa Warszawskiego, klęski Powstania Listopadowego i narastające dysproporcje ekonomiczne zachowawczo-konserwatywnej Galicji. W zbiorach Ossolineum, w rękopisie o sygnaturze 6270, na stronie 91 zachował się dokument (może donos szpiegowski), iż w Bachórzu chłopi walcząc przeciwko dworowi krzyczeli: *„Hura czernia! Niech żyje Polska!"* Działo się to w roku 1846, na obszarze szczególnej aktywności propagandowej Goslara, i jak widać, już wówczas nie tylko hasła wyzwoleńcze, ale również i społeczne były mu bliskie.

Syn spolszczonej rodziny kolonistów niemieckojęzycznych, urodzony w roku 1820 we Lwowie, wychowywał się w atmosferze niezwykłego podniecenia patriotycznego. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że na umysłowość chłopca wpływały znacząco i Powstanie Listopadowe, i niemiecka filozofia, i tradycja demokratyczna żołnierzy-kombatantów wojsk Księstwa Warszawskiego. Wśród preceptorów — zarówno szkolnych wychowawców, jak i wielu ziemian-rewolucjonistów, byli przecież ludzie pamiętający dobrze epopeę napoleońską, czynnie uczestniczący w polskich, powstańczych działaniach zbrojnych. Byłoby rzeczą niemożliwą, aby Julian Goslar nie dostał się pod wpływy Stowarzyszenia Ludu Polskiego, założonego w roku 1835 w Krakowie, aby nie stał się członkiem Sprzysiężenia Demokratów Polskich w Tarnowie.

Jaki był wówczas Tarnów? Co znaczył w polskim ruchu niepodległościowym i rewolucyjnym? Był miastem, które stanowiło o obrazie społecznym i ekonomicznym części ziem polskich znajdujących się pod zaborem austriackim. Miał swoje mieszczaństwo, swój proletariat zatrudniony w małych fabryczkach, gorzelniach, browarach, miał swój salon literacki. W Zborze Głównym Stowarzyszenia Ludu Polskiego w Krakowie, w zborach ziemskich i obwodowych tej organizacji powstały wydziały włościan. Właśnie w Tarnowskiem i Bocheńskiem wydziały owe prowadziły bardzo ożywioną działalność agitacyjną wśród chłopów i na pewno „Grona Chłopów" (bo tak nazywały się wydziały w Tarnowie i Bochni) były żywym dowodem nastrojów rewolucyjnych.

Zygmunt Kaczkowski, pisarz i... niestety, później cenzor austriacki pisze o jednym z przyjęć w Tarnowie, w salonie Jana Dęboroga-Bylczyńskiego *„jednej z tych zasuszonych mumii XVIII wieku"*. Było to w roku 1840. Wincenty Pol *„wziął Kaczkowskiego na stronę i spytał — Czy nie masz tutaj jakiego spokojnego kąta, gdzie byśmy się mogli spokojnie rozmówić?"*. Otóż w pokoju Kaczkowskiego rozmówili się dwaj panowie o tym, że studenci tarnowscy chodzą do szkoły i poza szkołę, że mają kontakty z rewolucjonistą Wiesiołowskim, co Pol zaakceptował, ale w pewnym momencie rzekł: *„Ale tam także i Goslar bywa pomiędzy wami, ten idzie jeszcze dalej jak Wiesiołowski, cóż on wam gada?*

— Goslar — powiedziałem mu na to — wykłada nam filozofię podług Libelta i Trentowskiego.

— Piękna to musi być filozofia — zawołał Pol — to komunista; on wiąże kółka pomiędzy wami, burzy was przeciw szlachcie, uczy was teorii komunistycznych i wszechwładztwa ludu, a obok tego wojuje jeszcze listami bezimiennymi...

— Goslary! Goslary! to prawdziwa trucizna, która nas daleko gorzej roztacza niżeli Moskale i Niemcy. Powiadam panu, że nie masz jednej kropli krwi pod sercem, której bym dla Polski nie przelał. Jak czas przyjdzie po temu, obydwa pójdziemy. Ale to nie Goslary zbawią Ojczyznę!"

Słowa te padły mniej więcej w rok po relegowaniu Juliana Macieja Goslara z gimnazjum tarnowskiego. Wtedy też nie pozwolono mu uczyć się w żadnej ze szkół zaboru austriackiego. Kółko podziemne młodzieży demokratycznej założone przez Goslara w Tarnowie, jakże intresujących, pełnych zapału młodych ludzi gromadziło. Był tam Leopold Kmietowicz — późniejszy wikary chochołowski, przywódca powstania z roku 1846, Seweryn Celarski — późniejszy sekretarz Centralnej Rady Narodowej we Lwowie w r. 1848, Maurycy Sikorski — późniejszy członek założonego przez Edwarda Dembowskiego we Lwowie Komitetu Akademickiego, Szczęsny Morawski — późniejszy wybitny historyk. Policja austriacka „przepytała" Wojciecha Hellera członka Sprzysiężenia Demokratów Polskich w Przemyślu — Heller załamał się, wydał nazwiska. W 1837 r. aresztowano najbliższych kolegów Goslara: Pieczonkę, Kummera, Rysnerskiego.

Marian Tyrowicz pisze: *„Przed osiemnastoletnim Goslarem otwierała się perspektywa nędzy, przed ambitnym i chciwym wiedzy studentem zamykała się droga do uniwersyteckich studiów... W tym okresie jeździł do Rzeszowa, dotarł nawet*

do Lwowa, gdzie brat jego Jan terminował w krawiectwie i kolegując z młodzieżą czeladniczą ułatwił agitację rewolucyjną wśród tego zapalnego żywiołu".

Zarabiał w okolicznych dworach jako korepetytor, ciągle kontaktował się w kółkach filozoficznych z młodzieżą tarnowską, agitował na pewno za walką przeciwko uciskowi klasowemu wśród chłopów wsi Zarębki, uczył dzieci Jana Konopki w Kolbuszowej i dzieci Wojciecha Mańkowskiego w Dembowej. Agituje również wśród górali podhalańskich — w Chochołowie poznaje Jana Kantego Andrusikiewicza, organistę i wiejskiego nauczyciela. W Bobowej nad Wisłoką wykorzystuje miejscowego pastucha Piecucha do agitacji wśród wieśniaków.

Jakże inna jest postać tego pastucha, wioskowego trybuna ludu, Piecucha, w porównaniu z Szelą, opłacanym przez Austriaków zrozpaczonym chłopem! Ale też i Szela spotkał na swojej drodze starostę Breila, zaś Piecuch spotkał Goslara.

W r. 1844 *„nawiązał Goslar kontakt z bliżej nie znanym „rewolucyjnym komitetem" tarnowskim, w skład którego wchodzili Franciszek Eliaszewicz i Franciszek Wolański. Pierwszy z nich zapisał się w historii podziemia galicyjskiego śmiałym planem wciągnięcia do wybuchu powstania robotników ówcześnie największej w zaborze cukrowni Henryka Dzieduszyckiego w Tłumaczu, w której pracowało około 600 ludzi."* (Marian Tyrowicz). W r. 1845, w marcu, Goslar styka się w Kolbuszowej z Edwardem Dembowskim, który uciekł z Wielkopolski ścigany przez policję pruską. Tam właśnie, w owych okolicach, Goslar przeciwstawił się projektowi odezwy Dembowskiego i sam ułożył swój własny jakby manifest. Szło tutaj o formułę, o sposób przemawiania do wyobraźni chłopów. Odezwa nie była rozpowszechniona drukiem w języku polskim. Jej tekst znamy w przekładzie niemieckim, załączniku do urzędowej historii rewolucji 1846 roku. Pomijając poglądy historiozoficzne Goslara, oparte o teorię Lelewelowską pierwotnego ustroju wolnych kmieci, zwrócić uwagę należy na retoryczne, kazaniowe wprost zwroty: *„Uprawiacie zboże dla wszystkich, a sami go nie jecie... Wyrabiacie cegłę, budujecie miasta, ale sami kładziecie się wraz z bydłem na nędznej pościeli... Dobry Bóg nie ustanowił dla ludzi żadnej niewoli i żadnej pańszczyzny"*.

Przepisywaną odręcznie odezwę upowszechniano przez agitatorów. Jeden z egzemplarzy przechwyciły władze austriackie w Czarnej, jeszcze inny w Witkowie. Goslar działa wtedy w okolicach Rzeszowa i Przemyśla. Aresztowano go. Wyobraźmy sobie teraz konwój aresztancki: uzbrojonych żołnierzy lub żandarmów, młodzieńca w wytartym kubraczku i płaszczu podróżnym. Ucieka on stamtąd nie dając szans pościgowi. Gdzie to nastąpiło — nie wiemy. Może „dał dyla" z karczmy, gdzie się zatrzymano na posiłek, może śmignął w las... Znowu Podhale — kontakty z księdzem Leopoldem Kmietowiczem z Chochołowa, z wikarym poronińskim Michałem Głowackim, ponownie z Janem Kantym Andrusikiewiczem, z leśniczym Józefem Woźnym, z agitatorem Mikołajem Kańskim...

Osławiony starosta Breil rozpisuje listy gończe. Goslar był za bardzo niebezpiecznym agitatorem i działaczem, by mógł się swobodnie poruszać po Galicji ówczesnej. Dembowski każe naszemu bohaterowi wyjechać na Słowację.

Znowu w Polsce — Goslar wróciwszy w 1846 r. do kraju rozrzuca odezwy wśród oficerów garnizonu austriackiego w Sanoku i Samborze. Tragiczne w skutkach jest postępowanie haczowskiego proboszcza Gerarda Lecha, który przyjął egzemplarz odezwy i pozornie przyobiecał uderzenie na Nowosielce, zaś po powrocie Goslara z Trześniowa doprowadza do uwięzienia go, bo jest *„zbójem, co chciał ludzi wyrzynać i księdza zastrzelić"*.

Więzienie w Sanoku, potem cela we Lwowie u Karmelitów i wyrok śmierci w roku 1847. Apelacja — 18 lat ciężkiej twierdzy. 17 lutego przewieziono Goslara do Spielbergu. Zwolnienie. Amnestia to uczyniła w roku 1848. Szybka podróż do Krakowa — jeszcze przedtem wędrówka przez Czechy i Austrię. Pod Wawelem trwają krwawe walki z okupantem austriackim. Bierze w nich udział tarnowski rewolucjonista, patrząc ze zgrozą na bombardowanie prastarej polskiej stolicy dokonane na rozkaz zbrodniczego generała Castiglione. Potem z polecenia lwowskiej Centralnej Rady Narodowej jest Goslar doradcą i w jakimś sensie reżyserem politycznym działań deputowanych chłopskich z ziem polskich znajdujących się pod okupacją austriacką. Zgromadzenie wiedeńskie uchwala zniesienie pańszczyzny.

W Wiedniu najprawdopodobniej Goslar walczy już chyba jako oficer w szeregach rewolucyjnej legii polskiej. Współpracował tam blisko z tarnowianinem, bohaterskim generałem Józefem Bemem. Po upadku rewolucji, w styczniu 1849 r. znowu Goslar zostaje aresztowany. Skazano go na 5 lat więzienia. W rok później zwolniono go z Kufsteinu; nawiązuje współpracę z emisariuszem Kossutha Michałem Piringerem — Maurycym Patakym... Nie wiadomo, na czym ona polegała. Czerwono-żółci urzędnicy skrzętnie pozacierali ślady tego wydarzenia. Wspomniany tu epilog szubieniczny Juliana Macieja Goslara kończy jego żywot.

Encyklopedie i podręczniki historii sprzed roku 1945 rzadko wspominają Juliana Goslara. Nie mogły go wspominać. Wściekły, wiernopoddańczy Zygmunt Kaczkowski napisał przecież: *„Goslar właściwych spisków pomiędzy nami nie wiązał, tylko tworzył kółka składające się z pięciu lub sześciu kolegów i na zebraniach wykładał filozofię po polsku. Ile te wykłady były warte, wówczas sądzić nie mogłem, pamiętam jednak, że oprócz języka nie było w nich nic polskiego, a była tylko mowa o prawach człowieka, o usamowolnieniu wiejskiego ludu i uszczęśliwieniu ludzkości za pomocą wiecznych rewolucji aż do takiego czasu, w którym znikną ostatnie ślady jakiejkolwiek nierówności pomiędzy ludźmi."*

Mówi się często, że wróg potrafi wystawić swemu przeciwnikowi najpiękniejsze świadectwo. Te słowa zapisał Kaczkowski w Tarnowie i tymi słowami wystawił rewolucjoniście Julianowi Goslarowi pomnik.

Czy Dogonowie uczyli się astronomii od przybyszów z Kosmosu?

Dogonowie — niewielkie plemię z Afryki zachodniej zamieszkujące półpustynne tereny w Mali — zadziwiają uczonych. Mają oni zdumiewającą wiedzę astronomiczną przekazywaną z pokolenia na pokolenie.

Dogonowie wiedzą, że system słoneczny składa się z pięciu planet — Wenus, Ziemi, Marsa, Jowisza i Saturna. Warto przypomnieć, że pozostałe planety naszego układu astronomowie europejscy odkryli dopiero w ciągu ostatnich 200 lat. Wiedzą oni także, że Ziemia kręci się wokół osi i zatacza wokół Słońca „krąg świata", podobnie znają dokładnie ruchy Księżyca. Najbardziej zadziwiający jest fakt znajomości czterech satelitów Jowisza i pierścieni Saturna.

Pierwsze cztery księżyce Jowisza odkrył w 1610 r. Galileusz. Są to dość ciasno położone obiekty, ale do obserwacji wymagają przyrządów optycznych (nie znają ich Dogonowie). Trzeba też dobrze znać podstawowe prawa astronomii, aby wyjaśnić ich ruch. Dogonowie dzielą ciała niebieskie na planety, gwiazdy i księżyce. Księżyce noszą nazwę tolo gonza, czyli „gwiazdy, które zataczają kręgi". Taka znajomość astronomii, istniejąca już od wielu pokoleń, wzbudza podziw współczesnych astronomów.

Prawdziwą rewelacją jest znajomość Syriusza. Gwiazda ta odgrywa dużą rolę w mitologii Dogonów. Wiedzą oni, że Syriusz w gwiazdozbiorze Wielkiego Psa jest gwiazdą podwójną. Gdy w XVIII wieku jeden z europejskich astronomów, Christian Meier opublikował po raz pierwszy listę gwiazd podwójnych, początkowo spotkał się z oburzeniem ówczesnych autorytetów naukowych. Dogonowie znają od dawna dwoistość Syriusza. Co więcej, Syriusz B jest niewidoczny gołym okiem i został odkryty dopiero w połowie XIX w. dzięki badaniom zakłóceń ruchu głównej gwiazdy. Syriusz A jest około 10 tys. razy jaśniejszy od swego satelity. Ponadto Dogonowie obliczyli obroty obu tych gwiazd. Skąd się wzięła dokładna znajomość niewidocznej gwiazdy?

Astronomowie przypuszczają, że Syriusz B mógł być w niedawnej przeszłości czerwonym olbrzymem widocznym gołym okiem i dopiero później eksplodował i przeszedł w stadium tzw. białego karła. Ale Dogonowie mówią o małej, białej gwieździe. Jak wykazały współczesne obliczenia, Syriusz B jest rzeczywiście słabo widocznym białym karłem, ma on wprawdzie masę wielkości naszego Słońca, lecz rozmiary Ziemi. Zagadka Syriusza B czeka więc na rozwiązanie. (PAP)

Na początku, a właściwie to do samego końca nikt nie wiedział — i nie wie dotąd — dlaczego to doktor Paweł Kandynsky ni stąd ni zowąd pewnego dnia znalazł się u nas, w naszym mieście, w naszym zakładzie. Była to jakby fata morgana: doskonały fachowiec, teoretyk, badacz, wynalazca, autor wielu prac naukowych przybywa do pracy w naszej małej, nie najnowocześniejszej przecież hucie szkła lustrzanego, opartej na technologii szkła ciągnionego, wynalezionej jakby nie było przez Fourcaulta w 1906 roku.

Jego doświadczenie, wiadomości i niewątpliwy talent predestynowały go do zajęcia jakiejś znaczącej pozycji w nauce, w Centralnym Instytucie Szklarstwa, w którejś z hut na przykład produkującej wysokiej jakości szkło pławione, według technologii Pilkingtona z 1960 roku. Ale nic z tego, doktor Paweł Kandynsky, absolwent Politechniki Warszawskiej, który pogłębiał swoją wiedzę w słynnych zakładach optycznych w Jenie i w angielskim ośrodku badań nad szkłem w Sheffield, potem w tak znakomitych firmach jak Libbey-Owens-Ford w USA, Saint-Gobain we Francji i Guś Chrustalny w ZSRR, autor jedenastu patentów i dwu nowych technologii produkcji szkła lustrzanego — otóż taka znakomitość, obywatel szerokiego świata, pewnego razu zjawił się w naszej podrzędnej hucie szkła i otrzymał wcale nie najważniejsze przecież stanowisko głównego technologa zakładu, zakładu usytuowanego wprawdzie w mieście wojewódzkim, ale do niedawna zaledwie powiatowym, a więc w typowej prowincjonalnej dziurze, rozsypującej się, zagrzybionej, pełnej podrzędnych figur i poczciwców wyobrażających sobie, że ich miasto to Ateny lub Weimar, gdy w rzeczywistości była to Abdera.

Jeżeli już chciał pracować w przemyśle, a nie na uniwersytecie czy w którymś z instytutów, to dlaczego nie poszedł na przykład do huty „Sandomierz", do „Kary" lub „Hortensji" w Piotrkowie Trybunalskim, do huty „Szczakowa" w Jaworznie, do „Julii" w Szklarskiej Porębie czy „Violetty" w Stroniu Śląskim, wreszcie do Ząbkowic, Jaroszowca, Murowa, Krosna, Tarnowa, Zawiercia, Jeleniej Góry, Jarosławia, Ujścia — a więc do którejś z tych znakomitych hut, których mamy dziesiątki, gdyż należymy przecież do światowych potentatów w dziedzinie produkcji szkła.

Dlaczego więc nie zaczął tam pracować, z większym dla siebie i kraju pożytkiem? Otóż zdaje mi się, że odpowiedź na to pytanie udało mi się odnaleźć: pasją doktora Pawła Kandynsky'ego były krzywe zwierciadła, a tylko nasza huta wytwarzała w kraju szkło lustrzane. Tu więc mógł się swojej namiętności poświęcić, tu mógł eksperymentować, opracowywać receptury, przeprowadzać doświadczenia. Tak więc to, co wyglądało w pierwszej chwili na poświęcenie się czy abdykację, było, jeśli nie wyrachowaniem, to z pewnością kalkulacją — chłodną, zimną, przemyślaną.

Nie zadawał się z nikim, zaraz od swojego przybycia będąc obcy wszystkim. Mieszkał na uboczu, pod lasem, we własnym, obszernym domu, który zakupił bez chwili wahania, po mistrzowsku targując się o cenę. Był samotny i prawie wcale nie udzielał się ani w mieście, ani w zakładzie. Raz pojechał z wycieczką zorganizowaną przez radę zakładową, ale krępował ludzi swoją milczącą, jakby wyniosłą obecnością, wycieczka ta była zatem jego pierwszą i ostatnią. Czasami widywano go podczas wystaw miejscowych plastyków, systematycznie zaś chodził na koncerty organizowane przez tutejsze, bardzo prężne Towarzystwo Muzyczne im. Ignacego Paderewskiego. Prawie codziennie zachodził też do księgarni, przeglądając nadchodzące nowości, a czasami można go było spotkać w czytelni biblioteki wojewódzkiej. I to, nie licząc długich spacerów za miasto, chyba wszystko, co można by o nim powiedzieć.

W umowie z dyrektorem, zresztą dżentelmeńskiej, ustnej, doktor Kandynsky zastrzegł sobie, że będzie mógł, korzystając z urządzeń przemysłowych, przeprowadzać eksperymenty i badania. Nie było to wcale kłopotliwe w naszych warunkach, zwłaszcza że doktor Kandynsky zadowolił się piecem-weteranem, który akurat mieliśmy wyburzyć. Poprosił o pozostawienie go i od czasu do czasu wytapiał w nim niewielkie ilości powszechnie znanych gatunków szkła — kwarcowego, sodowo-wapniowego, borowo-krzemowego, wysokoglinowego, ołowiowego.

Koszty tych eksperymentów były prawie żadne, piasku przecież nie brakowało, a o drobnych ilościach boraksu, sody, wapieni czy tlenków ołowiu nie było nawet co mówić, podobnie jak o używanych przez niego od czasu do czasu związkach barwiących, przyspieszających topienie lub klarowanie masy szklanej. Zresztą przeważnie rozmaite dodatki doktor Kandynsky sprowadzał sobie sam i ściśle odważone, wymieszane i opisane na białej karteczce z liczbą porządkową doświadczenia, przynosił do huty w teczce, wrzucał do pieca, po czym z kilku metrów otrzymanego szkła wycinał parę prostokątów, w narożniku kwasem fluorowodorowym wytrawiał numer doświadczenia, identyczny z numerem na kartce i zabierał szyby do domu, niosąc je pod pachą, poprzekładane gazetami.

I to chyba wszystko. Czasami jeszcze przeciągał swój produkt po powierzchni roztopionego metalu, celem uzyskania politury ogniowej, inne wytłaczał w prasie, niektóre gatunki podgrzewał do pięciuset stopni i potem powoli studził, aby usunąć wewnętrzne naprężenia, inne znowu, rozgrzane do sześciuset pięćdziesięciu stopni, hartował w strumieniu sprężonego powietrza. Następnie, przez dość długi czas, wyrabiał wyłącznie wielobarwne szkła warstwowe, rubinowe, mącone, fondi d'oro, potem zbrojone drutami cienkimi jak włos lub przekładane warstwami przewodzącymi prąd. Później znowuż wytwarzał wyłącznie szkła szlifowane, matowane jednostronnie, trawione fluorowodorem, potem produkował zwyczajne szkło okienne, lecz za to niezwykle starannie dobierał składniki.

Skąd o tym wszystkim wiedziałem? Ano podglądałem doktora, nie będę się wypierał. Moja przeszklona na wszystkie strony dyżurka znajdowała się pośrodku hali i choćbym nie chciał, widziałem wszystko, co robił na dole. Zresztą pewnie wiedział, że się gapię na niego, ale wcale mu to widać nie przeszkadzało i robił swoje nie zwracając uwagi ani na mnie, ani na innych.

Czasami zagadnąłem go o to lub owo, zauważyłem jednak, że, pochłonięty swoimi badaniami, niechętnie wdawał się w pogawędki, a już na temat swoich doświadczeń nie wypowiadał się prawie wcale. A wiele z tego co robił, intrygowało mnie, gdyż były to rzeczy wręcz pasjonujące. I jeśli na przykład wtapiał w szybę spiralę i przepuszczał przez nią prąd, to wiadomo, podgrzewał płytę i nie było w tym nic specjalnie dziwnego. Ale jeśli w szkło wtapiał nadeszłe ze Stanów Zjednoczonych (nadawca: NASA!) elementy krzemowe baterii słonecznych, takie same, jakie miały na swoich pokładach szybujące w przestworzach statki kosmiczne, to już wtedy, muszę przyznać, intrygowało mnie wszystko w najwyższym stopniu. No bo po co to robił? Chodziło mu o skonstruowanie lustra posiadającego własne, niewidzialne źródło energii? Odkryłem też, że do swoich doświadczeń używał fluoroscencyjne roztwory barwników organicznych i nieorganicznych, na końcu zaś doszedłem do wniosku, że używał również pierwiastków promieniotwórczych.

Z tym to już jednak nie było żartów. Eksperymenty z podczerwienią, z ultrafioletem, ze światłoczułym szkłem fotochromowym — proszę bardzo, natomiast na pierwiastki promieniotwórcze w zakładzie, wśród pracujących tu, nie podejrzewających niebezpieczeństwa ludzi — nie można było się zgodzić.

Zabezpieczyłem kilka kawałków szkła wyprodukowanego przez doktora Kandynsky'ego i z dawnych zapasów zakładowej jednostki obrony terytorialnej wydostałem licznik Geigera, zafundowany jednostce jeszcze w latach pięćdziesiątych, kiedy przygotowywano kraj na wypadek ataku atomowego. Licznik Geigera potwierdził moje przypuszczenia — odpadki szkła, piec, całe stanowisko pracy doktora Kandynsky'ego w mniejszym lub większym stopniu emitowało niewidzialne, z pewnością niebezpieczne promienie.

Teraz stało się dla mnie jasne, dlaczego doktor Kandynsky ostatnio tak źle wyglądał. Był bardzo blady, niezwykle wręcz blady, na powitanie podawał zimną, lepką rękę, oczy miał zapadnięte, niepewny krok. A więc to była z pewnością białaczka, choroba popromienna, jej stadium daleko zaawansowane. Trudno powiedzieć, ile mu jeszcze pozostawało życia, kilka tygodni czy kilka miesięcy, było jednak oczywiste, że choroba jest nieodwracalna, śmiertelna. Może jeszcze przeszczepy szpiku kostnego i transfuzje krwi przedłużyłyby mu życie, lecz środki te nie mogły go ocalić od przedwczesnej lecz nieuchronnej śmierci. Poza tym doktor tak był zajęty swoimi eksperymentami, że nie myślał nawet o jakiejkolwiek kuracji.

Tak więc na moich oczach rozgrywała się tragedia, wyścig uczonego ze śmiercią. Albowiem doktor Kandynsky się spieszył, bardzo się spieszył, wykonywał coraz to nowe serie doświadczeń, po czym szybko uchodził do swojego domu, gdzie kontynuował badania nad otrzymanymi gatunkami szkła o coraz to innych właściwościach. A więc był ofiarą nauki, ofiarą swojej pasji badawczej, człowiekiem, który dla osiągnięcia naukowego sukcesu zaryzykował swoim życiem.

Poruszony w najwyższym stopniu nic nikomu nie mówiąc, zabrałem z sobą licznik Geigera i udałem się do domu doktora Kandynsky'ego. Musiałem z nim porozmawiać. Ale nie pomagało dzwonienie i pukanie, doktor nie chciał otworzyć, choć wiedziałem, że jest w domu.

— Doktorze — zawołałem — mam bardzo ważną sprawę, proszę otworzyć.

Ale i to nie pomogło. Wtedy zdecydowałem się odkryć karty.

— Doktorze — zawołałem — licznik Geigera wykazał promieniowanie radioaktywne na pańskim eksperymentalnym stanowisku. Muszę z panem pomówić.

Dopiero wtedy, a i to nie zaraz, usłyszałem, że ktoś podchodzi do drzwi. Otworzył je doktor Kandynsky.

— Proszę — powiedział.

Gdy wszedłem, przekręcił klucz w drzwiach i klucz wsadził do kieszeni roboczego kitla, takiego samego, w jakich po hucie poruszała się kadra inżynieryjna. Szedł przodem, pochylony, jakby z trudem. Wprowadził mnie do pokoju po lewej stronie korytarza.

— Niech pan siada — powiedział.

— Chwileczkę — odparłem i wyciągnąłem z teczki licznik Geigera, po czym bez ceremonii skierowałem jego ekran we wszystkie strony, a zwłaszcza w kierunku szyb i luster, których dziesiątki i setki stały pod ścianami. Na szczęście licznik milczał.

— Niech się pan nie obawia — powiedział spokojnie doktor Kandynsky. — Produkty promieniotwórcze trzymam w piwnicy, akurat pod nami, lecz jesteśmy zabezpieczeni płytą pancerną i płaszczem betonowym.

Istotnie podłoga wylana była betonem, i to warstwą dość grubą, jako że parapet, niegdyś sięgający zapewne do pasa, teraz był na wysokości kolan. Wtedy przypomniałem sobie, że jakieś osiem miesięcy temu doktor Kandynsky nabył u nas przeznaczone na złom płyty stalowe, a w pobliskiej wytwórni domów zakupił kilka gruszek betonu, celem wzmocnienia, jak wyjaśnił, stropów w swoim domu.

— Panie doktorze — zacząłem — na pańskim stanowisku występuje promieniowanie radioaktywnych pierwiastków.

— Możliwe — odparł doktor — lecz nie jest ono niebezpieczne, gdyż występuje w znikomych ilościach i w pewnej odległości od innych stanowisk pracy. Zagrożenie wzrastało tylko przejściowo, w czasie wytopu, jednakże starałem się robić wytopy szybko i przeważnie na nocnej zmianie, po czym natychmiast wynosiłem promieniotwórcze szyby do swojego domu.

— Narażając na niebezpieczeństwo siebie i ludzi, wszystkich, wokół których pan choćby tylko przechodził.

— Proszę pana — odparł doktor z bladym uśmiechem — ludzie na ogół demonizują zjawisko promieniotwórczości i przeceniają rzekomo niszczycielską siłę jego działania. Czy pan wie, że Amerykanie w latach pięćdziesiątych przeprowadzali oddziały wojskowe tuż w pobliżu centrum wybuchu bomby atomowej lub wodorowej w godzinę po jej zdetonowaniu? I że trzymali żołnierzy w okopach sześć—osiem kilometrów od miejsca wybuchu trzydziestokilotonowych bomb?

— Wiem o tym — odparłem — i uważam, że były to eksperymenty nieludzkie, że była to zbrodnia.

— Ależ nie — zaoponował doktor Kandynsky — przecież nic się nie stało, ludzie ci żyją.

— Tak, ale podobno właśnie zaczynają wymierać. Na raka krwi.

— Może wcale nie dlatego, że przed dwudziestu laty przemaszerowali się po skałach atolu Enivetok. Może w ciągu tych dwudziestu lat za dużo nawdychali się spalin samochodowych. Któż to wie?

Taki punkt widzenia był nie do przyjęcia.

— Czyżby pan twierdził — zapytałem ze zdumieniem — że promieniowanie nie jest niebezpieczne dla zdrowia?

— Tego nie powiedziałem. Twierdzę jednak, że krótkotrwałe napromieniowanie niezbyt silnymi dawkami człowiek znosi bez żadnej szkody dla swego zdrowia.

— Panie doktorze — rzekłem po chwili milczenia — nie wiem, czy pan się orientuje w stanie swojego zdrowia, ale moim zdaniem powinien pan dać się zbadać.

— To nie jest konieczne — krótko i szorstko powiedział doktor Kandynsky.

Doktor, chcąc mnie zapewne pozyskać dla idei swoich badań, albo też po prostu wywiedzieć się o tym, co zamierzam uczynić z kłopotliwym faktem przeprowadzania w zakładzie eksperymentów z udziałem pierwiastków promieniotwórczych, pokazał mi swoją pracownię. Jak już mówiłem, miał bzika na punkcie krzywych zwierciadeł, ale nie takich zwyczajnych, cyrkowych, wytwarzanych dla gabinetów śmiechu. Interesowały go bardziej subtelne sprawy, odbicia zniekształcone w sposób niezwykle zorganizowany, wyrafinowany. Na przykład chodziło mu o to, aby fakt zniekształcenia umykał uwadze patrzącego, aby zniekształcenie wydawało się naturalne i prawdopodobne, będąc jakby nieodzownym, niepodważalnym składnikiem obrazu.

O ile zdołałem się zorientować, jego idea zmierzała

w kierunku dostarczenia ludziom takich pozornie prawdziwych obrazów, które wprawdzie indywidualizowałyby odbicia zgodnie z poczuciem ludzkiego realizmu, ale jednocześnie nasycały je karykaturą oraz swoistą treścią i interpretacją nadrzędną, zawsze obecną i przy odpowiedniej zręczności możliwą do wykazania w każdym przypadku. Dlatego jego eksperymentalne lustra, choć tradycyjnie składały się z tafli szklanej podlanej od tyłu amalgamatem rtęci z ołowiem i cyną, zawierały w sobie coś jeszcze poza zwykłą zdolnością do odbijania przedmiotów i ludzi. Co to było, to właśnie stanowiło tajemnicę doktora Kandynsky'ego, a wypływało z jego charakteru, osobowości, poglądów i celów, które sobie założył.

— Panu chodzi o coś w rodzaju znalezienia sposobu na wyposażanie dowolnego lustra w zdolność do rzutowania obrazów, a raczej nakładania ich na obraz rzeczywisty?

— Nie tylko — uśmiechnął się doktor Kandynsky — jestem znacznie ambitniejszy i... złośliwszy.

Wiedziałem, że niektórzy uczeni, na przykład Pantalejmon Juriew występują z tezą, że duch Barbary Radziwiłłówny, którego król ujrzał podczas słynnego seansu w lustrze Twardowskiego, był projekcją figury kobiecej wygrawerowanej na powierzchni lustra. Sztych ten, zupełnie niewidzialny, zeszlifowany, niewyczuwalny ręką, w pewnych warunkach, gdy padało na niego światło pod odpowiednim kątem, rzutował obraz na zasadzie ogólnych praw optyki.

Podobnie przedstawiałaby się sprawa z magicznymi lustrami japońskimi, których całą kolekcję zademonstrował B. T. Dybowski w 1885 roku w Warszawie. Zwierciadła te, oświetlone promieniami słonecznymi, rzutowały na ścianę swoje ukryte obrazy. Niedoskonały, prawdopodobnie nieudany egzemplarz takiego lustra znajduje się dziś w muzeum w Szanghaju. Jest to brązowy krążek, wypolerowany z jednej strony, z drugiej posiadający grube, lane ornamenty. Odbity przez to lusterko zajączek wykazuje jaśniejsze plamy w tych miejscach, w których na odwrocie są zgrubienia.

Na podobnych zasadach miały funkcjonować słynne lustra czarowników rzymskich oraz tak zwane lustra Salomona, służące magom do odczytywania przyszłości.

Ale doktorowi Kandynsky'emu chodziło, jak słusznie mówił, o coś więcej, mianowicie o takie zaprogramowanie luster, które, służąc na co dzień, jednocześnie całą naszą rzeczywistość i codzienność czyniły specyficzną i określoną w pożądany przez niego sposób. Wszystko miało być takie samo, a jednak trochę inne — ale przekonywujące, w sposób jakby naturalny, zgodny z naszym potocznym odczuciem świata i jego odbiorem w kategoriach realistycznych i zdroworozsądkowych.

Stąd te rozliczne eksperymenty, nakładanie warstw szklanych, luminiscencje, podczerwone promienie, kodowanie struktur, odliczanie atomów za pomocą suwaka Wackera, intensywne zgłębianie i wykorzystywanie aberracji optycznych, spajanie szyb, konstruowanie czegoś w rodzaju lustra w lustrze i tak dalej.

— Pan chce kłamać za pomocą prawdy — wykrzyknąłem olśniony.

— To jeszcze mało — zapewnił mnie doktor Kandynsky — natura i technologia dają nam znacznie większe możliwości manipulacji, dlaczego więc z nich nie skorzystać?

— Wariat — przemknęło mi przez głowę, lecz zaraz pomyślałem, że nie był doktor wariatem, a człowiekiem opętanym, opętanym monoideą, chęcią zniewolenia każdego innego człowieka, każdej jednostki, przy jednoczesnym bezwzględnym skarykaturowaniu jej własnego, indywidualnego oblicza. Takie mniej więcej wynikało końcowe objawienie z owego pomieszania filozofii z technologią, a narzędziem pomocnym w realizacji tego celu miał być produkt umysłu i technologicznego kunsztu doktora Kandynsky'ego — najnowsze, udoskonalone superzwierciadło, pracujące na zasadzie powolnego rozpadu wprowadzonych doń pierwiastków radioaktywnych.

— Absolutnie nieszkodliwych dla otoczenia — zastrzegł się doktor.

— Czy mógłbym się przejrzeć w takim zwierciadle?

— Za kilka dni, najwyżej za kilka tygodni — odparł doktor. — Akurat nad takim zwierciadłem kończę pracę. Tam, na dole — wskazał palcem na piwnice pod nami. — Ściśle mówiąc, ja już takie zwierciadło mam, dopinam jednak pewne szczegóły technologiczne. Moim celem nie jest przecież, jak się pan zdołał zorientować, skontruowanie jednego egzemplarza i uzyskanie sławy czarnoksiężnika, lecz masowa produkcja krzywych zwierciadeł w milionach egzemplarzy.

Okazało się jednak, że miałem rację — doktor Kandynsky był wariatem. Nawet mi nie przyszło do głowy, dlaczego o wszystkim tak szczerze i otwarcie ze mną rozmawiał, zdradzając największy sekret swojego życia. Nie wiedziałem przecież, że on, człowiek nauki, postanowił mnie zgładzić, że zdecydował się na morderstwo, bojąc się, iż o jego niedozwolonych eksperymentach z pierwiastkami promieniotwórczymi powiadomię władze. Potrzebował tylko kilku dni lub kilku tygodni czasu, ja mu mogłem przeszkodzić w dokończeniu pracy, on sam zaś umierał, o czym z pewnością doskonale wiedział. A że swoją samobójczą pracę wykonał nie z miłości dla ludzi, a raczej z nienawiści i pogardy dla nich, rachunek był więc łatwy, decyzja prosta, wniosek jeden: zabić. A chcąc uśpić moją czujność, opowiadał mi o wszystkim szczerze i przyjaźnie, a przy okazji wywiedział się, że tylko ja poznałem jego tajemnicę i że z nikim jeszcze o swoim odkryciu nie zdążyłem porozmawiać.

W pewnej chwili doktor wstał i udał się pod ścianę za moimi plecami.

— Napijemy się po jednym — powiedział.

Tknięty jakimś przeczuciem obejrzałem się w pewnej chwili — i ledwie zdołałem odskoczyć w bok! Jeszcze chwila i zostałbym rozpłatany zabytkową ułańską szablą, którą doktor po cichu zdjął ze ściany. Pobiegłem do drzwi, jednak w porę przypomniałem sobie, że gospodarz ma klucz w kieszeni, chwyciłem więc za krzesło i tym nieporęcznym meblem oganiałem się jak mogłem od ciosów. Doktor, choć wyraźnie osłabiony, nacierał ostro i już po trzech uderzeniach szablą z krzesła zostały tylko drzazgi. Ocalałem dosłownie w ostatniej chwili, rzucając ciężkim kryształowym wazonem w oszalałego doktora. Trafiłem go w pierś, tak jakoś, zdawało się nieszkodliwie, lecz ku mojemu zdumieniu doktor Kandynsky stracił od tego ciosu przytomność, a po kilku minutach — już nie żył.

Dlaczego przez chorego umysłowo człowieka miałem zostać zabójcą? Dlaczego miałem nosić piętno? Choć walczyłem w obronie własnego życia, pozostawało przecież faktem, że zabiłem człowieka, a nawet jeszcze gorzej — zabiłem człowieka ciężko chorego, niemal dogorywającego. Nie wiem do dziś, czy postąpiłem wówczas słusznie, ale abstrahując od ocen moralnych, dalszy przebieg wypadków wyglądał następująco. Oto po chwili wahania, gdy tylko się uspokoiłem, zaciągnąłem ciało doktora do kotłowni opalanej ropą. Stały tam trzy beczki pełne paliwa i jedną z nich w całości wylałem na podłogę...

Nim jednak podpaliłem dom, założyłem na siebie gumowy kombinezon, który wisiał przy wejściu do piwnicy i ostrożnie uchyliłem drzwi obite grubą blachą. Jak w całym domu, tak i w piwnicy pod ścianami było pełno szyb i luster, ale w samym rogu dostrzegłem to, czego szukałem: dwa okrągłe pojemniki z ołowiu, zawierające izotopy promieniotwórcze. Jak doktor wszedł w ich posiadanie, to już pozostanie jego tajemnicą, ja natomiast mogę powiedzieć tylko tyle, że jeszcze tego samego wieczoru, w pół godziny później, z pojemnikami byłem już nad rzeką, gdzie od kilku miesięcy dzień i noc lano beton pod fundamenty wielkiej tamy — i wrzuciłem je w krzepnące ciasto.

Chciałbym jeszcze zaznaczyć, że choć od opisanych tu wydarzeń minęło już kilka lat, jakoś nie padłem ofiarą choroby popromiennej. Widocznie doktor Kandynsky miał rację — promieniowanie w małych ilościach i przez krótki okres czasu nie jest dla zdrowia niebezpieczne. Poza tym ja do pojemników nie zaglądałem, a musiał to czynić biedny doktor, pobierając miligramy substancji, aby je dodać do piecowego wsadu.

Pogrzeb miał doktor Kandynsky piękny, świecki, z orkiestrą strażacką. I jak to bywa — wszyscy go żałowali, wszyscy mu współczuli, choć za życia niezbyt go lubili. Może poruszyło ich to, że zmarł w płomieniach, nieostrożnie obchodząc się ze swoim kotłem centralnego ogrzewania — jak brzmiał oficjalny werdykt prokuratora. I nawet się nie domyślali, że ja, zabójca, ale i ich dobrodziej, znajdowałem się pośród żałobników.

— Mielibyście się z pyszna, durnie, gdybyście zobaczyli swoje pyski zaklęte w jego zwierciadłach — powiedziałem półgłosem, aż się kilku z nich obejrzało.

KONRAD STRZELEWICZ

HEFAJSTOS z ulicy Skargi

TERESA BĘTKOWSKA

Ryngraf Wołodyjowskiego jest bogaty. Składa się z napierśnika i naplecznika. Techniką emalierską wykonane rysunki świętego Michała i świętego Jerzego zdobią go na równi z prawdziwymi, czerwonymi koralami.

— *Brałem korał po koralu, pach, rozpaławiałem jednym uderzeniem i inkrustowałem. Zużyłem ich chyba ze setkę. O, i mnie się ten ryngraf podoba. Myślałem nawet, że sobie go zostawię. Tadeuszowi Łomnickiemu spodobał się jednak również. I on zostawił go sobie. Na pamiątkę.*

Kamienica Hefajstosa z Tarnowa jest piętrowa. W mieszkaniu przy ul. Skargi 1, różniącym się znacznie metrażem od blokowych, jest miejsce i na bogatą bibliotekę, i na kolekcję broni białej i palnej. Oglądam to wszystko, przerzucam sterty notatek, szkiców i rysunków, nawet fotografii i wiem jedno — ten ponad czterdziestoletni mężczyzna rozmawiający ze mną z pasją o swych pasjach, do rzemieślników zaliczać się nie powinien. Rzemieślnik robi z drewna, metalu czy plastyku — Ryszard Jachna w swą pracę wkłada jeszcze serce i wiedzę.

Hefajstos stoi przy warsztacie. Mimo opiętej koszuli widać wysiłek muskularnych ramion. W ogromne zniszczone dłonie bierze stal karoseryjną, zagina, lutuje, skręca, toczy, cyzeluje. Znów zagina, znów dokłada nowe elementy, znów głośno warczy tokarka i szlifierka. Rozwichrzone włosy, gęsta, długa broda, twarz zorana bruzdami. Czy tak wyglądał legendarny Hefajstos?

— Jak to się zaczęło?

— *Już sam nie wiem. Chyba od świeczników. Miały wtedy wzięcie. Rynek był chłonny. Bo ja, widzi pani, skończyłem technikum mechaniczne. Potem pracowałem w państwowej firmie. Ale jak już byłem w spółdzielni, w kontroli technicznej, to mi się coraz bardziej chciało zająć brązownictwem. No i tak to się chyba zaczęło".*

Petelscy kręcili „Kopernika". Trzeba było dla filmu przygotować rekwizyty. Scenarzysta zjechał do Tarnowa i powiedział.

— Niechże się pan tej roboty podejmie!

Myślał Jachna, wahał się. Ale *„dlaczegóż by nie?! Może warto spróbować i coś nowego. Lawetarze? dzbany? misy? — tylko jak je odtworzyć, by były wierne epoce. Skąd wziąć wzorce?"*

Byle czego i byle jak robić nie można. Śmiali się przecież widzowie w kułak, gdy oglądali „Krzyżaków". Ford chciał zaoszczędzić pieniędzy, zażądał szabli z tektury — a recenzenci (przy wtórze kinomanów) potem pisali: „brak autentyzmu!".

— *No bo to jest tak* — wtajemnicza mnie Jachna — *inaczej macha aktor szpadą tekturową, inaczej ciężką — stalową czy żelazną. Po prostu ręka inną drogę wykonuje. Inaczej porusza się łokieć i ramię. Drobiazgi? Pewnie. Ale znaczące.*

Petelscy i Hoffman, a za nimi inni realizatorzy filmów historycznych, sprawę rekwizytów już w pełni docenili. Przynajmniej tych, co to mają tak zwane zbliżenia, a więc „grają" rolę pierwszoplanowe. Dlatego Jachna — skąd u diabła poznano się na nim w Łodzi i w Warszawie? — otrzymał zadanie: poprzez rekwizyty oddać historyczną prawdę.

Hefajstos — tym razem już w niebieskim, dżinsowym komplecie, a więc może lepiej pisać o nim: Ryszard Jachna — znów rozkłada przede mną notatki: *„widzi pani ile pracy? A teraz proszę sobie wyobrazić, że do sporządzenia tych szkiców musiałem przewertować setki książek, odwiedzić wiele muzeów, bywać u rozmaitych kolekcjone-*

(DOKOŃCZENIE NA STR. 20)

KOCHAJMY STARE SAMOCHODY

WOJCIECH MACHNICKI

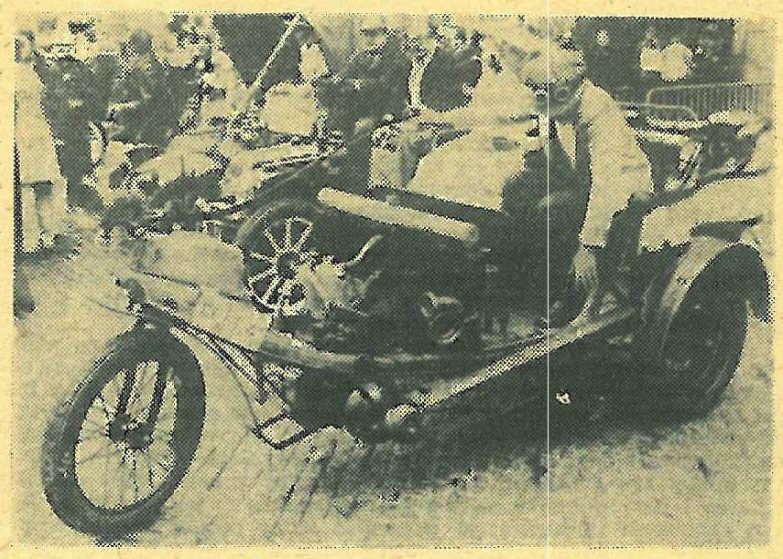

W dzieciństwie samochód upodabniał się do konnej bryczki, z czasem zaś nawet do trójkołowego dziecięcego rowerka

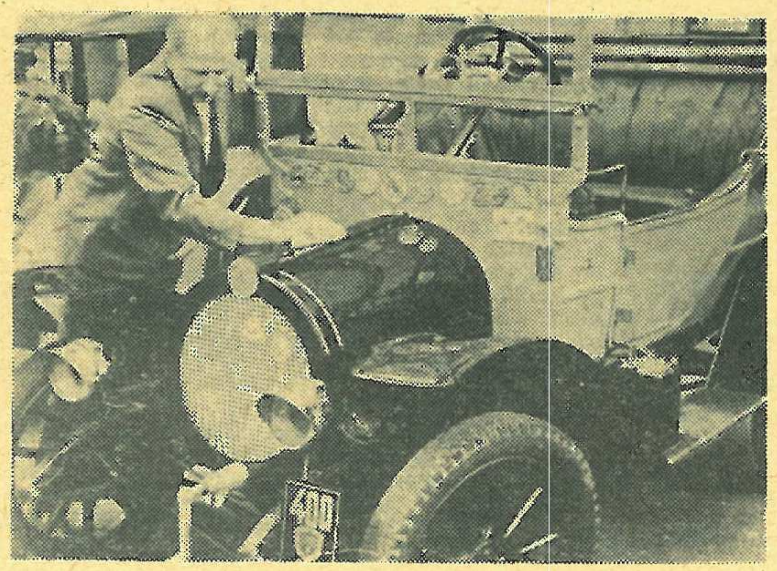

Błyszczą lakiery i mosiądze. Tylko pokręcić korbą i... może pojedzie

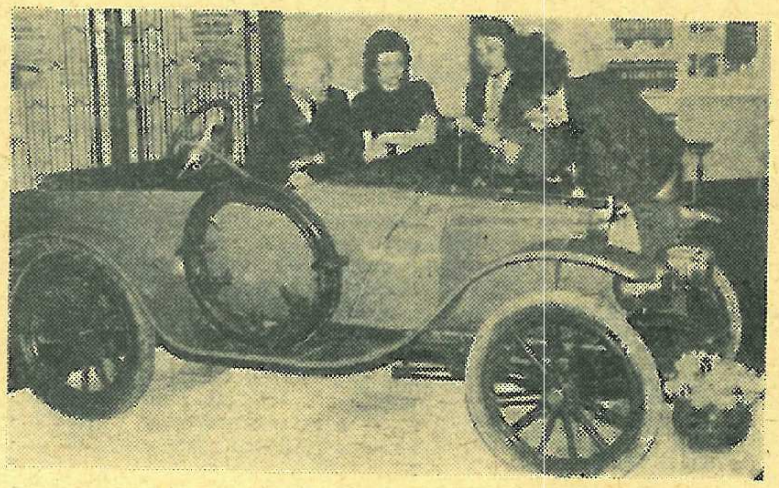

Podeszły wiek nie popsuł sylwetki. Może jeszcze być ozdobą każdego salonu

Od czasu do czasu prasę obiega wiadomość o niebotycznych cenach uzyskiwanych na licytacjach dzieł sztuki. Ale nie tylko za nie. Także aukcje antycznych automobili przyciągają rzesze zainteresowanych, a ceny tam uzyskiwane zbliżone są nierzadko do cen dzieła sztuki w domu aukcyjnym Sotheby w Londynie. Tak jak obraz dobrego malarza, jak unikalna porcelana, tak samochód renomowanej marki, zbudowany przez firmy z wieloletnimi tradycjami — ROLLS-ROYCE, DAIMLER-BENZ, OPEL, PEUGEOT czy inne równie znane — stanowi obecnie dobrą lokatę kapitału. Ale przede wszystkim jest ilustracją rozwoju myśli technicznej od schyłku ubiegłego wieku. Stare samochody dowodzą, że istnieje ciągłość konstrukcyjna od zaczątków pojazdu napędzanego silnikiem spalinowym do czasów współczesnych.

Imprezą o największej renomie w świecie stał się rajd z Londynu do Brighton organizowany z myślą o zabytkowych samochodach, weteranach szos, które mury fabryk opuściły przed kilkudziesięciu laty, na początku naszego stulecia. Ale nie tylko Brytyjczycy mają takie imprezy — kolekcjonowanie starych samochodów stało się pasją wielu ludzi na całym świecie.

Czy można w Polsce znaleźć unikalny model samochodu wyprodukowanego przed kilkudziesięciu laty? Czy istnieją w naszym kraju historyczne modele pojazdów mechanicznych, o których istnieniu wie zaledwie garstka ludzi? Okazuje się, że tak. Historia, która wydarzyła się przed kilku laty jest wręcz nieprawdopodobna, chociaż prawdziwa. Oto jeden z miłośników starych samochodów, mechanik samochodowy Jan Peda z Gostynia w województwie leszczyńskim dowiedział się przypadkowo, iż w Tarnowie przy ul. Nowy Świat znajduje się zdezelowany wrak starego automobilu. Przybył więc, by obejrzeć owe szczątki i od razu zdecydował się na ich kupno. Przetransportowanie samochodu na drugi koniec Polski nie było sprawą łatwą. Przede wszystkim trzeba było wydobyć ramę wraka głęboko wrośniętą w ziemię. By tego dokonać należało wyciąć drzewko, które wyrosło... w samym środku szczątków samochodu. Opodal w błocie walał się silnik owego pojazdu...

„Lorraine dietrich", bo taką nazwę nosił samochód, który zainteresował Jana Pedę przeszłość miał nie byle jaką. Był pierwszym samochodem barona von Goetza, właściciela słynnego browaru w Okocimiu. A ponieważ pan baron był człowiekiem majętnym, a zarazem wygodnym, więc nabył tuż przed wybuchem I wojny światowej wóz zapewniający duży komfort jazdy po ówczesnych nie najlepszych drogach Galicji. Kupił go nie licząc się z kosztami — wysokimi na owe czasy — lecz inwestycji na pewno nie żałował, ponieważ wóz był „na chodzie" do wybuchu II wojny światowej i dopiero w latach wojennej zawieruchy uległ dewastacji. Jak trafił do Tarnowa, gdzie oczekiwał na swego „lekarza" do roku 1973 — trudno dociec.

W renowację „lorraine dietricha" Jan Peda włożył całe swe serce i niemałe umiejętności. A jednak przywrócenie świetności wehikułowi barona nie było sprawą prostą. Okazało się bowiem, że ten model „lorraine dietrich typ 20 HP SMH 1" produkowany był zaledwie przez dwa lata we francuskiej firmie, a światło dzienne ujrzał w roku 1913. Nie można więc było nawet marzyć o zdobyciu oryginalnych części zamiennych. Jan Peda wszystko musiał wykonać we własnym zakresie, własnymi rękami w oparciu o unikalną dokumentację techniczną uzyskaną od zaprzyjaźnionych zbieraczy starych samochodów w Europie zachodniej. Najmniej kłopotu sprawił silnik, który mimo iż lata przeleżał na gołej ziemi wystawiony na wpływy atmosferyczne, znajdował się w stosunkowo dobrym stanie. Trudno się jednak temu dziwić — ponoć owa konstrukcja napędu „lorraine dietricha" wyszła spod ręki samego Ettore Bugattiego, który w latach międzywojennych zasłynął jako twórca unikalnych samochodów sportowych z silnikami ręcznie wykonywanymi przez fabrycznych mechaników.

Wkrótce jednak coś, co w ogrodzie domu przy ul. Nowy Świat w Tarnowie ledwie przypominało somochód, przyoblekać zaczęło kształty unikalnego pojazdu. O skali trudności w renowacji wozu niech świadczy fakt, że trudno dziś w Polsce znaleźć kołodzieja, który podjąłby się wykonania... kół do samochodu, a sama tylko tapicerka z prawdziwej skóry kosztowała właściciela „lorraine dietricha" kilkadziesiąt tysięcy złotych. Po kilku latach żmudnych wysiłków ogromna praca uwieńczona została sukcesem — samochód został odbudowany w całości. Prezentuje się okazale — mierzy 4,5 m długości, jest szeroki na 1,8 m i wysoki na 1,85 m. We wnętrzu może wygodnie jechać 6 osób łącznie z kierowcą, a silnik o pojemności 4500 ccm pozwala na rozwijanie przez ten ważący 1,6 t pojazd szybkość 80 km/godz.

Unikalna dokumentacja techniczna z Francji pozwoliła na odtworzenie z wielkim pietyzmem wszystkich zniszczonych części „lorraine dietricha". Tapicerka, opony, reflektory, szprychowe koła po dwóch latach zabiegów przy samochodzie wyglądały jak nowe. Takiego wozu nie powstydziliby się kolekcjonerzy starych samochodów w żadnym z krajów świata. Nic więc dziwnego, że Jan Peda postanowił zaprezentować go szerzej i jesienią 1976 r. wziął udział w imprezie dla weteranów szos organizowanej w Austrii — MARTHA MARATON. Na krętych szosach w Alpach wóz spisywał się znakomicie i polski kierowca zajął I miejsce (!) w klasie samochodów wyprodukowanych przed 1918 r. Potem przyszły kolejne starty w imprezach dla weteranów w kraju i za granicą przynosząc wiele sukcesów i wzbudzając ogromne zainteresowanie konkurentów i publiczności. „Lorraine dietrich" jest w tak dobrym stanie technicznym, że jako jedyny w Polsce samochód z tego okresu trwale dopuszczony został do ruchu na drogach publicznych.

A jaka jest obecnie wartość tego wozu? Trudno określić, ale na pewno w Europie zachodniej można by uzyskać zań kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Trzeba jednak ostudzić zapały wszystkich posiadających stare samochody. Nie każdy wóz, nawet wyprodukowany przed kilkudziesięciu laty jest tak wartościowy. Liczą się przede wszystkim samochody znanych firm i to zachowane w dobrym stanie. Obecną wartość „larraine dietrich" Jana Pedy zawdzięcza przede wszystkim pracy swego właściciela i jego umiejętnościom w rekonstrukcji wozów. Nie każdy to potrafi, ale jeszcze w rękach wielu ludzi znajdują się unikalne samochody oczekujące swych dobrych dni. Przy wielu Automobilklubach istnieją Koła Weteranów Szos skupiające miłośników starych samochodów. Tam właśnie — m. in. w Automobilklubie Krakowskim — można uzyskać informacje na temat od lat nieprodukowanych wozów, pomoc techniczną, a także — w drodze wymiany z innymi właścicielami — części zamienne. Sporo jeszcze unikalnych pojazdów zalega stodoły i garaże. Warto dbać o nie, jako że stanowią żywą ilustrację historii rozwoju motoryzacji, a w naszym kraju takich zabytków na kołach po wyniszczających wojnach nie pozostało zbyt wiele.

Hefajstos z ulicy Skargi

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 19)

rów... Ale dla filmu robię ostatnio znacznie mniej..."

Próbujemy odtworzyć filmy w których „grały" eksponaty Jachny. „Gniazdo". „Raszyn", „Potop", „Pan Wołodyjowski". „Gorejący krzak", „Czarne chmury". „Noce i dnie", „Jarosław Dąbrowski". Nie, nie ma co dalej wyliczać. Pamięć i w tym względzie jest zawodna. A przecież i do „Dziadów" i do „Nocy Listopadowej" przygotowywanych przez Andrzeja Wajdę w krakowskim Teatrze Starym też Jachna rekwizyty robił.

— *Tyle tylko, że jeśli na początku „filmowej kariery"* — dywaguje Jachna — *scenografowie i reżyserzy dokładnie ze mną omawiali poleconą robotę, to teraz rozmawiają mniej więcej tak: akcja filmu (sztuki) toczy się w takich a takich czasach, więc broń (na przykład broń) musi być z takiej epoki.*

Potem już tylko zapraszają tarnowianina na plan czyli do realizacji filmu, do kręcenia poszczególnych scen. Po co? Bo nuż na planie okaże się, że aktor nie będzie umiał posłużyć się właściwie trickowym pistoletem, strzelającą laską (według pomysłu Jachny), która jest zarazem toporkiem, sztyletem i rewolwerem, bo nuż nawali (znów trickowy) rapier, który to za naciśnięciem odpowiedniej dźwigni chowa się nieco w rękojeść, co sprawia wrażenie, że ofiara jest przebita. A z resztą Jachna lubi asystować przy filmie. Lubi patrzeć jak Olbrychski (*„tak, chyba tylko Daniel tak naprawdę potrafi to robić"*) pojedynkuje się, jak jego eksponaty a właściwie rekwizyty „grają".

Rzemieślników jest dużo. Są w dużych miastach i w miasteczkach małych. Ale rzemieślnik rzemieślnikowi nierówny. Na ogół mają wąskie specjalizacje. Na ogół robią tylko to (aby nie mieć kłopotów z urzędem!) do czego posiadają uprawnienia. Jachna co prawda jest brązownikiem i takie uprawnienia posiada, ale jego pasje i ponad nie oscylują. Przykład?

— *O tym chyba lepiej nie pisać, ale teraz na przykład przeprowadzam renowację starego, osiemnastowiecznego pianina. To będzie dar (ale niech pani, broń Boże przynajmniej nie pisze od kogo) dla warszawskiego zamku. Powiem tylko, że pianino jest rzeczywiście piękne i cenne.*

Rozumiem. Faktów nie należy uprzedzać. Można za to śmiało pisać o tym, iż całe oświetlenie warszawskiego Zamku to dzieło Jachny i jego sześciu współpracowników. Kandelabry, apliki, świeczniki korpusowe — wszystko to powstało przy ulicy Skargi.

Jachna nie potrafi się chwalić swoimi dziełami. O wielu pracach nawet nie pamięta. Dobrze więc, że naszej rozmowie przysłuchuje się Andrzej Grabowski (plastyk) kierujący jedną z tarnowskich galerii sztuki. To on dopowiada, że właśnie wspólnie przygotowują teraz rzeźby metalowe.

— A plany?

No cóż, nie jest dla nikogo tajemnicą, że piękne renesansowe miasto jakim jest Tarnów wymaga i pięknej reklamy — myślą więc o tym, aby wszystkie szyldy, reklamy w mieście odpowiednio wystylizować.

— *Bo widzi pani* — na koniec rozmowy doda Jachna — *ja od 1946 roku mieszkam w Tarnowie (choć urodziłem się w Krakowie) i wiem, że najwyższy czas nadszedł, aby wreszcie i w tym mieście po sobie coś pozostawić.*

TERESA BĘTKOWSKA

NASZ TEATR

Historią nie będziemy się zajmować. Jest nader skromna, a jej początki sięgają czasów, kiedy w sali teatralnej przy ul. Mickiewicza działał teatr amatorski. Aktualnie Teatr im. Ludwika Solskiego w Tarnowie, zaszufladkowany wg powszechnej nomeklatury do teatrów prowincjonalnych jest jedną z prężniejszych i bardziej oryginalnych scen w kraju. I faktu tego nie przekreśli jego względna popularność oraz ograniczone uznanie w mieście macierzystym.

Co to znaczy „prowincjonalny"? Po prostu — harujący, nabijający ogólnopolskie statystyki wyliczające ilość widzów w teatrze, dający rocznie kilkanaście premier, jeżdżący po miastach jedenastu województw, z konieczności a nie z wyboru — eklektyczny. Dla krytyki „prowincjonalność" łączy się z faktem nieobecności krytyków na premierach i totalnej nieznajomości tego, co w teatrze się dzieje. Na początku swojej dyrektury Ryszard Smożewski mniemał, iż jeśli wyśle do pobliskiego Krakowa zaproszenia i autokar, to kilku zainteresowanych ludzi teatru z podwawelskiej metropolii z ciekawości da się skusić na parogodzinną wycieczkę. Po kilku takich przypadkach, które kończyły się przyjazdem dwóch, trzech osób, dyrektor zrezygnował z tych praktyk. Pod każdym względem było to nieopłacalne.

Postawiono w Teatrze Tarnowskim na własne siły, rezygnując z dobrych rad wujków-krytyków. Zresztą, oni najczęściej i tak dobrze jedynie robią streszczenia sztuk, zaś analiży warsztatowe ograniczają do kilku lapidarnych epitetów. Powstało wówczas kilka niepisanych zasad, wedle których po dziś dzień Teatr Tarnowski się rządzi. Po pierwsze — ściągać młodych ludzi, prosto po ukończeniu studiów aktorskich (przeciętna wieku aktorów w Tarnowie nie przekracza trzydziestki). Po wtóre — poza przyzwoitymi warunkami socjalnymi stworzyć tym ludziom możliwość g r a n i a dużych, ważnych ról; od razu puszczać ich na tzw. szerokie wody, na których najlepsi, utalentowani wypłyną dość szybko, słabsi — po czasie, ale i po dobrej szkole (aktor, który nie gra — ma tylko dyplom aktora, ale aktorem w pełni nie jest). Po trzecie — nie tylko nie wzbraniać, lecz pomagać aktorom z zespołu w angażach do radia, telewizji i filmu; niech próbują i robią wszędzie, bo na ich popularności zyskuje ogromnie dużo także Teatr. Po czwarte — wyjeżdżać na rozliczne przeglądy i festiwale, nawiązywać kontakty ze scenami i artystami zagranicznymi (tradycja trzechletnich kontaktów z rumuńskim teatrem w Sibiu i jego reżyserem J. Visą). Po piąte — związać się ścisłymi umowami i porozumieniami z Wojewódzkimi Ośrodkami Kultury, z Zakładowymi Domami Kultury większych zakładów i bezpośrednio ze środowiskiem robotniczym (tradycje premier robotniczych z ZDK Tarnowskich Azotów), co z jednej strony gwarantuje sensowne rozwiązania w kłopotliwym problemie organizacji widowni, z drugiej — pozwala na wyrabianie u widzów w małych ośrodkach nawyku obcowania z teatrem (regularność przedstawień, ich poziom artystyczny determinowany wcześniejszym rozpoznaniem zapotrzebowania i gustów). Po szóste — dawać repertuar wszechstronny i bogaty, od sztuk zdecydowanie rozrywkowych po trudne, kameralne przedstawienia ze skomplikowanymi tezami etycznymi i filozoficznymi, z oryginalną formą artystyczną. Po siódme — nie stronić od środowiska, lecz odpowiadać na zapotrzebowanie zarówno teatrów amatorskich jak i życia kulturalnego miasta oraz regionu (doroczne „święto" otwartej sceny dla zespołów amatorskich, istniejący jeszcze przed rokiem zespół minów amatorów, prowadzony przez aktora Zbigniewa Waszkielewicza).

Tak, nie są to zasady odkrywcze. Ale nie o to chodzi. Ważne, że są p r a k t y c z n e. W stutysięcznym Tarnowie codzienność aktora nie należy do rzędu atrakcyjnych. Próby, spektakle, objazd. Objazd, próby, spektakle. I tak w koło Macieju. Gdyby jeszcze na przedstawieniach chociaż połowa wypełnionej widzami sali... Do Krakowa, gdzie radio, telewizja, środowiska artystyczne i nieco inna atmosfera wprawdzie niedaleko, zaledwie osiemdziesiąt kilometrów. Ale tam się n i e j e s t, tam się b y w a. Gościem, zawsze gościem. I można by się dalej pogrążać w spleenach, gdyby... Właśnie, gdyby nie te zasady, które pozwalają na to, że dużo się pracuje, że gra się w filmie, w spektaklach telewizyjnych, a na macierzystej scenie kreuje się duże role w ambitnych przedstawieniach dramatów Majakowskiego, Czechowa, Moliera, Szekspira, Mrożka, Ostrowskiego, Dostojewskiego, Caragialego... Dla pasjonatów teatru znajdzie się też miejsce za stolikiem reżyserskim.

Maja Wiśniowska, Elżbieta Kijowska, Anna Tomaszewska, Anna Chudzikiewicz, Andrzej Grabowski, Janusz Andrzejewski, Wojciech Droszczyński, Jarosław Pilarski czy Janusz Świerczyński — że wymienię tylko aktorów najmłodszego pokolenia i nie wszystkich — to przecież artyści, jakich można Tarnowowi pozazdrościć. Większość z nich właśnie na tej scenie po raz pierwszy zetknęła się z teatrem, i to z teatrem pracującym w trudnych warunkach między macierzystą sceną a obowiązkiem objazdu. I większość z nich zagrała swoje pierwsze ważne role w tym teatrze, na pewno rzutujące na ich dalszą karierę. Że kiedyś opuszczą Tarnów, że wyjadą jak Stroiński i Malec? Trudno. Taka jest już specyfika teatrów w małych ośrodkach. Ale w rolach pozostawionych miastu przekażą swoją żarliwość, wrażliwość i ogromne do pracy scenicznej serce.

Jeśli tedy przychodzi nam dzisiaj porównywać nasz Teatr Tarnowski z innymi scenami — miejmy na uwadze warunki w jakich pracuje i jakie spełnia obowiązki wobec różnego przecież widza. O same porównania się nie boję, bowiem śmiem twierdzić, iż propozycje repertuarowe i artystyczne Teatru przekraczają przeciętną krajową. Że ta praca nie znajduje odzwierciedlenia w krytyce teatralnej? Niestety, koni mamy coraz mniej i trudno by było szacownych sędziów końmi ściągać. Zresztą, nie o nich przecież chodzi... Ale przede wszystkim o tarnowską publiczność, o jej zdrowy snobizm i jeszcze zdrowszy patriotyzm lokalny, z którego wynikła duma stałaby się powszechnym imperatywem: dobrze jest widziane b y w a ć w miejskim teatrze, interesować się jego działalnością i wpływać na repertuar. A ta ostatnia sugestia jest naprawdę możliwa, czego dowodem niezapomniane, ciągnące się po kilka godzin dyskusje po premierach robotniczych w sali teatralnej ZDK Tarnowskich Azotów.

O tym, że istnieje sporo trudności w funkcjonowaniu tarnowskiej sceny można by gadać długo. A to o kłopotach z reklamą i wydawnictwami, a to o finansach i napiętych planach repertuarowych, a to o stosunku społeczeństwa miasta do tego, co popołudniami na scenie im Solskiego przedstawiają. Ale są to pewnie sprawy samego Teatru, jego kierownictwa i zespołu. Jeśli więc uchyliłem nieco kulis, ukazując niektóre mechanizmy polityki administracyjnej i artystycznej, to przede wszystkim po to, by każdy widz zrozumiał, iż teatr jest organizmem żywym, że w tych uładzonych obrazach scenicznych zamknięte są sprawy wspólne dla aktora i widza, co więcej — sprawy nas, współczesnych. Dlatego widzowi nie wolno reagować jedynie lapidarnym: podoba mi się — nie podoba. Taki widz — to cmokier a nie partner. Niechaj tedy tarnowscy widzowie dołożą do niepisanego kodeksu zasad rządzących sceną Tarnowskiego Teatru jeszcze jedną — partnerstwo.

HENRYK CYGANIK

„SZARPI-DRUTY" dają czadu

Na piosence znają się wszyscy. Ta głęboka, acz nieco wytarta myśl rozciągnąć się może także na rozległe tereny tzw. „muzyki młodzieżowej". I na niej znają się wszyscy, choć gardłując — nierzadko nie zastanawiają się nawet nad sensem wziętego tu w cudzysłów pojęcia.

Fascynacje muzyczne młodzieży stały się przedmiotem uczonych rozważań i potocznych przekonań stosunkowo niedawno, mianowicie wraz ze wzbudzeniem przez mass media kultury masowej. „Młodzieżowość" jako kategoria nie jest przecież, o czym dobrze wiemy wyodrębniona jakimikolwiek kryteriami artystycznymi. Cezurą oddzielającą „muzykę młodzieżową" od innej jest odbiorca.

Kiedy Chuck Berry czy Elvis Presley popularyzowali rock-and-rolla, podstawowym ich celem było dotarcie do nowego słuchacza. Sytuacja była korzystna: jazz, stanowiący przez lata przedmiot fascynacji młodej publiczności nastawionej przede wszystkim na odbiór emocjonalny, zmysłowy — znajdował się „na zakręcie". Sublimując się artystycznie muzyka jazzowa stała się (w owym okresie oczywiście) zbyt mało żywiołowa (można czytać: zbyt intelektualna), nadto skomplikowana, by mogła wywoływać — jak to było w nie tak dawnych latach trzydziestych naszego wieku — łatwe emocje. Sięgnąwszy do prostych, prymitywnych muzycznie acz fascynujących ekspresją i pozwalających na użytkowe zastosowanie wzorów murzyńskiego rhythm-and-bluesa — wspomniani (i inni) twórcy rocka uzyskali pożądany efekt: wywołanie zbiorowych emocji, zbiorowego stanu ekstatycznego. Natura zaś tak zrządziła, że emocjom bez refleksji łatwiej poddają się ludzie młodzi, zwłaszcza młodzi ludzie złączeni w grupę. Tak jak rozumiemy to widząc ryczący w uniesieniu tłum sportowych kibiców, gdy oglądamy swojskie śpiewy poborowych — tak zrozumieli prostą prawdę o funkcjonowaniu społecznym pewnego gatunku muzyki producenci rozrywki w całym świecie. Sprzężenie zwrotne — czyli skutek oddziałujący na przyczynę w sposób równy pierwotnemu wpływowi przyczyny na skutek — zaczęło się wówczas dopiero, gdy rock opanował cały cywilizowany świat. Podejrzewam, że do tego czasu był on bardziej wyspekulowanym (na podstawie trafnych obserwacji życia) towarem, niż czymkolwiek innym. Skoro jednak ów „towar" przyjął się? Należało go po prostu produkować.

Za zjawiskiem tzw. „muzyki młodzieżowej" — a więc gitarowych zespołów rockowych, dyskotek itp. — stoją wielkie pieniądze. Pieniądze przemysłu płytowego, który na rocku zrobił piękny interes. Wszak wiadomo, że płyty z głosem idoli osiągają w całym świecie kolosalne nakłady przynosząc kolosalne zyski. Zyski z boomu rocka czerpali bądź czerpią także inni producenci „młodzieżowego towaru". Proste wyliczenie dochodów przedsiębiorstw produkujących gitary elektryczne świadczy o tym najdobitniej.

Wszelkie masowe mody muzyczne, niech mi to będzie wybaczone, uważam w obecnych czasach za sukces jakiegoś producenta, w mniejszym zaś stopniu artysty. Na poparcie dać można tu choćby panoramę trendów występujących w tzw. „muzyce młodzieżowej" ostatnich lat. Widząc narastające zbudzenie potencjalnej klienteli — prawdziwi szefowie zbiorowych emocji młodzieży poczęli szukać. Znaleźli w szufladzie co nieco — ogłosili „retro". Dojrzeli możliwości tkwiące w rozwoju elektronicznej aparatury muzycznej i (niezliczone syntezatory, przekształcacze dźwięku, mikrofony i wzmacniacze z oprzyrządowaniem, fortepiany elektryczne etc.) — wymyślili nowe brzmienia. Wszystkie jednakże „style" (jak to pochopnie nazywają luminarze rubryk rozrywkowych prasy codziennej) posiadają jedną wspólną cechę — brak jakichkolwiek nowych rozwiązań artystycznych. Nadal sztuka kieruje się bowiem własnymi prawami rozwoju, i choć zdominowana została w tej dziedzinie przez sterowane mody — w rzeczywistości nie została im nigdy podporządkowana.

Zbyt to być może ogólne rozważania. Jednakże pretekstem do nich stały się rzeczy bardzo konkretne i bliskie.

Istnieje w naszym kraju niezliczona ilość „zespołów młodzieżowych". Choć w wielkich ośrodkach ich rozgłos jakby zmalał (dyskoteka wyparła je z klubów, gdyż spełnia te same użytkowe funkcje, tyle że kosztuje mniej oraz dostarcza namiastki kontaktu z ulubieńcami szerszego zakresu niźli lokalny), w ośrodkach mniejszych działalność „zespołów młodzieżowych" jest nadal bardzo żywa.

Przekonaliśmy się o tym także w Tarnowskiem. Od kilku lat mianowicie mniejszy rozgłos osiągają zespoły rockowe czy gitarowe (jak zwał tak zwał, ważne by wiadomo było o co chodzi) ze stolicy województwa — natomiast sporo uwagi poświęcić trzeba zjawisku amatorskiego muzykowania młodzieży „w terenie". A przecież do niedawna jeszcze Tarnów był istną wylęgarnią talentów estradowych (w konwencji najchętniej akceptowanej przez młodzieżową publiczność). liczne zespoły z tego miasta zwyciężały w ogólnopolskich konkursach, były przedmiotem prasowych dywagacji krytyki. Dziś myśląc o tarnowskiej „muzyce młodzieżowej" — kojarzę przede wszystkim R u c h, nie artystów. Ruch objawiający się na dorocznych przeglądach amatorów-muzyków, odbywających się w Dębicy i Tuchowie. W Dębicy na poziomie „wyczynu artystycznego", w Tuchowie — na poziomie zupełnie amatorskiego hobbyzmu. Obydwa te przeglądy mają charakter konkursowy. I to również istotne.

Ruch amatorski w naszym kraju rozwija się w najdziwaczniejszy sposób. Jeden bywa pielęgnowany i wzmacniany zastrzykami dotacji, inny rośnie bujnie i szybko niczym zielony chwast. Przez całe lata gitarowe muzykowanie było właśnie takim chwastem na polu archaicznych upodobań estetycznych tych, którzy o dotacyjnym zastrzyku decydują. Uważano, że rock jako taki jest deformacją sztuki, że nie ma w nim żadnych estetycznych wartości, że hałas wydzielany z elektrycznych gitar psuje wręcz młode uszy (co zresztą dzieje się rzeczywiście). Jednakże zastrzeżenia te jako żywo przypominają mi obiekcje nauczycieli z lat (odeszłej niestety) mej młodości: zabraniali oni mianowicie używania długopisu na rzecz wiecznie kapiącego atramentem pióra. Nieracjonalne poglądy (przynajmniej w tak mało pryncypialnej dziedzinie jak rozrywka) nie utrzymują się długo, toteż tak jak do piórnika szkolnego wszedł w końcu długopis — tak zostały zaakceptowane zespoły gitarowe. I stąd w prostej drodze tradycyjnie stosowane instrumenty pobudzające zjawisko: dotacje na zakup drogiego sprzętu, instruktorzy i konkursy. Instruktorzy co prawda nie zawsze bywają przygotowani do pełnienia specyficznych powinności (opieka nad zespołem rockowym wymaga na przykład opanowania literatury muzycznej w zakresie rocka i jazzu, co ze względu na brak nagrań nie jest łatwe), zaś konkursy narzucają na uczestników schemat znany z innej parafii (na przykład granie tzw. „utworu obowiązkowego" bądź „kompozycji własnej", co stoi w zasadniczej sprzeczności z improwizacyjnym sensem współczesnego rocka) — niemniej bardzo ważne, że są.

Opieka nad amatorskim ruchem muzycznym jest sprawą niezmiernej wagi. Ośmielam się bowiem twierdzić, że dziewięćdziesiąt procent wiedzy (pożal się Boże) muzycznej młodego pokolenia to wiadomości o zespołach rockowych i znajomość przebojów „z listy". Jakże często okazuje się przecież, że młodzi ludzie, nawet ci, którzy czynnie muzykują — mają podstawowe luki w muzycznej kulturze, że nie tylko nie rozróżniają nut i dźwięków, ale na przykład nie zetknęli się z najważniejszymi nazwiskami z historii i teraźniejszości muzycznej. Jakże często się okazuje, że jedynym dostarczycielem wiedzy o muzyce wśród młodych ludzi jest osławiony autor „rubryki muzycznej" ze „Sztandaru Młodych", który uprawia niekompetentną prywatę wystrojoną w piórka „znawstwa"...

Zarząd Wojewódzki ZSMP w Tarnowie zdaje się wiedzieć o tych niebezpieczeństwach. Toteż stara się, by konkursy tuchowskie czy dębickie nie były celem samym w sobie, lecz jednym z możliwie skutecznych środków dla edukacji estetycznej młodzieży. W planach ZW ZSMP są więc i seminaria dla instruktorów prowadzących „czarną robotę" szkoleniową „w terenie", i warsztatowe zajęcia dla najbardziej utalentowanej młodzieży muzycznej z województwa tarnowskiego. Należy życzyć powodzenia!

Na razie zaś — do następnego spotkania na łamach — popadam w zastanowienie skąd wzięło się przekonanie, że na piosence (etc.) znają się wszyscy. Do tego warto wrócić.

JAN POPRAWA

Kolorowe transmisje TV z Argentyny

Około 10 procent wydatków związanych z organizacją piłkarskich mistrzostw świata przeznaczonych zostało na rozbudowę ośrodka telewizyjnego w Buenos Aires. Dzięki tym inwestycjom miliony telewidzów na całym świecie będą mogły oglądać transmisję „Mundialu-78" w kolorze. Rząd argentyński zapewnił pełne dotacje na ten cel, transmisje kolorowe były bowiem warunkiem przyznania Argentynie organizacji mistrzostw świata.

Ośrodek telewizyjny powstał w północnej części Buenos Aires, a jego budowa kosztowała ok. 40 mln dolarów. Wyposażony został w najnowsze urządzenia elektroniczne do przekazywania obrazu w kolorze. Ośrodek został usytuowany w dawnym parku i zajmuje obszar 3 hektarów. 4 budynki mieszczą nowoczesne studia telewizyjne. Trzy studia przeznaczone zostana do dyspozycji zagranicznych stacji. Paradoksem w tym wszystkim jest fakt, że Argentyńczycy oglądać będą transmisje telewizyjne w obrazach czarno-białych, jako że nie są jeszcze przygotowani do odbioru telewizji kolorowej.

Jaka będzie pogoda?

Jaka pogoda towarzyszyć będzie rozgrywkom o mistrzostwo świata w Argentynie? — to pytanie zadają sobie zarówno organizatorzy jak i uczestnicy imprezy „Mundial-78". Dokonano szczegółowych analiz meteorologicznych, sięgnięto po doświadczenia z lat ubiegłych. Na tej podstawie można wysnuć wniosek, że najkorzystniejsze warunki rozgrywania spotkań będą w Buenos Aires, a najtrudniejsze w Mar del Plata i Mendozie. Mecz otwarcia mistrzostw pomiędzy Polską i RFN na River Plate w Buenos Aires toczyć się będzie — zdaniem specjalistów — w bardzo korzystnych warunkach. Ma być bezwietrznie, a temperatura sięgać powinna tego dnia 18 stopni Celsjusza. Potem będzie chłodniej. Temperatura w Buenos Aires waha się w czerwcu od 3 do 22 stopni C., w Rosario — od minus 1 do plus 27 stopni, w Cordobie od minus 2 do plus 27 stopni, w Mendozie i Mar der Plata od minus 4 do plus 24 stopni.

Na stadion albo do „Luna Parku"

Ci kibice — goście Argentyny, którzy nie dostaną biletów na stadion w Buenos Aires lub wolą bardziej kameralne warunki oglądania spotkań, mogą skorzystać z zaproszenia przedsiębiorstwa rozrywkowego „Luna Park". W jego hali widowiskowej transmitowane będą 24 z 38 spotkań turnieju finałowego. W tym celu zmontowano tu olbrzymi ekran o wymiarach 12×16 metrów, a relacje będą kolorowe. Widownia w hali „Luna Parku" liczyć będzie 10 tys. miejsc. Bilety będą kosztowały drogo. Najtańszy abonament — 80 dolarów, najdroższy na najlepsze miejsca — 260 dolarów.

Po meczu — na koncert

Wychodząc z założenia, że nie samą piłką kibic żyje, organizatorzy mistrzostw świata postarali się o sprowadzenie do Argentyny w okresie „Mundialu-78" światowej sławy artystów. Specjalne koncerty odbywać się będą w Buenos Aires, Mar del Plata, Cordobie, Mendozie i Rosario. Uświetnić je mają m. in. Charles Aznavour, Liza Minelli i Vittorio Gasman.

Balon — olbrzym

Organizatorzy przewidzieli szereg atrakcji, które uświetnią ceremonię inauguracji „Mundial-78". I tak na przykład przed pierwszym meczem RFN—Polska ponad stadionem River Plate zawiśnie wielki balon o średnicy 10 metrów, symbolizujący glob ziemski. Balon ozdobiony będzie emblematem mistrzostw świata oraz wizerunkiem uniesionych w górę dłoni, trzymających piłkę futbolową. Po inauguracji balon umieszczony zostanie obok stadionu, gdzie pozostanie aż do zakończenia mistrzostw.

Dni futbolowego szaleństwa

Piłka nożna w czerwcu będzie królować nie tylko w Argentynie. Opanuje cały świat. Zepchnie na dalszy plan wszystkie inne problemy. Zapowiada się prawdziwe szaleństwo futbolowe. Do Argentyny zjechało 6200 dziennikarzy z całego świata i 40-tysięczna rzesza turystów. Milion kibiców na całym świecie czeka z utęsknieniem na pierwszą transmisję, pierwszy mecz. Będzie nim spotkanie Polski z aktualnym jeszcze mistrzem świata — zespołem RFN. 1 czerwca ruszy futbolowa karuzela, która zatrzyma się dopiero 25 czerwca.

Mistrzostwa świata w Argentynie będą punktem kulminacyjnym piłkarskiego szaleństwa, które trwa od dłuższego czasu. Wielkich emocji dostarczyły przecież eliminacje do „Mundial-78". I tu szło o dużą stawkę, o duże pieniądze. Piłkarzom Tunezji obiecano na przykład dom i samochód (dla każdego zawodnika), jeśli zakwalifikują się do Argentyny. Cel ten osiągnęli, stali się jednocześnie bohaterami swego kraju. Nie wiem jakie gratyfikacje otrzymali polscy piłkarze, ale faktem jest, że w swej grupie eliminacyjnej, w której występowały ponadto: Portugalia, Dania i Cypr okazali się zdecydowanie najlepsi, awansując do finałowej szesnastki. Sukces spory. Nie udało się natomiast przejść przez eliminacje takiej potędze piłkarskiej, jak Anglia, odpadły także reprezentacje Związku Radzieckiego, Jugosławii, Czechosłowacji (mistrzowie Europy) i NRD.

Będzie to trzeci finał polskich piłkarzy. Po raz pierwszy udało nam się awansować do grona najlepszych zespołów świata w 1938 roku. W eliminacjach pokonaliśmy groźną Jugosławię, ale w finale los zetknął polskich piłkarzy z Brazylią. Mistrzostwa rozgrywane były wówczas innym systemem, drużyna przegrywająca odpadała z dalszych walk. Po wyrównanym meczu przegraliśmy dopiero po dogrywce z Brazylijczykami i zostaliśmy wyeliminowani. Skończyły się więc sny o potędze polskiej piłki nożnej. W 36 lat później znów odżyły.

Zespół trenera Kazimierza Górskiego sprawił jedną z największych niespodzianek w eliminacjach do mistrzostw świata 1974 roku. Po remisie na Wembley z Anglikami, Polacy zajęli pierwsze miejsce w swej grupie, pozostawiając w pobitym polu Anglików i Walijczyków. To był ogromny, niespodziewany sukces. Po raz drugi w historii mistrzostw świata znaleźliśmy się w finałach, które rozegrano w RFN. Ale na tym nie zakończyły się sukcesy polskich futbolistów. Wywalczyli bowiem nasi reprezentanci w Monachium trzecie miejsce, zdobywając po zwycięskim meczu z Brazylijczykami srebrny medal. Był to największy sukces polskiego futbolu.

Czy uda nam się powtórzyć ten wyczyn w Argentynie? A może zajdziemy jeszcze wyżej? Pozostawmy na razie te pytania bez odpowiedzi, bo trudno tu cokolwiek przewidywać. Faktem jest, że do grona faworytów „Mundialu-78" nikt nas nie zalicza, ale może to i dobrze. Pewne jest także to, że wylosowaliśmy dość szczęliwie i nasza grupa finałowa nie jest zbyt silna. Szansa na przejście przez pierwszy etap rozgrywek jest więc duża.

Trener Jacek Gmoch zabiera do Argentyny 22 piłkarzy, wielu z nich jest młodych. Ale w meczach korzystał będzie zapewne z zawodników starszych, rutynowanych. Nie ma wątpliwości, że nasza drużyna oparta będzie na piłkarzach, którzy w Monachium wywalczyli srebrny medal. Trzeba jednak pamiętać, że od tamtych triumfalnych dni minęło już cztery lata i nasi reprezentanci postarzeli się nieco.

A oto skład naszej kadry na mistrzostwa świata:

Bramkarze: **Jan Tomaszewski** (ŁKS Łódź, 30 lat), **Zygmunt Kukla** (Stal Mielec, 30), **Zdzisław Kostrzewa** (Zagłębie Sosnowiec, 23).

Obrońcy: **Antoni Szymanowski** (Wisła Kraków, 27), **Władysław Żmuda** (Śląsk Wrocław, 24), **Jerzy Gorgoń** (Górnik Zabrze, 29), **Henryk Maculewicz** (Wisła Kraków, 28), **Wojciech Rudy** (Zagłębie Sosnowiec, 26), **Mirosław Justek** (Lech Poznań, 30), **Roman Wójcicki** (Odra Opole, 20).

Rozgrywający i napastnicy: **Kazimierz Deyna** (Legia Warszawa, 31), **Henryk Kasperczak** (Stal Mielec, 32), **Zbigniew Boniek** (Widzew Łódź, 22), **Adam Nawałka** (Wisła Kraków, 21), **Janusz Kupcewicz** (Arka Gdynia, 23), **Grzegorz Lato** (Stal Mielec, 28), **Andrzej Szarmach** (Stal Mielec 28), **Włodzimierz Lubański** (SC Lokeren, 31), **Bogdan Masztaler** (ŁKS Łódź, 29), **Andrzej Iwan** (Wisła Kraków, 19), **Marek Kusto** (Legia Warszawa, 24), **Włodzimierz Mazur** (Zagłębie Sosnowiec, 24).

Nie pozostaje nam więc nic innego, jak tylko życzyć wielkich i radosnych emocji. I przypomnieć, że na piłce nożnej świat się nie kończy.

Finaliści

Grupa I	Grupa II	Grupa III	Grupa IV
ARGENTYNA	POLSKA	AUSTRIA	HOLANDIA
WĘGRY	RFN	HISZPANIA	IRAN
FRANCJA	TUNEZJA	SZWECJA	PERU
WŁOCHY	MEKSYK	BRAZYLIA	SZKOCJA

Kto będzie mistrzem?

Fachowcy stawiają na BRAZYLIĘ

Na londyńskiej giełdzie najwyżej notowani są piłkarze Brazylii, których akcje poszły w górę zwłaszcza po udanym turneé europejskim. Także w opinii trenerów i piłkarzy Brazylijczycy uważani są za głównego faworyta mistrzostw świata w Argentynie. A jak będzie w rzeczywistości — przekonamy się dopiero 25 czerwca po zakończeniu finałowego meczu. Na razie zapoznajmy się z opiniami fachowców.

Johann Cruyff, jeden z najlepszych piłkarzy świata, Holender (nie wystąpi jednak w Argentynie, gdyż sam zrezygnował z udziału w „Mundialu"): *„Uważam, że tytuł mistrzowski zdobędzie Brazylia. Natomiast reprezentacja Holandii zakwalifikuje się do drugiej rundy turnieju finałowego, ale najwyżej może sięgnąć po trzecie miejsce."*

Ron Greenwood, trener reprezentacji Anglii: *„Moimi faworytami są Brazylia i RFN. Większe szanse daję jednak zespołowi Helmuta Schoena. To solidna, świetna drużyna, potrafiąca zmobilizować się przed najważniejszymi probami. Nie widzę zaś w gronie faworytów Holendrów. Reprezentacja Holandii bez Johanna Cruyffa — to nie to. Brak tego piłkarza obniży znacznie wartośc wicemistrzów świata."*

Najsłynniejszy piłkarz świata, Brazylijczyk **Pele**: *„Brazylijczycy mają największe szanse na zdobycie tytułu mistrza świata. Drugie miejsce w mojej prywatnej klasyfikacji faworytów „Mundial — 78" zajmuje Argentyna. Nie odmawiam szans piłkarzom RFN, Holandii i Włoch, ale nie sądzę, by któraś z drużyn europejskich sięgnęła po najwyższe trojeum. W reprezentacji Brazylii zabraknie co prawda kilku wybitnych piłkarzy, którzy już zakończyli lub kończą karierę, ale ich następcy też prezentują wysoką klasę. Argentyna będzie mieć za sobą doping publiczności, własne boiska. Atut Europejczyków to siła i kondycja. To za mało, by wygrać rywalizację z drużynami południowo — amerykańskimi, które przewyższają konkurentów techniką i wyszkoleniem."*

Nikita Simonian, trener piłkarzy radzieckich: *„W półfinałach mistrzostw świata znajdą się RFN, Holandia, Brazylia i Argentyna. Mistrzostwom brakować jednak będzie zespołów, jakimi były Brazylia w 1958 roku czy też Holandia i Polska w 1974 r. Reprezentacja RFN została ostatnio poważnie osłabiona, problemy kadrowe mają także Holendrzy i Brazylijczycy.*

Rennie Hellstroem, piłkarz Szwecji, wystąpi w Argentynie w reprezentacji swego kraju: *„Zespół RFN nie prezentuje dziś klasy sprzed 4 lat, gdy występowali w tej drużynie Beckenbauer i Mueller. RFN będzie miała poważne kłopoty z obroną tytułu mistrza świata. Myślę, że największe szanse na zajęcie pierwszego miejsca mają jednak Brazylijczycy."*

NASI RYWALE

RFN

Najgroźniejszym przeciwnikiem będzie reprezentacja RFN — aktualni mistrzowie świata. Już po raz siódmy wystąpią w finałach. I prawie zawsze odgrywali czołową rolę. Przypomnijmy dorobek piłkarzy RFN. Dwukrotnie zdobywali tytuł mistrza świata — w 1954 i 1974 roku, wicemistrzami byli w 1966 roku, trzecie miejsce zajęli w 1970, a czwarte — w 1958 roku.

Drużyna RFN w 1972 r zdobyła mistrzostwo Europy, a cztery lata później tytuł wicemistrzowski.

Nasi piłkarze z zespołem RFN spotykali się dotychczas pięciokrotnie. Trzy mecze wygrali rywale, dwa zakończyły się remisem. Bramki 7:2 dla RFN.

20 V 1959 r. (Hamburg) — 1:1
8 X 1962 r. (Warszawa) — 0:2
10 X 1971 r. (Warszawa) — 1:3
17 XI 1971 r. (Hamburg) — 0:0
3 VIII 1974 r. (Frankfurt n/ Menem) — 0:1

Ponadto rozegrano dwa mecze eliminacji olimpijskich — z amatorami RFN wygrała Polska w 1959 r. w Essen 3:0 i w 1960 roku w Warszawie 3:1.

Mecz z RFN gramy na inaugurację mistrzostw 1 czerwca. Mistrzowie świata wystąpią w Argentynie bez swych kilku asów atutowych, m.in. bez Beckenbauera, Muellera, Breitnera. Trener Helmut Schoen eksperymentował, szukał następców tych zawodników. Nie wszyscy zdali egzamin, nie zawsze potrafili w pełni wypełnić lukę w drużynie. Stąd też niespodziewane porażki mistrzów świata w meczach towarzyskich z Brazylią, a zwłaszcza ze Szwecją. Ostatni miesiąc przed mistrzostwami piłkarze RFN przebywali w szkole sportowej koło Hamburga, gdzie szlifowali formę.

Meksyk

W naszej grupie zespołem najbardziej obytym z finałowymi rozgrywkami mistrzostw świata jest reprezentacja Meksyku. Piłkarze tego kraju już po raz ósmy znaleźli się w finałowej szesnastce. Zadebiutowali w 1930 roku w I mistrzostwach świata, a największym sukcesem tego zespołu był awans do ćwierćfinału w 1970 roku, kiedy to Meksyk był właśnie gospodarzem mistrzostw. Od wielu lat drużyna meksykańska uważana jest za najlepszą reprezentację w rejonie Ameryki Środkowej i Północnej. Podczas ostatniego turnieju finałowego CONCACAF Meksykanie okazali się bezkonkurencyjni.

Ubiegły rok był dla nich bardzo udany. Poza wywalczeniem awansu do finałów „Mundial — 78" zanotowali także kilka wartościowych rezultatów, m. in. remis 2:2 z RFN, wysokie zwycięstwo 5:1 z Jugosławią i 1:1 z Węgrami.

Polacy spotkali się z Meksykiem dwukrotnie w sierpniu 1973 roku, zwyciężając 1:0 w Los Angeles i 2:1 w Monterrey.

Będzie to na pewno groźny przeciwnik, którego nie można lekceważyć. Meksykanie byli pod koniec kwietnia w Europie, gdzie rozegrali kilka spotkań, przegrywając m. in. z Hiszpanią. Nie zademonstrowali oni zbyt wysokiej formy, tylko momentami grali bardzo dobrze. Wschodzącą gwiazdą reprezentacji Meksyku jest 19-letni napastnik Hugo Sanchez, który wykazywał świetną dyspozycję strzelecką.

Z Meksykiem gramy ostatni mecz w grupie 10 czerwca.

Tunezja

Piłkarze Tunezji — zwycięzcy eliminacji strefy afrykańskiej — po raz pierwszy wystąpią w finałach mistrzostw świata. Drużyna, którą od trzech lat kieruje Maljd Chetali w ostatnim okresie poczyniła znaczne postępy i zaliczana jest do ścisłej czołówki na swym kontynencie.

Dopiero w 1960 roku Tunezyjczycy przystąpili do FIFA i już w tym samym roku wywalczyli awans do finałowego turnieju Igrzysk Olimpijskich. Właśnie wtedy zmierzyli się z naszym zespołem przegrywając na stadionie w Rzymie 1:6. Było to jedyne dotychczas spotkanie obydwu reprezentacji.

Drużyna Tunezji posiada w swym składzie kilka wybijających się indywidualności. Kapitanem jest doświadczony Attouga, powszechnie uważany za najlepszego bramkarza Afryki. Również wysoko ceniony jest rozgrywający Tarak, bodaj najlepiej wyszkolony technicznie piłkarz zespołu. Wiele pochwał zbiera także jedyny profesjonalista, napastnik Tamine, występujący w zawodowej drużynie w Arabii Saudyjskiej.

Tunezyjczycy bardzo starannie przygotowywali się do mistrzostw świata, rozegrali kilka spotkań sparringowych, m. in. przegrali wysoko z Holandią (0:4) u siebie. Tunezja uważana jest jednak za jeden z najsłabszych zespołów finałowej szesnastki, co nie znaczy, że nie będzie w stanie sprawić niespodzianek.

Polska gra z Tunezją 6 czerwca.

MATERIAŁY SPORTOWE:
TADEUSZ GÓRSKI

Kto, z kim i kiedy

1 czerwca — czwartek
RFN—POLSKA (gr. II) w Buenos Aires

2 czerwca — piątek
Węgry—Argentyna (I) Buenos Aires
Francja—Włochy (I) Mar del Plata
Tunezja—Meksyk (II) Rosario

3 czerwca — sobota
Hiszpania—Austria (III) Buenos Aires
Szwecja—Brazylia (III) Mar del Plata
Peru—Szkocja (IV) Cordoba
Iran—Holandia (IV) Mendoza

6 czerwca — wtorek
Argentyna—Francja (I) Buenos Aires
Włochy—Węgry (I) Mar del Plata
POLSKA—TUNEZJA (II) Rosario
Meksyk—RFN (II) Cordoba

7 czerwca — środa
Austria—Szwecja (III) Buenos Aires
Brazylia—Hiszpania (III) Mar del Plata
Szkocja—Iran (IV) Cordoba
Holandia—Peru (IV) Mendoza

10 czerwca — sobota
Włochy—Argentyna (I) Buenos Aires
Francja—Węgry (I) Mar del Plata
MEKSYK—POLSKA (II) Rosario
Tunezja—RFN (II) Cordoba

11 czerwca — niedziela
Szwecja—Hiszpania (III) Buenos Aires
Brazylia—Austria (III) Mar del Plata
Peru—Iran (IV) Cordoba
Szkocja—Holandia (IV) Mendoza

Po meczach dwa najlepsze zespoły z każdej grupy kwalifikują się do drugiej rundy według następującego klucza:

Grupa A — mistrz gr. I (A 1), wicemistrz gr. II (A 2), mistrz gr. III (A 3) i wicemistrz gr. IV (A 4).

Grupa B — wicemistrz gr. I (B 5), mistrz gr. II (B 6), wicemistrz gr. III (B 7), mistrz gr. IV (B 8).

W poszczególnych dniach odbędą się mecze:

14 czerwca — środa
- A 2—A 1 w Buenos Aires
- A3—A4 w Cordobie
- B 6—B 5 w Rosario
- B 7—B 8 w Mendozie

18 czerwca — niedziela
- A 1—A 3 w Buenos Aires
- A 4—A 2 w Cordobie
- B 5—B 7 w Rosario
- B 8—B 6 w Mendozie

21 czerwca — środa
- A 4—A 1 w Buenos Aires
- A 3—A 2 w Cordobie
- B 8—B 5 w Rosario
- B 7—B 6 w Mendozie

24 czerwca — sobota

Mecz o trzecie miejsce pomiędzy drugimi drużynami grup A i B w Buenos Aires.

25 czerwca — niedziela

Mecz finałowy pomiędzy zwycięzcami grup A i B w Buenos Aires.

Tarnowski Magazyn Ilustrowany. Jednodniówka Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Tarnowskiej. Adres redakcji: Tarnów, ul. Goldhamera 7/14. Wydał zespół: Stefan Cieply, Eugeniusz Głozik, Jerzy Sadecki, Marian Szulc, Józef Trędowicz, Władysław Węgrzyn
Druk: PZG RSW „Prasa-Książka-„Ruch", Kraków ul. Wielopole 1
Zam. 1325/78. 15000. E-8

MUNDIAL - 78
w telewizji

1 IV — czwartek

18.50—19.50 — uroczyste otwarcie mistrzostw, transmisja bezpośrednia.
19.50—22.00 — mecz RFN—Polska, transmisja bezpośrednia, w przerwie skrót z uroczystości otwarcia (powtórzenie).
23.50—24.05 — Studio Mundial-78.

2 VI — piątek

9.30—11.15 — powtórzenie meczu RFN—Polska i sprawozdanie z uroczystości otwarcia mistrzostw.
21.10—23.35 — Tunezja—Meksyk, transmisja bezpośrednia, w przerwie najciekawsze fragmenty meczu Francja—Włochy.
24.00—2.05 — Węgry—Argentyna, transmisja bezpośrednia.

3 VI — sobota

9.30—11.30 — powtórzenie spotkań Węgry—Argentyna, Francja—Włochy, Tunezja—Meksyk.
22.25—1.00 — retransmisje meczy Hiszpania—Austria, Peru—Szkocja, Szwecja—Brazylia, Iran—Holandia.

4 VI — niedziela

10.45—12.15 — powtórzenia spotkań sobotnich
18.30—19.0 — Studio Mundial-78.

5 VI — poniedziałek

18.50—19.00 — Klub Kibica w Studio Mundial-78.

6 VI — wtorek

21.35—23.35 — **Polska—Tunezja,** transmisja bezpośrednia, w przerwie Włochy—Węgry.
0.05—2.15 — retransmisje: Meksyk—RFN, Argentyna—Francja oraz komentarze, wywiady ze studia UNI w Rosario po meczu Polska—Tunezja.

7 VI — środa

9.30—12.00 — powtórzenia: Polska—Tunezja, Meksyk—RFN, Włochy—Węgry, Argentyna—Francja.
22.55—1.15 — retransmisja: Austria—Szwecja, Brazylia—Hiszpania, Szkocja—Iran, Holandia—Peru.

8 VI — czwartek

9.30—11.50 — powtórzenia: Austria—Szwecja, Brazylia—Hiszpania, Szkocja—Iran i Holandia—Peru.

9 VI — piątek

18.30—19.00 — przed meczem Meksyk—Polska.

10 VI — sobota

21.35—23.40 — **Meksyk—Polska,** transmisja bezpośrednia, w przerwie Francja—Węgry.
24.00—2.05 — Włochy—Argentyna, transmisja bezpośrednia, w przerwie RFN—Tunezja.

11 VI — niedziela

9.30—11.30 — powtórzenia: **Meksyk—Polska,** Francja—Węgry, RFN—Tunezja, Włochy—Argentyna.
21.30—0.10 — Szkocja—Holandia, transmisja bezpośrednia, w przerwie Brazylia—Austria. Ponadto sprawozdania z meczów Szwecja—Hiszpania, Peru—Iran.

12 VI — poniedziałek

9.30—12.10 — powtórzenia: Brazylia—Austria, Szwecja—Hiszpania, Szkocja—Holandia, Peru—Iran.
17.45—18.10 — Klub Kibica w Studio Mundial-78.

13 VI — wtorek

18—18.30 — Studio Mundial-78.

14 VI — środa

0.05—2.15 — transmisja czterech spotkań półfinałowych.

15 VI — czwartek

9.30—12.30 — powtórzenia środowych spotkań.

17 VI — sobota

18.30—19.00 i 20.30—20.45 — Studio Mundial-78.

18 VI — niedziela

21.35—23.45 i 0.05—2.05 — transmisja czterech spotkań półfinałowych.

19 VI — poniedziałek

9.30—12.30 — powtórzenie niedzielnych spotkań.

20 VI — wtorek

18.20—18.50 — Studio Mundial-78.

21 VI — środa

21.35—23.45 i 0.05—2.05 — transmisja czterech spotkań półfinałowych.

22 VI — czwartek

9.30—12.30 — powtórzenie środowych spotkań.

24 VI — sobota

19.55—21.55 — mecz o III miejsce, transmisja bezpośrednia.

25 VI — niedziela

19.50—22.30 — mecz o I miejsce, transmisja bezpośrednia.

MAKSYMY

Na początku było Słowo — a na końcu Frazes.

Wszystko jest w ręku człowieka. Dlatego należy je myć często.

Burząc pomniki, oszczędzajcie cokoły. Zawsze mogą się przydać.

Zawsze znajdą się Eskimosi, którzy wypracują dla mieszkańców Konga wskazówki zachowywania się w czas olbrzymich upałów.

Ma ptasi mózg, mówiono o pewnym orle.

I pies w stolicy szczeka centralnie.

Reforma kalendarza nie skróci ciąży.

Nie sztuka powiedzieć: „Jestem!". Trzeba być.

Zdania są zwykle podzielone — między silnych.

Gdy wszystko musi się zgadzać, musi się coś nie zgadzać.

W niektórych słownikach brak słowa honoru.

Patrzyliśmy sobie w oczy, i ja widziałem tylko siebie, i ona jedynie siebie widziała.

Małżeństwo jest instytucją. Więc czy nie za mało pracowników?

Czy nagie kobiety są inteligentne?

Nie nazywaj rzeczy po imieniu, gdy nie znasz jej nazwiska.

Samowystarczalni umysłowo są jedynie geniusze i głupcy.

Wartości nieprzemijające nie mają niestety terminu realizacji.

Są tacy, co sięgają głębi, by stamtąd puszczać małe bańki.

Kiedy człowiek pokona przestrzeń międzyludzką?

Żyjmy dłużej! Niż inni.

Sumienie miał czyste. Nieużywane.

Przysłowia sobie przeczą. I to jest właśnie mądrością ludową.

(Z „Myśli nieuczesanych"
STANISŁAWA JERZEGO LECA)

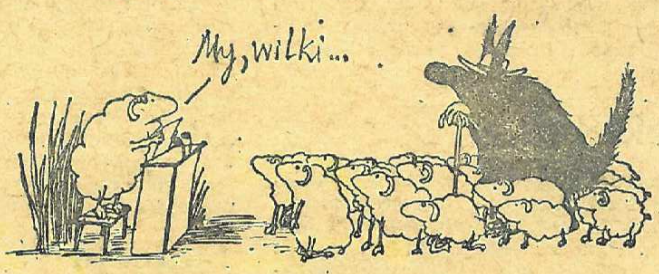

Z tomiku „Szczęście w aerozolu")
(RYS. ANDRZEJ KRAUZE

KRZYŻÓWKA

Poziomo: 4. drewniana posadzka, 7. tytuł znanego obrazu Podkowińskiego, 8. morski skorupiak, 10. grecka bogini wojny o słuszną sprawę, 14. trąba powietrzna, 15. ruchoma skala w kształcie łuku używana w pomiarach geodezyjnych, 16. wódka nie oczyszczona, 18. wojskowy szyk, układ, 20. tarnowski potentat, 22. powstaje przy obróbce drewna, 23. szereg zjawisk powtarzających się okresowo, 24. krajobraz właściwy np. Mazowszu lub Wielkopolsce.

Pionowo: całość wydrukowanych egzemplarzy książek lub czasopism, 2. papiery wartościowe, 3. tkanina bawełniana podobna do płótna, 5. urzędnik w carskiej Rosji, 6. popularne cukierki, 9. gwałtowny, kłujący ból, 11. kamień szlachetny, 12. atak powietrzny, 13. do jego wykonania potrzebna jest forma, 17. pierwszym na tym grodzie był Spytek z Melsztyna, 19. olej z nasion rącznika, lek, 21. specjalność Dębicy.

Rozwiązania prosimy nadsyłać na adres Redakcji: Tarnów, ul. Goldhamera 7/1a w terminie do dnia 30 czerwca 1978 roku.

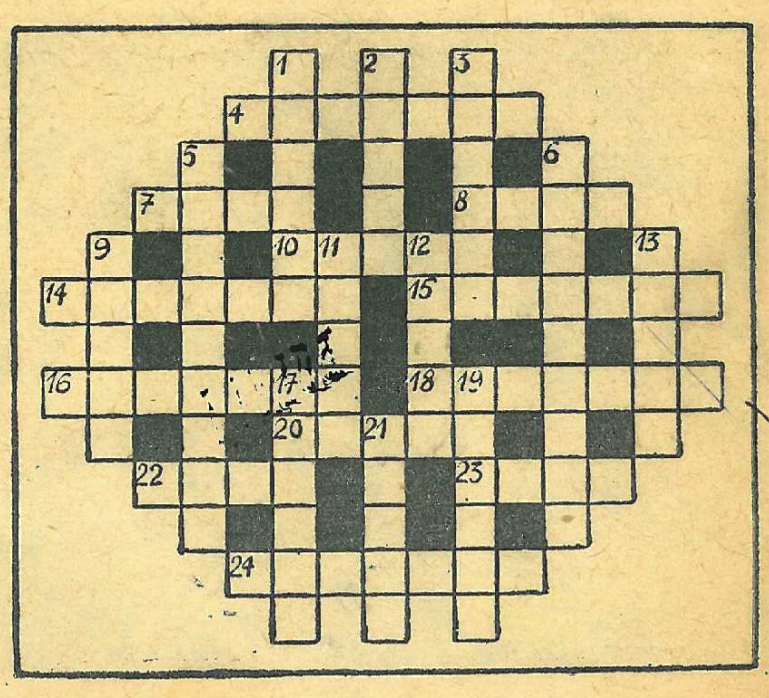

CYFROWE ARCHIWALIA TARNOWSKIE

PISZEMY JAK JEST!

TEMI

GALICYJSKI TYGODNIK INFORMACYJNY

www.temi.pl

porozmawiajmy o Tarnowie

WWW.AGORA.TARNOW.PL

www.agora.tarnow.pl